- Wszyscy tej wiosny czekali na amnestię str. 10
- Kolacja z dwiema gejszami — str. 7
- Przed bitwą — po drugiej stronie granicy str. 4
- Protest Wojewódzkiej Kolumny Transportu Sanitarnego w Łodzi str. 10
- Bezcenne ślady żydowskiej kultury str. 5

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 36 (1640) ROK XXXII 3 WRZEŚNIA 1989 ROKU CENA 120 ZŁ

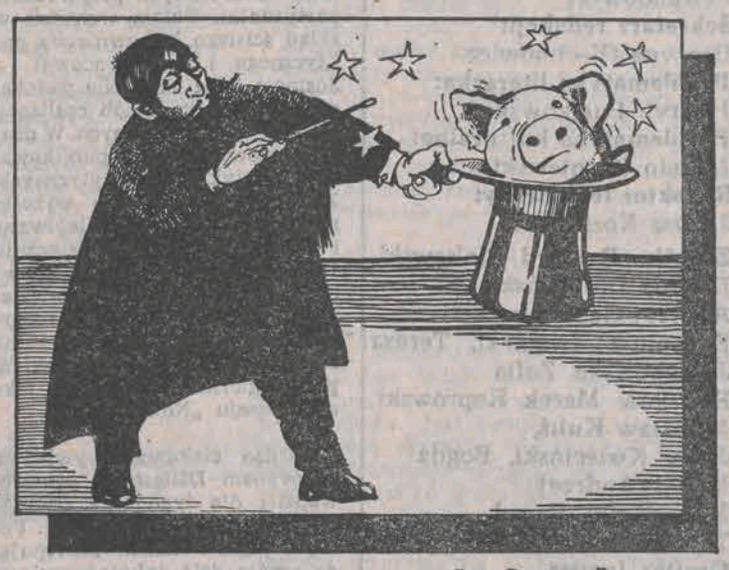

Rys Dariusz Romanowicz

Rys. Dariusz Romanowicz

Bohaterska postawa żołnierzy Armii „Łódź" zostanie uczczona pomnikiem. Prezentowaliśmy już różne rodzaje wojsk, które złożyły się na siły tej armii. Teraz prezentujemy zamysły i siły przeciwnika.

Przed bitwą — po drugiej stronie granicy

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Część I. Przygotowania strategiczne, polityczne i taktyczne.

Adolf Hitler nie krył swoich zaborczych zamiarów, choć ubierał je w różne łatwostrawne dla ówczesnych polityków frazesy. Po zaborze Austrii i Czechosłowacji 23 marca 1939 roku objął ochroną polityczną *„niezawisłość Państwa Słowackiego oraz nienaruszalność jego terytorium"*. Artykuł 2 zawartego układu stanowił, że *„Rząd słowacki organizować będzie własne siły wojskowe w ścisłym porozumieniu z niemieckimi siłami zbrojnymi"*, a polityke zagraniczna prowadził *„w ścisłym porozumieniu z Rządem niemieckim"*. Układ ten miał mieć ważność przez 25 lat. Proces oskrzydlania Polski można było uważać za zakończony.

Warto może tylko przypomnieć, że 22 marca 1939 roku rząd III Rzeszy zawarł z Litwą układ o *„włączeniu Terytorium Kłajpedzkiego do Rzeszy Niemieckiej"*, co miało niewątpliwie znaczenie strategiczne, ale w Artykule 1 znalazła się ważna wskazówka dla rozumienia całokształtu niemieckiej polityki zagranicznej:

„Odłączone na mocy Traktatu Wersalskiego od Niemiec Terytorium Kłajpedy zostaje z dniem dzisiejszym ponownie złączone z Rzeszą Niemiecką".

Była to polityka „likwidacji ujemnych skutków" wywołanych przez Traktat Wersalski. Przemawiając 28 kwietnia 1939 roku w Reichstagu Adolf Hitler powiedział wyraźnie:

„O stosunkach niemiecko-polskich niewiele jest do powiedzenia. Wersalski Traktat pokojowy zadał również tutaj — i to naturalnie rozmyślnie — najcięższą ranę narodowi niemieckiemu. Utworzenie w Polsce jedynego w swoim rodzaju korytarza do morza miało jednak przede wszystkim, po wsze czasy, przeszkodzić porozumieniu miedzy Polską i Niemcami".

Powiedział to, kiedy Polska i Wielka Brytania zawarły wstępne porozumienie do przyszłego układu o pomocy, które to porozumienie uznał za powód do zerwania układu o nieagresji zawartego między Polską i Niemcami w 1934 roku. W przemówieniu tym określił też swoje warunki dalszego wzajemnego współistnia, jeśli można to byłoby tak nazywać.

„Przedstawiłem więc Rządowi Polskiemu — powiedział Adolf Hitler — *następujące propozycje:*

1. Gdańsk powraca jako Wolne Miasto do Rzeszy Niemieckiej.

2. Niemcy uzyskują do własnej dyspozycji autostradę i linię kolejową przez korytarz o takim samym charakterze eksterytorialnym, jaki ma korytarz dla Polski.

W zamian za to Niemcy są gotowe:

1. Uznać w Gdańsku wszelkie prawa gospodarcze Polski.

2. Zagwarantować w Gdańsku wolny port o dowolnej wielkości, wraz z całkiem wolnym dostępem do niego.

3. Uznać w ten sposób granice między Niemcami a Polską za ostateczne i zaakceptować je.

4. Zawrzeć z Polską 25-letni pakt o nieagresji, a więc pakt, którego żywot byłby o wiele dłuższy niż mój własny, oraz,

5. Zagwarantować wspólnie przez Niemcy, Polskę i Węgry niepodległość państwa słowackiego, co praktycznie oznaczałoby wyrzeczenie się wszelkiej jednostronnej dominacji niemieckiej na tym obszarze.

Rząd Polski odrzucił tę moją propozycję..."

Dodał jeszcze obłudnie do tego, że *„Polska — podobnie jak przed rokiem Czechosłowacja — sądzi, pod*

4

„Żydzi polscy" — krakowska wystawa.

Przypomnienie tego, co odeszło

ZOFIA KĘDZIORA

Rys. Dariusz Romanowicz

1.

Podczas pobytu w Krakowie Jerzy Kosiński powiedział między innymi:

— Nie będzie już Żydów w Polsce, ale pozostaną w pamięci Polaków dzięki malarstwu i sztukom plastycznym.

— „Jeżeli rzeczywiście tak będzie — czytamy w „Książce Pamiątkowej" wystawy „Żydzi polscy" *— to stanie się tak dzięki Markowi Rostworowskiemu, twórcy scenariusza wystawy"*.

Na wystawie w salach Muzeum Narodowego w Krakowie Żydów jest wielu, tych Żydów, którzy żyli obok nas przez stulecia. Autorami większości obrazów są Polacy. Żydzi zwiedzający wystawę mówią podobno między sobą:

— Ci goje dobrze nas malowali.

Gdy wystawę zwiedza się z przewodnikiem, trwa to dwie, trzy godziny. Jest około tysiąc pięćset eksponatów a każdy obraz to osobna historia, inny problem. Żydzi oglądają ekspozycję bez przewodnika, nie przychodzą bowiem do Muzeum Narodowego, aby poznać tę mało znaną dla Polaków kulturę i obyczajowość, ale szukają korzeni. I często znajdują je.

Zanim jeszcze dobrze wejdzie się na wystawę, uwagę przykuwają ogromne, biało-czarne zdjęcia, dokumenty upadku tej kultury w Polsce. Zdjęcia szkieletów synagog, bóżnic zamienionych w magazyny, kirkutów (cmentarzy żydowskich) z powalonymi, pogruchotanymi płytami nagrobnymi (macewami). Pod zdjęciami jakże symboliczna sterta potłuczonych macewów (80 proc. cmentarzy żydowskich w Polsce uległo zniszczeniu, macewy przydawały się często jako płyty chodnikowe). Wśród tych kamiennych płyt jedna ze zwiedzających wystawę kobiet odnalazła zapis dotyczący swojego kuzyna. Płakała, robiąc sobie pamiątkowe zdjęcie tego fragmentu wystawy. Zdjęcie powędrowało z nią do Izraela.

2.

Wystawa „Żydzi polscy" stała się obowiązkowym, obok obozu w Brzezince, punktem programu wycieczek z Izraela, których obecnie coraz więcej przybywa do Polski. Stąd tak liczne w „Książce Pamiątkowej" wpisy w języku polskim lub hebrajskim:

„Dziękujemy za powrót do dzieciństwa i niezapomniane wzruszenia".

— Nie byłem w kraju od 1939 roku, a teraz przyjechałem pokazać moim dzieciom to wszystko — opowiadał mi Żyd z Nowego Jorku.

Na dzieciach, już dwudziestoletnich (dziewczyna i chłopak), przyjazd do Polski zrobił ogromne wrażenie, z przejęciem opowiadali o stercie okularów, wyrobach z ludzkiej skóry, które widzieli w Oświęcimiu. Interesowali się, jak Polacy oceniają tę wystawę, a ponieważ nie znali angielskiego poprosili mnie o przetłumaczenie czegoś z „Książki Pamiątkowej". I tu pech, prawdziwy pech. Gdy dziewczyna na chybił trafił pokazała jakiś wpis, trafiła na tekst:

„Żeby było sprawiedliwie brakuje na wystawie wzmianki o Bermanie, Różańskim, Światło, Bisztyngerowej, Mincu i innych Żydach mordujących Polaków".

Młodzi ludzie już w trakcie tłumaczenia przestali się uśmiechać, zmienili wyraz twarzy. To co odczytałam nie zgadzało się z ich stereotypem myślenia o Żydach w Polsce — gnębionych przez antysemitów, zabijanych przez hitlerowców. Pokiwali głową, że nie wierzą. Dziewczyna przywołała ojca i kazała mu tłumaczyć raz jeszcze.

— Przykro mi, że moje dzieci to przeczytały — powiedział potem ten amerykański Żyd. *— Chciałem pokazać im coś zupełnie innego.*

I mnie zrobiło się nieprzyjemnie.

— Są i tacy, którzy myślą inaczej — pokazałam na następne wpisy. Tuż pod tamtym tekstem, jako komentarz ktoś napisał: *„Kretyn"*, a ktoś jeszcze inny: *„Może kretyn, ale to też historia"*.

3.

Temu jednak, że między naszymi dwoma narodami stosunki nie zawsze układały się najlepiej, nikt nie może zaprzeczyć. Mówi o tym część ekspozycji zatytułowana: *„Wśród Polaków i jako Polacy"*.

Bywali u nas Żydzi zohydzani, jako *„odcięci heretycy, niewierni, prześmierdli, łakomi, krwiożercy, judaszowi zdrajcy, wiarołomni, dziedziczni zabójcy Chrystusa"* Nic więc dziwne-

5

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32-59-11
Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36-80-99
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada
Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada
Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch". 3. Prenumerate ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. D-10

Przegląd prasy

Milovan Dżilas był żarliwym komunistą. W wieku 26 lat został członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Jugosławii. Podczas wojny należał do czołowych przywódców partyzantki. Potem wchodził w skład ścisłego kierownictwa politycznego i współpracował z Josipem Broz Tito. Nie podobał mu się jednak sposób realizacji ideałów socjalistycznych. W drugiej połowie 1953 r. opublikował cykl artykułów krytycznych. Zauważył bowiem, że wyrosła nowa warstwa uprzywilejowana i skorumpowana. W styczniu 1954 roku usunięto go z kierownictwa partii. Spędził w więzieniach dziewięć lat. Nie skorzystał z oferty opuszczenia na stałe swego kraju. W literaturze politologicznej znany jest jako autor eseju „Nowa klasa".

Bardzo ciekawy wywiad z Milovanem Dżilasem przeprowadziła dla tygodnika „ZMIANY" (nr 14) Teresa Wójcik. Polityk jugosłowiański następująco ocenia dziś doświadczenia w procesie budowy socjalizmu:

„Dążyliśmy do zrealizowania utopii. Nie byliśmy w tym jedynymi na świecie. Ale niebezpieczeństwo komunizmu tkwi w tym, że dysponuje on sposobami, które mają go wprowadzić w życie. Te sposoby są właśnie najgroźniejsze. Komunizm czy raczej marksizm to synteza naukowej metody i idealistycznej utopii. Wykonawcą zaś ma być biurokratyczna struktura, tzn. partia oparta na zasadzie centralizmu i bezwzględnej dyscypliny. Taka partia ma zbudować społeczeństwo doskonałe.

Co prawda, nie zawsze marksistowska utopia musi się kończyć na archipelagu GUŁag. Nie zawsze musi się pojawić Stalin, Stalin jest zjawiskiem rosyjskim. Można wprawdzie wyprowadzić wspólną linię od Marksa przez Lenina do Stalina, ale taki rozwój nie jest jedynym możliwym. W Jugosławii nie mieliśmy Stalina. Tito chociaż był dyktatorem, nie był przecież tyranem. Był rewolucyjnym despotą, komunistycznym autokratą — lecz Jugosławia nie była państwem totalitarnym. Co więcej, przez cały czas jej istnienia czynione były próby wyrwania się z zaklętego kręgu przemocy państwa nad demokracją. (...)

Nasz system był bardziej autorytarny niż totalitarny, dawał obywatelom jednak więcej swobody, gospodarczo też był mniej dolegliwy. U nas rewolucja nie była narzucona, przyniesiona na bagnetach obcej armii. Poziom startu był o wiele niższy. Stąd o wiele mniej rozczarowań. Dlatego w Jugosławii opozycja wobec systemu monopartyjnego prawie wyłącznie opierała się na środowiskach intelektualistów. Tak było przynajmniej do niedawna".

Milovan Dżilas jest przekonany, że rewolucje społeczne przynoszą więcej zła niż dobra. Spowodowane są obiektywnymi warunkami, ale później nie realizują tych celów, dla których je rozpoczynano. W historii ludzkości wyjątkiem od reguły była tylko rewolucja amerykańska.

Milovan Dżilas był inicjatorem samorządu pracowniczego. Samorząd rozsadza system centralistyczno-nakazowy i zapewnia minimum antybiurokratycznej kontroli. Partia wprawdzie zaanektowała samorząd, ale bez samorządu byłoby jeszcze gorzej. Samorząd pracowniczy ma sens ekonomiczny tylko wtedy, jeśli osadzony jest we własności grupowej lub akcyjnej. Kwestia własności jest najważniejsza.

W nowoczesnej cywilizacji potrzebny jest socjalizm. Świadczy o tym fakt, że idee socjalistyczne urzeczywistniane są w kapitalizmie, i to nie tylko w państwach rządzonych przez partie socjaldemokratyczne. Natomiast system komunistyczny okazał się niezdolny do realizacji wartości socjalistycznych.

„W sferze ekonomicznej socjalizm nie przyniósł efektów. A jednak przecież wszystkie nurty socjalizmu wyrastają z tej samej tradycji, z tego samego pnia kultury chrześcijańskiej, z których wyrastały wszystkie postępowe nurty w Europie. Być może więc na przełomie XIX i XX wieku zaczęto źle rozumieć socjalizm. Na przykład — Marksowi naprawdę chodziło o wolność i dezalienację człowieka jako jednostki. Skąd więc w marksizmie kolektywizm jako podstawowa wartość?

Dla mnie socjalizm to swoboda dla innych. Swoboda dla wszystkich demokratycznych organizacji i partii. Tolerancja. Innymi słowy — socjalizm to akceptacja pluralizmu. Także swoboda dla gospodarowania, dla kapitału. Socjalizm to wreszcie system wartości preferujący humanizm i ludzką solidarność, podmiotowość człowieka i społeczeństwa. To także rozwiązywanie problemów socjalnych, wyrównywanie skutków ubóstwa i nierówności, niesprawiedliwości, które będą zawsze istnieć, bowiem społeczeństwa na szczęście są niedoskonałe. I tylko dlatego mogą się rozwijać".

OBRONA SOCJALIZMU

W obronie lewicy i socjalizmu, lecz przeciw komunistom, wystąpił również senator Jan Józef Lipski. Na łamach tygodnika „SOLIDARNOŚĆ" (nr 11) zarzuca Stefanowi Kisielewskiemu, że podobnie jak większość Polaków, uwierzył komunistom, że są socjalistami. A jedni od drugich różnią się diametralnie. Przede wszystkim — stosunkiem do demokracji, wolności obywatelskich i zasady przestrzegania praw człowieka. Socjaldemokraci w walce o władzę poddają się zawsze sprawdzianom wyborczym. W polityce międzynarodowej popierają narody więzione i uciskane. W sferze gospodarczej nie likwidują prywatnej własności, lecz ograniczają się do upaństwowienia niektórych zakładów przemysłu ciężkiego. Socjaldemokraci szwedzcy odkryli, że najważniejszy jest sprawiedliwy podział dochodu narodowego, a sprawa własności ma znaczenie drugorzędne.

„Socjalizm jest wytworem europejskim: wytworem europejskiej kultury, historii myśli itd. Przede wszystkim jest wytworem etyki chrześciańskiej, znajdującej się u podstaw kultury europejskiej. Jest wytworem pozytywnego odzewu na przykazanie miłości bliźniego. Nie znaczy to, by twórcy socjalizmu czuli się chrześcijanami, choćby wyłącznie w płaszczyźnie etycznej. Ale ich wszystkich kształtowała kultura europejska, budowana od dwóch tysiącleci, w znacznej, choć nie wyłącznej mierze na fundamentach judeochrześcijańskich. (...)

Socjalizm bywa często łączony, a nawet mylony z marksizmem — tymczasem nurt marksistowski odegrał ogromną rolę w tworzeniu się socjalizmu, niemniej jednak, ani go zapoczątkował, ani nawet w okresie swej dominacji w ruchu socjalistycznym nie był w nim jedyny, dziś zaś rola marksizmu w myśli i praktyce socjalizmu nie jest już bynajmniej zasadnicza i staje się coraz mniejsza".

Jan Józef Lipski jest przeciwnikiem leseferystów. Chcą oni zlikwidować interwencjonizm państwowy, wprowadzić dyktaturę praw rynku i uwolnić ekonomikę od kryteriów moralnych. Byłby to niebezpieczny eksperyment, na który socjaliści polscy nigdy się nie zgodzą i znajdą poparcie społeczne.

Na tej samej kolumnie Andrzej Wielowieyski sugeruje, żeby na nowo określić, czym jest lewica, a czym prawica? Wielu ludzi należących do lewicy przyjmuje dziś postawy uchodzące za prawicowe. Pewne ideały tradycyjnej lewicy i prawicy nie sprawdziły się. Nie można za skutecznie działać bez wyraźnej tożsamości.

„Z nauczaniem społecznym Kościoła sprawa jest jeszcze bardziej złożona. To nie przypadek, że ludzie z nurtów socjaldemokratycznych podpisują się obu rękami pod encyklikami społecznymi Jana Pawła II. Natomiast panowie Soreman, a zwłaszcza Janusz Korwin-Mikke nie mogą się pod nimi podpisać. Czy to oznacza, że papież jest lewicowcem?".

PRZECIWKO SOCJALISTOM

Wymieniony wyżej Janusz Korwin-Mikke jest zdecydowanym przeciwnikiem socjalizmu i zwolennikiem wolnej konkurencji. W tygodniku poznańskim „WPROST" (nr 34), którego redaktor naczelny został sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR, stanowczo twierdzi, że socjaliści nie mają żadnych kwalifikacji do kierowania sprawami polskimi. Pisze między innymi:

„Pragnę zauważyć, że występuję tu tak ostro, bo do władzy najwyraźniej dochodzi nowa ekipa socjalistyczna: pp. Bugaj, Kuroń, Lipski, Michnik, Modzelewski... W Warszawie Anna ks. Radziwiłł — już jako senator PRL — nawołuje do „humanizowania socjalizmu".

Ludzie ci otwarcie potępiają wolny rynek, wzywają do zachowania systemu kartkowego (vide: wywiad p. Bugaja dla „Gazety Wyborczej" nr 40), ostrzegają przed kapitalizmem, dbają o biednych, troszczą się o sprawiedliwość społeczną, organizują strajki (dopóki nie są u władzy — jak ją uchwycą, to się zmienią: już się zmieniają!) i oświadczają — jak p. Karol Modzelewski w kampanii wyborczej — że „przez najbliższe 4 lata nie ma żadnych szans na poprawę gospodarczą — a ci, co mówią inaczej — kłamią". Istotnie: jeśli oni będą prowadzić naszą gospodarkę, to szanse są dokładnie takie".

Janusz Korwin-Mikke atakuje zarówno byłych KOR-owców, obecnie działaczy „Solidarności", jak i aktywistów PZPR — w tym nowego sekretarza KC Marcina Święcickiego. Temu ostatniemu zarzuca, że świadomie broni skompromitowanego modelu szwedzkiego.

„Ów panegiryk na model szwedzki p. Święcicki napisał, gdyż został po prostu... kupiony. Zaproszono go do Szwecji na koszt biednego tamtejszego podatnika — no, to nie wypada napisać źle. Ale warto by było, warto — i p. Święcicki, dobry ekonomista, świetnie o tym wie. A ja piszę o tym, gdyż ostatnio moje dzieci chodzą do szkoły imienia kolejnego socjalisty, Olofa Palmego (też przekupstwo: Szwedzi za to zapraszają co roku parę dzieci na swój koszt)".

Autor stawia tezę, że socjaliści zwyciężali, ponieważ walczyli przeciwko establishmentowi, a dziś walczą przy pomocy przekupywania do swoich idei. Oznacza to, że nadszedł już ich kres...

PRASKA NOC SIERPNIOWA

Na zakończenie polecam ciekawy fragment wspomnień Zdenka Mlynarza opublikowany w „TYGODNIKU POWSZECHNYM" (nr 34). W okresie interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji autor był sekretarzem Komitetu Centralnego KPCz. W listopadzie 1968 r. wycofał się z czynnego życia politycznego, w 1970 roku usunięto go z partii, a siedem lat później zmuszono do opuszczenia kraju. Należy do inicjatorów i sygnatariuszy Karty 77. Noc z 20 na 21 sierpnia 1968 r. spędził w gabinecie Aleksandra Dubczeka. Przebywali tam również: Smrkovsky, Kriegel, Szpaczek, Szimon, Sadovsky, Slavik, Jakesz i Kapek. Po godzinie czwartej przyjechał czarną Wołgą ambasador radziecki, a za nim przybyły transportery opancerzone i czołgi. Spadochroniarze w czerwonych beretach otoczyli budynek.

„Gmach KC KPCz zajęły pododdziały słynnej Dywizji Tamańskiej, tradycyjnie asystującej także przy różnych przewrotach pałacowych na samym Kremlu. Jest to jednostka elitarna, doborowa. Trzeba przyznać, że dobór — choć czasami pod całkiem nieoczekiwanymi względami — doprawdy był znakomity".

Najpierw zabrano Dubczeka, Smrkovskiego, Kriegla i Szpaczka, a potem Szimona, Jakesza i Kapka. Pozostałym oświadczono, że są zupełnie wolni i mogą normalnie pracować.

E. L.

Z konferencji prasowej Tadeusza Mazowieckiego

Najważniejsza jest prawda nawet trudna

— Zajrzałem już — potwierdził Tadeusz Mazowiecki — *do swego gabinetu w tym gmachu, w towarzystwie dwóch synów. Zobaczyłem, że jest tam trochę ciemno, zbyt małe w stosunku do ogromnych przestrzeni są okna; trochę mnie to przeraziło. Chciałbym w labiryntach tego gmachu zachować ludzkie cechy...* — taka była najbardziej osobista refleksja nowo powołanego premiera, którą podzielił się na inauguracyjnej konferencji prasowej w Urzędzie Rady Ministrów, 24 sierpnia 1989 r.

Tadeusz Mazowiecki sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego. Niektóre pytania kazał sobie powtarzać, nad innymi zastanawiał się przez chwilę; przy trudniejszych pytaniach wzdychał, jakby sprawiały mu fizyczną dolegliwość. Pomimo zmęczenia, pozostał jednak sobą — na tyle odmienny od swoich poprzedników na fotelu premiera, że warto to z nadzieją odnotować.

Pierwsze więc, co rzucało się w oczy, to jego spokój, pewien dystans do otoczenia, a przede wszystkim — powściągliwa naturalność w zachowaniu. Nie silił się zupełnie na sztuczną błyskotliwość. Rzadko próbował szybkiej riposty, z namysłem ważył wypowiadane zdania. Poważny, można by powiedzieć — rzetelny stosunek do słowa — to druga zauważalna cecha nowego premiera. Wyraźnie dostrzegało się, iż bardzo zależy mu na tym, aby nie „rzucać słów na wiatr". Jego odpowiedzi nie zawsze satysfakcjonowały dziennikarzy, lecz pytający wyczuwał, że nie warto być natarczywym, bo nowy premier i tak nie powie nic więcej ponad to, co dyktuje mu rozsądek i poczucie rzeczywistości.

Nie będzie chyba jednak zbyt ryzykowny wniosek (oparty na niektórych wypowiedziach premiera), iż nie posiada on jeszcze gotowego scenariusza posunięć w sferze gospodarczej. Zamysł jest raczej taki, że kolejne decyzje będą dopiero przygotowywane — odpowiedzialnie, po wszechstronnym rozpatrzeniu możliwych wariantów — ale za to ich wprowadzanie w życie będzie stanowcze, bez dotychczasowych ustępstw i kompromisów.

Kilka konkretów wszakże już padło: m.in. T. Mazowiecki zapowiedział powołanie ministra bez teki do spraw samorządu terytorialnego, uznając, iż odrodzenie prawdziwej samorządności (tworzącej nową „infrastrukturę społeczną") będzie jedną z głównych trosk nowego gabinetu. Sprecyzował też, że pierwszym pilnym zadaniem rządu będzie przygotowanie stanowiska Polski na zbliżającą się sesję MFW. Z naciskiem podkreślił także rolę środków masowej informacji:

— I dla rządu, i dla społeczeństwa najważniejsza jest prawda — nawet trudna.

Premier sugerował jak najszybsze wprowadzenie pluralizmu w zarządzaniu tymi instytucjami, oraz w treści emitowanych przez nie programów.

O tę ostatnią kwestię zapytał znany publicysta Aleksander Wieczorkowski który zaproponował, aby do czasu wprowadzenia radykalnych zmian, Jerzemu Urbanowi dodać na najbliższe tygodnie *„kogoś do pomocy, o nie mniej, a może bardziej reformatorskich skłonnościach, a przy tym reprezentującego stronę przeciwną".*

— Proszę zrozumieć — odpowiedział T. Mazowiecki — *że pewne sprawy siłą bezwładu toczą się jeszcze... Myślę jednak, że przez ten czas, o którym pani mówi, będę miał dostęp do telewizji* — zakończył z lekkim uśmiechem.

Żurnaliści z całego świata, w liczbie ponad trzystu, potraktowali szefa nowego polskiego rządu z życzliwością. Pytania napastliwe prawie się nie zdarzały. Wyjątek stanowiła wypowiedź dziennikarza z „Płomieni", który z oświadczeń premiera, iż będzie się on kierować w doborze i ocenie podwładnych zasadą kompetencji i lojalności wobec rządu, wysnuł wniosek, że doprowadzi to do utworzenia „nowej nomenklatury", która — zasugerował — będzie być może weryfikowana przez jakieś „komórki specjalne" (to ostatnie sformułowanie wywołało kilka okrzyków zdziwienia).

T. Mazowiecki tym razem ripostował:

— Nie rozumiem pańskiego toku wnioskowania. Czy zasada kompetencji i lojalności oznacza wprowadzenie nomenklatury? Lojalność wobec rządu i państwa, to przecież nie to samo, co posłuszeństwo wobec jednej tylko partii...

Przy innym pytaniu, dotyczącym zasięgu personalnych zmian w aparacie władzy, odpowiedział:

— Bardzo państwa proszę, nie utrudniajcie mi zadania poprzez sprawianie wrażenia, jakoby wszyscy, którzy zajmują obecnie jakiekolwiek stanowiska, mieli się liczyć z szybkim odejściem. Zależy mi bardzo na kompetencji wielu z tych ludzi. Nie będę podejmować wobec nich żadnych nie przemyślanych kroków.

Sprzeciw premiera wywołała także uwaga innego dziennikarza, że ten rząd będzie czwartym z kolei gabinetem, który mieni się reformatorskim.

— Nie zgadzam się z takim określeniem. Będzie to rząd o zupełnie innej kompozycji politycznej. Zależy mi na odkreśleniu przeszłości grubą, jasną linią. Nie jestem odpowiedzialny za hipotekę poprzednich rządów.

T. Mazowiecki wielokrotnie indagowany był w sprawie sojuszniczych zobowiązań Polski w RWPG i w Układzie Warszawskim. Raz jeszcze z mocą podkreślił, iż będą one dotrzymywane. O tym, jaką wagę przykłada nowy premier do stosunków z sąsiadami, świadczyć może następujący epizod: otóż T. Mazowiecki, zapytany o pierwsze depesze gratulacyjne, odpowiedział, iż bardzo się cieszy z życzeń, jakie nadeszły z Francji, zaś pierwszą depeszę z gratulacjami otrzymał od przewodniczącego rządu NRD. Ta ostatnia wiadomość wywołała na sali lekką wesołość.

— Proszę mi wybaczyć, po tych czterech ostatnich dniach jestem naprawdę zmęczonym człowiekiem. Oczywiście, cieszę się z depeszy francuskiej, ale również bardzo cieszę się z gratulacji, jakie otrzymałem z NRD. Naprawdę, bardzo się cieszę!

T. Mazowiecki starał się także rozproszyć niepokój tych, którzy obawiają się teraz wprowadzenia skrajnych rozwiązań prawnych, proponowanych przez niektóre środowiska katolickie w sferze oświaty i w kwestii zapobiegania ciąży.

— Jestem zwolennikiem ochrony życia, ale przeciwnikiem uciekania się w tej sprawie do rozwiązań represyjnych.

Na koniec dziennikarze dowiedzieli się, iż zaraz po konferencji T. Mazowiecki rozmawiać będzie przez telefon z papieżem Janem Pawłem II, a następnie spotka się z przewodniczącym „Solidarności" Lechem Wałęsą.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

SZANOWNI CZYTELNICY!

Przerażająca inflacja i ciągły wzrost kosztów wydawania pracy zmuszają nas do podwyżki ceny „Odgłosów". Jeden egzemplarz następnego numeru będzie kosztował 150 złotych.

Mamy nadzieję, że na tle innych cen nie jest to zbyt drogo. Bardzo prosimy o wyrozumiałość.

Nowa koalicja w Sejmie, a PZPR przed reformami.

Nadleśniczy wrócił z wakacji i bardzo się denerwuje

Rozmowa z MARKIEM BARTOSIKIEM — posłem na Sejm PRL, członkiem KC PZPR, dyrektorem Instytutu Aparatów Elektrycznych Politechniki Łódzkiej.

— Dlaczego odrzuciliście przedstawione w Klubie Poselskim PZPR propozycje sformowania nowego rządu przez gen. Czesława Kiszczaka?

— Takich propozycji nie było. Premier nie zdążył ich przedstawić.

— A co było?

— Klub postawił pewne wymagania dotyczące kandydatów na ministrów.

— Jakie to były wymagania?

— Klub Poselski PZPR stwierdził, że oczekuje, iż skończą się rotacje personalne w zamkniętym kręgu. Mówiąc potocznie, że już nie będzie podstaw do opowiadania znanego kawału o wronach i drzewie. Domagaliśmy się zatem nowych twarzy.

I drugie wymaganie, żeby nie było „propozycji nie do odrzucenia", czyli tylko jeden kandydat na jedno miejsce, ale żeby można było wybierać.

— Czy rzeczywiście istnieje możliwość dużego wyboru wśród nowych ludzi?

— Nie sądzę, aby w dwumilionowej partii i wśród członków byłej koalicji nie można było znaleźć nowych ludzi na kandydatów na ministrów. Nie można natomiast nadal obracać się w kręgu ludzi z własnego spisu telefonów.

— Sytuacja jednak zmieniła się i kto inny będzie formował rząd. Jak przyjęliście pozaparlamentarną rozgrywkę polityczną Lecha Wałęsy?

— W klubach poselskich jest taka dziwna sytuacja, że starają się one przelicytować w tym, który jest gorzej traktowany przez kierownictwo własnej partii. Ta licytacja skończyła się rozłamem między klubami poselskimi ZSL i SD a ich partyjnymi kierownictwami, które musiały w końcu zaaprobować stanowiska klubów. I tak narodziły się warunki dla powstania nowej koalicji.

— Ale tę koalicję Lech Wałęsa zawarł właśnie z kierownictwem ZSL i SD.

— I o to do niego mieli pretensje posłowie na wspólnym posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, Klubu Poselskiego ZSL i Klubu Poselskiego SD. Kiedy oni wykonali niekonwencjonalny ruch polityczny i weszli w układy z opozycją przeciw swemu kierownictwu, Lech Wałęsa zawiera sojusz z tym kierownictwem.

— Niemniej nowa koalicja powstała w Sejmie.

— Stało się to faktem. Ale trzeba też wiedzieć, że w Sejmie panuje wielkie zróżnicowanie w klubach. Posłowie wyrażają różne stanowiska i poglądy. Wszelkie wypowiedzi są szeroko i natychmiast dyskutowane poza klubami. Na posiedzeniach klubów drzwi są teraz praktycznie otwarte dla wszystkich posłów czy dziennikarzy, chyba że sprawa jest takiej natury, iż wymaga to zamknięcia drzwi...

— Posłowie swoje racje często podbudowują oczekiwaniami wyborców, ich wolą. Powstała taka sytuacja, którą nie wszyscy rozumieją: poseł ma swoich wyborców, należy do partyjnego klubu, którego polityką powinien się kierować, a co z narodem? Wielu ludzi przywykło do tego, że poseł, gdy już złożył ślubowanie, staje się przedstawicielem całego narodu, a nie tylko swoich wyborców i swojej partii. Jak to odbieracie, jak to rozumiecie?

— Sytuacja jest bardzo złożona. Może zatem po kolei o różnych jej elementach. Zacznę od tego, co każdy powinien rozumieć, że przeżywamy „dziecięcą chorobę parlamentaryzmu". My się po prostu tego uczymy.

— Czy nie za długo?

— Nie. To dopiero dwa miesiące. W Polsce — poza krótkim czasem na początku lat dwudziestych — nie było warunków dla rozwijania parlamentaryzmu. Jak Józef Piłsudski kochał parlament, to chyba wszyscy dobrze już wiedzą. Po wojnie nie było lepiej. Tego trzeba się więc nauczyć.

Po drugie — ta nauka dokonuje się na oczach milionów obywateli. Polski parlament pracuje przy telewizyjnych kamerach. Ludzie to oglądają, komentują. Ten serial „w sejmowym kręgu" jest popularny, choć już niektórzy stają się znudzeni jego jałowością. Taki jest koszt tego, że dzieje się to publicznie. Niektórzy posłowie bardzo chcą się popisać przed swoimi wyborcami nie mając wiele do powiedzenia. Ale tego też trzeba się nauczyć.

Po trzecie — według moich obserwacji, kierownictwa wszystkich partii nowej koalicji, a także PZPR robią niestety zbyt wiele, żeby utrudnić poczucie spójności klubów z kierownictwem poszczególnych partii. Przykłady ZSL i SD można uznać za kliniczne.

Tu może przypomnę, że jeszcze w toku kampanii wyborczej przewidywałem taki rozwój sytuacji, kiedy w Sejmie będą dokonywały się podziały i łączenia w sposób niekonwencjonalny i dotychczas nie znany, na podstawie kryteriów merytorycznych, w danej sprawie. I tak też się dzieje.

— Parlamentaryzmu muszą się uczyć nie tylko posłowie, nie tylko wyborcy, ale i dziennikarze. Sprawozdania sejmowe w wielu wypadkach są nudne, natomiast „Gazeta Wyborcza" robi to dobrze. Jest tam wszystko, co trzeba oraz wiele z tego, o czym nie piszą inni.

— Posłowie PZPR mają duże pretensje do sposobu relacjonowania przebiegu obrad przez „Trybunę Ludu". Padł nawet wniosek o dokonanie zmian personalnych w gazecie. Natomiast „Gazeta Wyborcza" nadąża za zmianami politycznymi, ale — w moim przekonaniu — jest skażona jednostronnością polityczną sprawozdań, podobnie zresztą jak i „Trybuna Ludu". Proszę mnie nie zrozumieć źle. Ja nie oczekuję, że sprawozdania w „Trybunie Ludu" i „Gazecie Wyborczej" będą takie same, bo to już w prasie polskiej było, ale że będą robione na najwyższym poziomie fachowości, rzetelnie, bez tandetnej propagandy.

— Wrócę jeszcze na chwilę do tak częstego powoływania się na oczekiwania i wolę wyborców. Czy wy rzeczywiście macie czas na spotkania z wyborcami? Bo jakoś o takich spotkaniach nie słyszałam.

— Powiem krótko. Soboty mamy na ogół wolne, niedziele też. Z pozostałych 5 dni co najmniej 3 zajmuje praca w Sejmie.

— Być może się mylę, ale odnoszę wrażenie, że posłowie PZPR są jakby mniej aktywni w Sejmie od posłów innych partii. Czy to prawda?

— Owszem, teatralnych wystąpień z naszej strony jest mniej. Na merytoryczne czasami brakuje czasu. Zapisałem się na przykład do debaty budżetowej, ale jeden z posłów zgłosił wniosek o zamknięcie debaty. Wniosek przeszedł, choć jeszcze wielu posłów nie zabrało głosu. Złożyłem więc swoje pisemne uwagi na ręce przewodniczącego komisji.

— Czego te uwagi dotyczyły?

— To dość złożona sprawa, ale bardzo ważna. Dotyczy ona kształtowania płac w cywilnej części sfery budżetowej, czyli pracowników oświaty, służby zdrowia, nauki, kultury i innych. Projekt rządowy zawierał propozycję nowelizacji z 31 stycznia 1989 roku o sposobie kształtowania środków na płace w sferze budżetowej. Projekt nowelizacji ustawy był według mnie bardzo niebezpieczny jako wyraz pewnej filozofii, z którą nie wolno się godzić. Jest to filozofia wyrosła z doktryn stworzonych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, a według których praca fizyczna — czyli prosta — jest więcej warta od pracy umysłowej — czyli złożonej. I według tej zasady kształtowano politykę płac przez wiele lat.

— To czyni się do dziś.

— Najgorszy dla sfery budżetowej był rok 1988, kiedy średnia płaca wynosiła 75 procent średniej płacy w sferze produkcji materialnej. W służbie zdrowia było to 72 procent, w oświacie 65 procent, w kulturze 67 procent, w uczelniach 80 procent.

— Czy ustawa z 31 stycznia 1989 roku zmieniała tę sytuację?

— Tak, ale w przeciągu aż czterech lat. W 1992 roku średnia płaca w tej sferze miała osiągnąć 102 procent średniej płacy sfery produkcyjnej. W 1989 roku miało to być tylko 97 procent.

— Co rząd zaproponował w projekcie nowelizacji tej ustawy?

— Pogorszenie sytuacji sfery budżetowej w stosunku do katastrofalnego roku 1988. W pierwszym półroczu 1989 roku średnia płaca w tej sferze wyniosła ledwie 83 procent płacy w sferze produkcji materialnej. Zapowiedziane 97 procent miano osiągnąć dopiero w drugim półroczu, ale relacja ta miała być naliczana z kwartalnym opóźnieniem, to znaczy nie do faktycznej średniej płacy w sferze produkcyjnej, ale do fałszywej bazy odniesienia. Rachunek symulacyjny wykazał, że płace w sferze budżetowej w warunkach wzrastającej inflacji miały w 1989 roku osiągnąć zaledwie około 70 procent płacy średniej w sferze produkcyjnej.

— Warto też wziąć pod uwagę fakt, że trwające strajki i wiążące się z nimi żądania podniesienia płac, zmieniają tę sytuację na niekorzyść inteligencji.

— Zgadza się. Na przykład średnia płaca nauczyciela akademickiego w I półroczu wynosiła 89 000 złotych, a kierowcy MPK — 280 000 złotych. Teraz strajkujący domagają się już podwyżek płac rzędu od 100 000 złotych do 300 000 złotych, a średnia płaca w sferze budżetowej wynosiła 83 700 złotych. Skutki nie dają długo na siebie czekać.

— Przede wszystkim młodzi zdolni ludzie uciekają z Polski.

— To też. Ale należałoby się spodziewać kolejnych strajków w służbie zdrowia, powiększenia się grupy nauczycieli bez kwalifikacji, dezintegracji placówek naukowych i kulturalnych, dalszej negatywnej selekcji kadry w tych placówkach, spadku aspiracji edukacyjnych młodzieży, czyli w efekcie degradacji cywilizacyjnej Polski. Z taką polityką nie wolno się godzić. Trzeba dokonać całkowitej zmiany dotychczasowej filozofii wynagradzania inteligencji, jeśli komukolwiek zależy jeszcze na rozwoju nauki, kultury i techniki w Polsce. Nie można bowiem godzić się na pauperyzację tych, których twórcza myśl decyduje o postępie, wiedzy i zdrowiu pokoleń. Są to środowiska słabe, które łatwo zniszczyć, ale ich odbudowa trwałaby dziesiątki lat. I dlatego nigdy nie będę się godził z polityką robienia z twórców, nauczycieli, naukowców, lekarzy obywateli drugiej kategorii.

— A emeryci, kto myśli o ich sytuacji?

— Klub Poselski PZPR podjął prace nad szeregiem inicjatyw ustawodawczych, w tym również nad opracowaniem jednolitego prostego i łatwo zrozumiałego systemu zaopatrzenia emerytalnego i rentowego. Obecnie obowiązuje chyba kilkanaście różnych systemów.

— W jakiej komisji pracuje poseł Marek Bartosik?

— Jestem wiceprzewodniczącym Sejmowej Komisji do spraw Łączności z Polakami za Granicą i członkiem Komisji Edukacji, Nauki i Postępu.

— Jak układają się stosunki między KC PZPR i Klubem Poselskim PZPR?

— Każdy klub poselski i każdy poseł oddzielnie z rozkoszą podporządkuje się i to całkowicie każdej mądrej, uzasadnionej i kompetentnej decyzji swojej partii i jej kierownictwa. Jeśli natomiast zachodzą różnice w ocenie sytuacji, w ocenie społecznych reakcji, jeśli okazuje się, że instynkt polityczny posłów, ich doświadczenie rozmija się z ocenami i opiniami kierownictwa partii, to wówczas klub reaguje niejednolicie, sytuacja robi się konfliktowa i może to grozić rozbiciem klubu poselskiego.

— Było już takie niebezpieczeństwo?

— Było. Było nim desygnowanie gen. Czesława Kiszczaka na premiera. Zastrzegam, że nie mam nic przeciwko gen. Czesławowi Kiszczakowi jako człowiekowi. Nikt też ze starej koalicji nie podnosił takich zarzutów. Wątpliwości dotyczyły metody. Powstały obawy, że w określonej sytuacji politycznej wymuszony układ personalny nie zostanie zaakceptowany, premier nie będzie mógł sformować rządu i może to stać się przysłowiowym kamykiem, który pociąga za sobą lawinę. Odbyło się pierwsze i ostatnie w historii wspólne posiedzenie klubów poselskich PZPR, ZSL i SD i na tym posiedzeniu, szefowie tych partii wymogli na posłach, wbrew ich zastrzeżeniom i obawom, opowiedzenie się za kandydaturą gen. Czesława Kiszczaka. Czym to się skończyło? To już wiemy. Rozpadł się stary układ koalicyjny. Kierownictwa byłych stronnictw sojuszniczych w ostatniej chwili zdążyły wskoczyć do ostatniego wagonu odjeżdżającego pociągu. Ale myślę, że na krótko.

— Komitet Centralny PZPR w opublikowanym „Stanowisku" bardzo surowo ocenił ten fakt. Słyszałam jednak, że co innego uchwalono na posiedzeniu KC, a co innego było opublikowane w gazetach. Czy to prawda?

— Częściowo prawda. Komitet Centralny PZPR zajął bardzo — moim zdaniem — precyzyjne i rzeczowe stanowisko, które zostało następnie poddane takiej korekcie redakcyjnej, że teksty obu tych dokumentów są różne.

— Nastąpiło zatem nadużycie redakcyjnych uprawnień?

— To rozstrzygnie KC. Dokument, który został opublikowany ma miejscami styl z zupełnie innej epoki. KC PZPR przyjęło płaszczyznę rzeczowych, politycznych rozważań, a ukazał się dokument mający fragmenty pisane z pozycji „zdradzonej żony".

Taka stylistyka w dzisiejszych, burzliwych czasach wywiera efekt odwrotny od zapewne zamierzonego. Usztywnienie poglądów jednej strony wywołuje usztywnienie i konsolidację strony przeciwnej. Ogranicza też posłom partyjnym możliwości pertraktacji parlamentarnych, a także utrzymywanie i rozwijanie dotychczasowych, często nieformalnych kontaktów z posłami i grupami posłów z innych, także przecież niejednolitych klubów, co w parlamentarnej polityce ma ogromne znaczenie merytoryczne. Pozwala bowiem zjednywać stronników dla konkretnych propozycji partii i tworzyć doraźne koalicje problemowe, niezbędne dla realizowania polityki partii, obecnie mającej mniejszość w parlamencie.

— Nam, patrzącym z boku, wydaje się, że nie istnieje dostatecznie ścisła współpraca między KC PZPR a Klubem Poselskim PZPR. Czy tak jest?

— Członkowie KC PZPR otrzymują niepełną i opóźnioną informację o pracy parlamentarnej posłów PZPR. I odwrotnie. Przykładem tego może być sejmowe oświadczenie w sprawie wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku. Na posiedzeniu KC PZPR był protest przeciwko stanowisku Sejmu PRL i wniosek o odrębne stanowisko KC PZPR w tej sprawie, który wynikał z niedoinformowania. Trzeba było dopiero szeregu wyjaśnień, aby zrozumiano nasze stanowisko i zaaprobowano je. Bo przecież partii nikt nie pytał, czy w sierpniu 1968 roku wojska Układu Warszawskiego mają wejść do Czechosłowacji, czy nie? Jak więc partia może bronić decyzji, która poza partią zapadła? Nie wnikając już w kwestię zasadności tej decyzji.

— Przykład ten potwierdza tylko konieczność szybkiego zreformowania partii. W jakim kierunku powinny pójść te reformy?

— Po pierwsze — wszyscy w partii — a chyba też i poza partią — musimy sobie uświadomić, że PZPR nie jest już partią rządzącą. Jest jedną z partii politycznych reprezentowanych w Sejmie.

Po drugie — celem partii nie jest rządzenie i wyręczanie innych, ale wygrywanie wyborów do Sejmu i Senatu, do rad narodowych i innych organów samorządowych. Musi zatem zmienić się struktura organizacyjna partii. Dotychczasowa była podporządkowana innym celom. W nowej sytuacji politycznej okazała się ona nieskuteczna.

— Chodzi również o tak szeroko dyskutowany teraz problem partii w fabrykach.

— To też. Zazwyczaj przy poruszaniu tego problemu pojawia się reakcja „obrony okopów Świętej Trójcy": — nie damy wyprowadzić partii z zakładów. Na ogół kryje się pod tym problem jedynie komitetów zakładowych. Tymczasem przygotowywana przez Klub Poselski PZPR ustawa o partiach niebawem usankcjonuje pluralizm polityczny. I partii może być na przykład piętnaście. Czy każda z nich, mając te same prawa, powinna otwierać swój komitet zakładowy? Jeżeli przyjmiemy taki model, to dyrektorzy zwariują. Trzeba zatem myśleć, jak to zmienić. Każda partia, czy to w fabryce, czy w innym skupisku ludzi pracy, musi działać przez swych członków, którzy tam są i będą.

— Jaki model ma mieć ta nowa struktura?

— Według mnie powinna powstać struktura terytorialno-środowiskowa. Struktura partii powinna organizacyjnie odpowiadać strukturze państwowej w tym sensie, że musi być dopasowana do terytorialnych struktur samorządowych. Jednostki podstawowe muszą mieć natomiast środowiskowo-branżowe struktury wewnętrzne.

— Czy oznaczałoby to likwidację obecnych komitetów dzielnicowych?

— Może likwidację, może przeformowanie. Wszystko zależy od tego, co zostanie uznane za jednostkę podstawową. W przypadku naszego województwa jednostkami takimi może być Łódź, inne miasto lub gmina. Ale niekoniecznie dzielnica. Jest bowiem wiele środowisk, które mają charakter ogólnołódzki i w struktury dzielnicowe zamknąć się nie dadzą. Na przykład jest to środowisko akademickie, komunikacja, kultura i inne. Ludzie gdzie indziej pracują, a gdzie indziej mieszkają. Ale wybory wygrywa się w terenie. Tylko wybrane gremia: senatorów, posłów, radnych mogą legalnie reprezentować partię i być instrumentami jej politycznej działalności.

— Jakie z tego faktu wynikają konsekwencje?

— Przede wszystkim musi nastąpić synchronizacja terminu wyborów w partii z wyborami w kraju: parlamentarnymi, samorządowymi. Chodzi bowiem o to, aby posłowie czy też radni mieli mandat płynący ze społecznego wyboru i na tej podstawie byli również delegatami na konferencje lub zjazdy. Nie ma bowiem sensu ponowna ich weryfikacja przez wybory w partii.

Klub poselski, zespoły radnych stają się podstawowymi formami działalności partyjnej na zewnątrz, prowadzą działalność polityczną. Muszą zatem być integralnym składnikiem odpowiednich władz partyjnych. Partia, poprzez wybory, walczy o poparcie dla swego programu, zdobywa wyborców, a przez to poparcie społeczne. I to staje się jedyną miarą skuteczności jej polityki.

— Musi mieć jednak atrakcyjny program.

— Programy mieliśmy niezłe, ale nie potrafiliśmy ich realizować. Główne cele PZPR — zwane głównymi celami socjalizmu — głosi przecież i „Solidarność". Niektórzy Amerykanie ponoć utrzymują, że „Solidarność" to też komuniści, tylko jacyś inni.

— To już chyba przesada.

— Nie będę się spierał z Amerykanami. Nie o to chodzi. Nie ma potrzeby poszukiwania nowych celów. One są. Trzeba natomiast szukać nowych sposobów ich realizacji.

— Pięknie. Ale mamy oto konkretny problem. W Łodzi od kilku miesięcy nie ma prezydenta. Jak ten problem rozwiązać? W nowej sytuacji politycznej KŁ PZPR jest bezradny, choć i do tej pory nie grzeszył nadmiarem inicjatyw.

— Nie KŁ PZPR wybiera prezydenta. Ale ten bałagan musi się wreszcie skończyć, zarówno jeśli chodzi o działalność KŁ, jak i o Urząd Miasta Łodzi. Sytuacja wymaga zmian kadrowych. I tu i tu. Dłużej ten nastrój tymczasowości i zakulisowych personalnych przepychanek nie może trwać. I baza partyjna i społeczeństwo Łodzi mają tego dość. Jak tak dalej pójdzie, to skończy się jak w przysłowiowej leśniczówce.

— W jakiej znów leśniczówce?

— Jest taka anegdota, która opowiada, że w walce o leśniczówkę w poniedziałek wygoniliśmy Niemców. We wtorek Niemcy nas. W środę my Niemców. W czwartek Niemcy nas. W piątek leśniczy się zdenerwował i w cholerę wygonił i nas i Niemców z lasu, bo na koniec tygodnia chciał mieć wreszcie porządek i spokój w leśniczówce.

— Aluzję o leśniczym pojęłam.

— To pięknie. A ten leśniczy już się denerwuje. Najlepszym dowodem jest list członków partii z „Polmerino".

— Ten leśniczy może nam załatwić sprawę zmiany kierownictwa KŁ PZPR, ale nie wybory prezydenta.

— Trzeba więc ogłosić konkurs na prezydenta miasta Łodzi. W Toruniu był już precedens. Trzeba ogłosić jasne, klarowne kryteria jakim ma odpowiadać kandydat. Byle tylko nie dopasowywać kryteriów do kandydatów, bo to już było.

— Ko ma ten konkurs ogłosić, skoro Rada Narodowa Miasta Łodzi ma długie wakacje?

— Ale nadleśniczy wrócił już z wakacji i bardzo się denerwuje.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

22 sierpnia 1989 r.

Przed bitwą – po drugiej stronie granicy

ze str. 1

naciskiem zakłamanej nagonki prowadzonej na całym świecie, że musi przystąpić do mobilizacji, mimo że Niemcy ze swej strony nie powołały ani jednego żołnierza, i że nawet przez myśl im nie przeszło wystąpić w jakikolwiek sposób przeciw Polsce". A tymczasem już 3 kwietnia 1939 roku gen Wilhelm Keitel — szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu — w wytycznych dla sił zbrojnych na rok 1939 — 1940 w związku z operacją „Fall Weiss" rozkazał:

„I. Przygotowania należy przeprowadzić w ten sposób, by móc rozpocząć operacje w każdej chwili, poczynając od 1 września 1939 r.".

Kryptonimem „Fall Weiss" oznaczono plan ataku na Polskę. 2 maja 1939 roku niemiecki dziennikarz odbył rozmowę z Peterem Kleistem — radcą biura ministra spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej, który powiedział:

„Nadeszła kolej na Polskę. Już działania Niemiec w marcu 1939 r. — utworzenie protektoratu w Czechach i na Morawach, utworzenie państwa słowackiego, przyłączenie okręgu Kłajpedy — były, nie w ostatniej kolejności, skierowane przeciw Polsce i zawczasu rozpatrywane jako akcje antypolskie. Hitler mniej więcej w lutym tego roku zrozumiał, że poprzednią drogą — kontynuowania pertraktacji — nie można przeciągnąć Polski na swoją stronę. Zdecydował więc, że należy Polskę rzucić na kolana. Wąski krąg wtajemniczonych osób wiedział, że ostatnią niemiecką propozycję uczyniono Polsce w absolutnym przekonaniu, że zostanie ona odrzucona".

Tenże Peter Kleist powiedział też, że ***„po bezlitosnym oczyszczeniu wschodu nastąpi „etap zachodni", który zakończy się porażką Francji i Anglii, osiągniętą na drodze politycznej i militarnej".*** Atak na Polskę miał być więc początkiem podboju Europy.

Niemieckie propozycje — zgodnie z niemieckimi przewidywaniami — zostały odrzucone tak w przemówieniu ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, jak i w nocie rządu polskiego z 5 maja 1939 roku.

23 maja odbyła się ściśle tajna narada w Kancelarii Rzeszy na której Adolf Hitler powiedział przede wszystkim, że ***„w okresie 1933 — 1939 postęp zaznaczył się na wszystkich polach"*** Uznał, że położenie militarne III Rzeszy ***„doznało olbrzymiej poprawy"***, ale sytuacja Rzeszy Niemieckiej ***„w stosunku do reszty świata pozostała ta sama"***. A zatem wniosek stąd prosty — należy ją zmienić na korzyść Niemiec! Droga ku temu wiedzie przez rozbicie Polski.

„Polacy — mówił Adolf Hitler — ***nie mogą być uważani z „dodatkowych wrogów". Polska będzie zawsze po stronie naszych nieprzyjaciół. Mimo traktatów przyjaźni Polska zawsze skrycie dążyła do wykorzystania każdej sposobności, by nam zaszkodzić.***

Gdańsk nie jest bynajmniej przedmiotem zatargu. Idzie tu o rozszerzenie naszej przestrzeni życiowej na Wschodzie, o zapewnienie środków żywności, o załatwienie problemu bałtyckiego".

Cel został wytyczony. Teraz chodziło o taktykę. A ta miała tak wyglądać:

„Zasadniczo więc należy ustalić — mówił dalej Adolf Hitler — ***że konflikt z Polską, zaczynając się od ataku na Polskę, tylko wtedy będzie uwieńczony powodzeniem, jeżeli mocarstwa zachodnie będą się od niego trzymać z daleka. Jeżeli to okaże się niemożliwe, będzie leniej atakować na Zachodzie załatwiając się z Polską w tym samym czasie.***

Izolacja Polski jest zagadnieniem umiejętnej polityki".

W polityce miedzynarodowej Adolf Hitler dążył więc wszelkimi sposobami do izolacji Polski, ale przygotowywał też uderzenie militarne. 7 sierpnia 1939 roku w Warszawie spotkali się jeden z dziennikarzy niemieckich i attaché wojskowy i lotniczy Rzeszy Niemieckiej w Warszawie — płk A Gerstenberg, który powiedział:

„5 i 6 sierpnia byłem w Berlinie. Obecnie podjęto decyzję. Jeszcze w tym roku będziemy mieli wojnę z Polską. Z całkowicie wiarygodnego źródła wiem, że Hitler podjął decyzję w tym sensie".

I dalej:

„Rozmieszczenie niemieckich wojsk przeciwko Polsce i koncentrowanie niezbędnych środków zostaną zakończone między 15 a 20 sierpnia. Poczynając od 25 sierpnia trzeba liczyć się z początkiem działań wojennych przeciwko Polsce".

22 sierpnia 1939 roku w Obersalzbergu odbyła się odprawa wyższych dowódzców niemieckich sił zbrojnych, na której Adolf Hitler wypowiedział między innymi i te słowa:

„Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem. Celem musi być nie dotarcie do jakiejś oznaczonej linii, lecz zniszczenie żywej siły. Nawet gdyby wojna miała wybuchnąć na Zachodzie, zniszczenie Polski musi być pierwszym naszym zadaniem. Decyzja musi być natychmiastowa ze względu na porę roku.

Podam dla celów propagandy jakąś przyczynę wybuchu wojny, mniejsza z tym, czy będzie ona wiarygodna, czy nie".

I dalej nawoływał:

„Bądźcie bez litości. Bądźcie brutalni. Osiemdziesiąt milionów ludzi musi otrzymać to, co im się należy, należy im się zapewnienie egzystencji. Prawo jest po stronie najsilniejszego. Trzeba postępować z maksymalną surowością".

I jeszcze:

„Pierwszy cel to dojście do Wisły i Narwi; nasza przewaga techniczna załamie nerwowo Polaków. Każda nowa armia polska, która się pojawi, winna być natychmiast zdruzgotana; wojna ma być wojną wyniszczającą".

23 sierpnia 1939 roku w Moskwie podpisano pakt o nieagresji wraz z dodatkowym protokołem, który dokonywał podziału wpływów, między Rzeszą Niemiecką i ZSRR. Polska znalazła się przecięta wpół linią podziału. Na pomoc ze wschodu już nie mogła liczyć, choć nie brano tego pod uwagę, ale nie przypuszczano, że z tej strony może w wojnie z III Rzeszą też przyjść zagrożenie.

29 sierpnia 1939 roku Polska Agencja Telegraficzna nadała komunikat, w którym rząd RP protestuje przeciw wkroczeniu wojsk niemieckich do Słowacji, jakoby w obronie tego państwa przed polskim zagrożeniem. Iluzoryczna niepodległość Słowacji przestała nawet być fikcją.

Na granicy z Niemcami nasiliły się incydenty. 23 sierpnia 1939 roku nad Boguminem i Nowym Boguminem pojawił się niemiecki trójsilnikowy bombowiec, którego przepędził znad terytorium Polski myśliwiec. W nocy z 23 na 24 sierpnia grupa 15 Niemców napadła na budynek stacji PKP w Makoszowy. Doszło do wymiany ognia. 24 sierpnia nocą Niemcy ostrzelali budynek straży granicznej w Gierałtowicach w powiecie Rybnik. 25 sierpnia zanotowano 7 incydentów granicznych, w tym dwa naruszenia polskiej przestrzeni państwowej przez niemieckie samoloty w rejonie Gdyni i Helu. Granica dosłownie płonęła, rozlegała się strzałami, byli ranni 26 sierpnia 1939 r konny patrol niemiecki wdarł się w polskie terytorium w powiecie Działdowo 6 km. Tego dnia polski patrol graniczny został ostrzelany z karabinu maszynowego z drugiej strony Wisły w rejonie Tczewa.

30 sierpnia 1939 roku ogłoszono mobilizację.

Część II. Przygotowania militarne.

W lipcu 1939 roku marszałek Edward Śmigły Rydz przyjechał z wizytacją w miejsce postoju oddziałów Armii „Łódź".

„Jeździliśmy — pisze w swoich pamiętnikach gen. Juliusz Rómmel — ***na inspekcję pozycji głównej wzdłuż Warty i Widawki, a potem zawiozłem go na nasz punkt obserwacyjny na południe od Wielunia, skąd roztaczała się panorama dalekich lasów. Dzień był cudowny i widoczność duża. Kolejno wskazywałem w terenie lasy, w których stacjonowały niemieckie wielkie jednostki. Na prawo, na zachód rozpoznano więc 3 wielkie jednostki — 18 DP, jedną zmotoryzowaną i jedną pancerną. Na wprost, w dalekim Kluczborku, w którym widoczna była wieża kościelna, stały 2 — 3 dywizje piechoty. W lasach oleśnickich 2 dywizje piechoty, a pod Wołczynem 14 DP i jedna zmotoryzowana.***

Ku memu zdziwieniu zobaczyłem, że te groźne wiadomości nie uczyniły na Śmigłym żadnego wrażenia".

W sierpniu 1939 roku odbywało się w Warszawie święto artylerii konnej, na którym gen. Juliusz Rómmel spotkał ówczesnego ministra spraw zagranicznych, płk artylerii konnej Józefa Becka. Ten długo dowodził gen. Juliuszowi Rómmlowi, że ***„wojny w ogóle nie będzie".***

„Zaproponowałem mu wtedy — wspomina gen. Juliusz Rómmel — ***by przyjechał do mnie na punkt obserwacyjny (koło Praszki) skąd pokażę mu lasy, w których stoją już dywizje niemieckie".***

Ale płk Józef Beck z propozycji nie skorzystał. Sądzę, że zdawał sobie już sprawę, że wojna jednak będzie i to w niedługim czasie.

Co widzieli polscy obserwatorzy z punktów obserwacyjnych wzdłuż polskiej granicy?

„Wszędzie — pisze gen. Juliusz Rómmel — ***wzdłuż całej granicy, trwały gorączkowe przygotowania. Kopano rowy przeciwczołgowe, budowano schrony betonowe i stawiano płoty z drutu kolczastego. Codziennie przychodziły z pobliskich lasów robocze oddziały, ubrane w jasne drelichy, które prowadziły na przedpolu roboty, mające na celu osłonę koncentracji wojsk niemieckich. Wywiad nasz dość regularnie dawał znać o przybywaniu coraz to nowych oddziałów. Było dla mnie jasne, że Niemcy, choć prowadzili dyplomatyczne rozmowy z Polską, postanowili uderzyć na nas, jak tylko ukończą tajną mobilizację i koncentrację".***

Armia „Łódź" otrzymała do obrony odcinek leżący między Kaliszem a Częstochową. Kalisz należał już do obszaru bronionego przez Armię „Poznań" i stacjonowała tu 25 DP. Częstochowa należała do obszaru bronionego przez Armię „Kraków" i stacjonowała tu 7 DP. Trzy armie: „Poznań", „Łódź" i „Kraków" — jak też Armia „Karpaty" — miały przeciw sobie Grupę Armii „Południe", którą dowodził gen. płk. Gerd von Rundsted. Jednostki, które wchodziły w skład Grupy Armii „Południe" zgrupowane były w 8, 10 i 14 armii. Stanowiły one:

— 21 dywizji piechoty; w toku działań wojennych Grupa Armii „Południe" wzmocniona została przez 56, 57 i 252 DP oraz 1, 2 i 3 DP słowackie;

— 3 dywizje złożone z oddziałów straży granicznej, pułku zmotoryzowanego SS Leibstandarte Adolf Hitler i pułku SS „Germania";

Przed bitwą

— 3 dywizje górskie;

— 2 dywizje zmotoryzowane;

— 4 dywizje lekkie (które można uznać za pancerne);

— 4 dywizje pancerne;

— 2 samodzielne pułki zmotoryzowane.

Z jednostkami Wehrmachtu współdziałały jednostki Luftwaffe: 2 dywizje lotnicze 4 Floty Powietrznej, dywizja specjalna i 27 pułk lotnictwa bombowego. 4 Flotą Powietrzną dowodził gen. Aleksander Löhr.

Długość odcinka, na którym miała atakować Grupa Armii „Południe", wynosił 770 km i biegła do Krosna Odrzańskiego przez Jarocin, Kutno, Koszyce do Muszyny. Przed jednostkami Armii „Łódź" stały jednostki armii 8 i 10. Linia rozgraniczająca tereny działania obu armii biegła od Oławy przez Namysłów, Wieluń do Łodzi. Tak więc przed oddziałami Armii „Łódź" stały — gotując się do ataku — wojska prawego skrzydła 8 Armii i lewego skrzydła 10 Armii Wehrmachtu.

Sztab 8 Armii stacjonował we Wrocławiu.

Na jej czele stał gen. Johannes Blaskowitz. W jej skład wchodziły: 10 i 13 Korpus Armii, oddziały z 13 i 14 odcinka Ochrony Granicy oraz pułk zmotoryzowany SS. 8 Armii Wehrmachtu postawiono następujący ogólny cel:

„Pierwszym zadaniem armii jest ubezpieczenie północnego skrzydła 10 armii od sił nieprzyjaciela w rejonie Kalisza i na południowy wschód od niego. Zadanie to należy rozwiązać ofensywnie. Tak szybko, jak to jest możliwe, osiągnąć i opanować rzekę Wartę po obu stronach Sieradza".

8 Armia działała w pasie o szerokości 220 km. 24 DP Wehrmachtu z 10 KA miała nakazany kierunek natarcia z Ostrzeszowa przez Grabów, Błaszki do miasta Warta, gdzie miała uchwycić przeprawę, jak też na Prośnie koło Grabowa. Natomiast wojska 13 KA — 10 i17 DP Wehrmachtu i pułk zmotoryzowany SS uderzały przez Bierutów, Kępno na Sieradz z zamiarem przechwycenia przejść na rzece Warcie. Po wykonaniu tego zadania wojska 8 Armii Wehrmachtu miały maszerować na Łódź. Osłaniały one od północy nacierające na Warszawę wojska 10 Armii.

Główne zadania operacyjne przypadły wojskom 10 Armii.

Dowodził nią gen. Walhter von Reichenau. Sztab 10 Armii Wehrmachtu stacjonował w Opolu. Armia ta działała w pasie szerokości 150 km. Jej lewe skrzydło stanowiły: 14 Korpus Zmotoryzowany, 11 Korpus Armii, 16 Korpus Pancerny i naprzeciw Częstochowy już poza zasięgiem działania Armii „Łódź" — 4 Korpus Armii.

Dowództwo Grupy Armii „Południe" wyznaczyło 10 Armii Wehrmachtu następujące cele:

„10 armia uderza w dniu „Y" przez linię Tarnowskie Góry — Wieluń. Przełamuje stojące przed nią prawdopodobnie tylko słabe siły nieprzyjaciela i naciera szybko w kierunku Wisły między Wieprzem a ujściem Bzury, niszcząc wszystkie przeciwstawiające się jej siły nieprzyjaciela. W związku z tym dla korpusów pierwszego rzutu celem jest Wisła. Cel ten należy możliwie szybko osiągnąć przez pełne wykorzystanie siły zaczepnej i szybkości jednostek pancernych i zmotoryzowanych. Ostateczna likwidacja rozbitych części nieprzyjaciela, zabezpieczenie skrzydła i tyłów postępujących szybko naprzód jednostek zmotoryzowanych będą przeprowadzone przez wojska drugiego i trzeciego rzutu.

Armia po przełamaniu niebezpiecznych ubezpieczeń granicznych będzie nacierać prawym skrzydłem przez Tarnowskie Góry, Zawiercie, Jędrzejów, Kielce na Radom; w centrum przez Częstochowę na Końskie; na północ lewym skrzydłem przez Wieluń, Piotrków na północ od Rawy".

Wojska 14 Korpusu Zmotoryzowanego miały uderzyć na Wieluń, Widawę. 11 Korpus Wehrmachtu uderzał po linii: Kluczbork, Działoszyn, Szczerców z zadaniem uchwycenia przeprawy na Widawce w rejonie Szczercowa. W skład 14 KZmot. wchodziły 1 Dywizja Lekka i 13 Dywizja Zmotoryzowana. W skad 11 KA wchodziły 18 i 19 DP. Od południa z rejonu Olesko przez Kłobuck na Piotrków Trybunalski nacierać miały wojska 16 Korpusu Pancernego, w skład którego wchodziły: 1 i 4 Dywizje Pancerne, 14 i 31 DP. W sumie taran pancerny na Warszawę składał się z 898 czołgów. Musiały one po drodze rozbić oddziały 28 i 30 DP, Wołyńską Brygadę Kawalerii i 7 DP z Armii „Kraków". Celem tego uderzenia było opanowanie Warszawy. Od północy na Warszawę szły wojska Grupy Armii „Północ".

Jaki był stosunek sił?

Stosunek sił był dla Polski niekorzystny. Jeśli nie wziąć pod uwagę 213 i 221 DP Wehrmachtu, które były w rezerwie, to stosunek sił Armią „Łódź", a stojącymi naprzeciw niej wojskami 8 i części 10 Armii Wehrmachtu był następujący:

— dywizje piech. ty 1:2,3 na korzyść Wehrmachtu,
— dywizje lekkie 0:1
— dywizje zmotoryzowane 0:1
— dywizje pancerne 0:1
— brygady kawalerii 1:0 na korzyść Armii „Łódź"
— działa przeciwpancerne 1:6,7
— działa przeciwlotnicze 1:12
— artyleria i moździerze 1:5,9
— czołgi 1:13, z tym, że po stronie polskiej w grę wchodziły tylko lekkie czołgi rozpoznawcze,
— samochody pancerne 1:10,7 — 14,5.

Niemiecki piechur uzbrojony był w karabin Mauzera (Gewehr 98), pięciostrzałowy, kaliber 7,9. Wehrmacht po aneksji Austrii i Czechosłowacji przejął dużą ilość różnorodnej broni. Na przykład karabiny Mannlichera (bewehr Modell 95), w które uzbrojona była piechota austriacka, kalibru 8 mm, przekazane zostały oddziałom Grenzschutzu. Karabiny armii czechosłowackiej, zbliżone konstrukcją do Mauzera, kalibru 7,9 mm, wykorzystywano w jednostkach Wehrmachtu, a karabin „kb-16/33" — po nieznacznych przeróbkach — otrzymały oddziały strzelców górskich. Przejęto też z armii czechosłowackiej duże ilości broni maszynowej.

W połowie 1939 roku wprowadzono w piechocie, jako uzbrojenie dowódców drużyn, plutonów i kompanii oraz w wojskach pancernych MP 38, kaliber 9. Był to pistolet maszynowy. Wprowadzono go po raz pierwszy w armii niemieckiej w 1918 roku Skonstruował go Hugo Schmeisser Pistolet maszynowy Bergmann 18 I miał boczny magazynek bębnowy na 32 naboje, kaliber 9 mm. Przegrana Niemiec w I wojnie światowej wstrzymała rozwój tego rodzaju broni. Sprawa powróciła wiosną 1935 roku. Rok później w stadium prób weszły 3 modele pistoletu maszynowego: Schmeisser MP 38, Bergmann MP 34 (Rheinmetall) i Erma MP (Volkmer). Po próbach postanowiono produkować MP 38. Broń ta — pistolety maszynowe — przeszła próby podczas wojny domowej w Hiszpanii.

Szczególne znaczenie dla uzbrojenia Wehrmachtu w 1939 roku i latach późniejszych miało zajęcie Czechosłowacji Władysław Kozaczuk w książce „Wehrmacht 1933 — 1939" tak pisze:

„Oprócz oryginalnych niemieckich rozwiązań i konstrukcji czołgowych stan posiadania niemieckiej broni pancernej istotnie wzrósł po zajęciu Czechosłowacji. Żaden inny czołg pochodzenia zagranicznego nie osiągnął tak wielkiego znaczenia w niemieckim Wehrmachcie, jak skonstruowany przez zakłady Škoda czołg 35 t i przez Ceskomoravską Kolben Danek czołg 38 t. Zwłaszcza ten ostatni „stanowił podstawę dla licznych odmian, które aż do końca wojny znajdowały się w dużych ilościach, jako użyteczne i niezawodne w użyciu wozy bojowe ***„na stanie uzbrojenia wojsk".***

W latach 1940 — 1941 czołgi typu 38 t stanowiły jedną czwartą wszystkich czołgów w niemieckich jednostkach pancernych. Jak z tego widać aneksja Austrii i rozbiór Czechosłowacji były nie tylko manewrem oskrzydlania Polski, ale ich potencjał wzmocnił też siłę militarną Rzeszy Niemieckiej. Teraz nadszedł moment ataku na Polskę. Powód znajdzie się zawsze. Adolf Hitler był przekonany, że w tej wojnie będzie zwycięzcą, a zwycięzców nikt nie śmie oceniać i oskarżać.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Bezcenne ślady żydowskiej kultury.

Kamienne tablice pamięci

JERZY KWIECIŃSKI

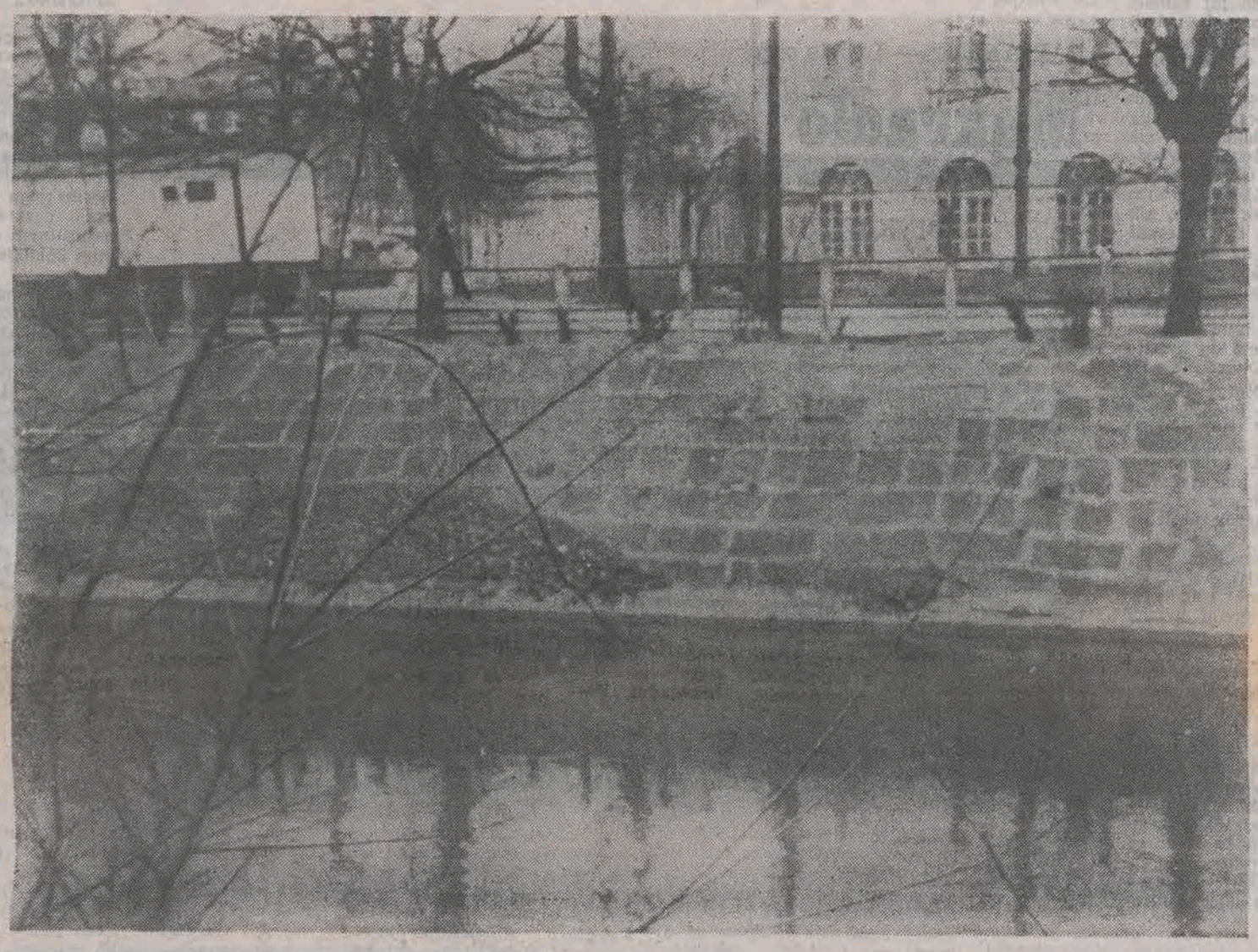

Wielkie musiało być zdumienie pracowników miejskich zatrudnionych przy umacnianiu jednego z kanałów Prosny przepływającej przez Kalisz. Oto natrafili niespodziewanie na tajemnicze pismo, wyryte na płycie wchodzącej w skład kamiennej wykładziny stromego brzegu. Po dokładniejszych oględzinach okazało się, że płyta, ponad wszelką wątpliwość, jest kamieniem nagrobnym — macewą z jakiegoś żydowskiego cmentarza. Ale czy tylko ta jedna, z wielu setek podobnych rozmiarami i kształtem?

Po wydobyciu i odwróceniu szeregu kolejnych płyt stwierdzono na ich powierzchni zwróconej ku ziemi, iż są to również epitafia. Uznano więc konieczność prowadzenia badań do końca. Ale tu wyłonił się problem, jak usunąć z brzegu kanału wszystkie płyty, aby nie spowodować obsunięcia się ziemi i ruinacji nadbrzeżnego wału.

W tej sytuacji władze miasta powiadomiły o swym odkryciu, zasłużoną wielce dla ratowania śladów kultury żydowskiej w Polsce, Fundację im. Nissenbaumów w Warszawie. Jej eksperci wysoko ocenili historyczną i naukową wartość sensacyjnego znaleziska i opowiedzieli się stanowczo za kontynuacją rozrozpoczętych badań, podejmując się ich sfinansowania. Dla miasta oznaczało to jednak dodatkowe, nieprzewidziane w budżecie koszty, związane z innym, niż pierwotnie zakładano, sposobem umocnienia brzegów kanału.

Jak to się mogło stać, że kamienne nagrobki pochodzące bodaj wyłącznie z kaliskiego cmentarza, użyte zostały — i kiedy? — do umacniania koryta rzeki?

Jak wiadomo, ofiarą hitlerowskiej furii niszczenia śladów historycznej obecności Żydów, zarówno w III Rzeszy jak i na okupowanych przez nią terenach padły również obiekty sakralne jak synagogi i cmentarze. Podobny los spotkał też najstarszy w Polsce i jeden ze starszych w Europie kaliski cmentarz żydowski pochodzący z XIII wieku, utworzony zapewne wkrótce po wydaniu przez Bolesława Pobożnego w 1264 „Statutu Kaliskiego" dla osiedlającej się ludności żydowskiej.

Przez siedem stuleci niemal do ostatniej wojny teren cmentarza pokrywały coraz to nowe nagrobki kolejnych pokoleń miejscowych Żydów, niejednokrotnie o nazwiskach znanych w Polsce i świecie, jak choćby słynny cadyk Abraham Avli Gumbiner — teolog judaizmu, na którego do dziś powołują się autorzy prac judaistycznych.

Do burzenia cmentarza przystąpili Niemcy na początku wojny, przeznaczając około dwa tysiące nagrobków na umocnienie wspomnianego kanału Rypinkowskiego, a przypuszcza się, że któryś z internowanych w Kaliszu jeńców angielskich, użytych do prac przy kanale, świadom historycznego znaczenia macew postanowił położyć jedną z nich napisem do góry, i to na wysokości lustra wody, w miejscu najmniej sprzyjającym szybkiemu wykryciu tego czynu. Przypuszczenie wydaje się wielce prawdopodobne. Dlaczego jednak na ślad macew natrafiono dopiero teraz?

Wróćmy do nieprzewidzianych finansowych i organizacyjnych kłopotów, które wyłoniły się w związku z koniecznością zaimprowizowania zmiany pierwotnego planu, co u nas zazwyczaj równa się rewizmowi. Ale Fundacja Nissenbaumów, której statutowe zadania ograniczają się do finansowania prac związanych ściśle z ratowaniem pamiątek żydowskiej kultury, uzyskała wsparcie zagranicznych środowisk żydowskich wspólnymi siłami zapewniła sobie przychylne poparcie Ministerstwa Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych, a osobiście ministra Józefa Kozioła, który polecił Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej w Poznaniu wyasygnowanie dla Kalisza dodatkowych pieniędzy. Nieczęsty to u nas przykład szybkiego i skutecznego działania interwencyjnego.

Ale to jeszcze nie koniec całej sprawy. Wydobyte macewy złożono wprawdzie na jednym miejscu, na terenie tzw nowego cmentarza żydowskiego, założonego w Kaliszu tuż po pierwszej wojnie światowej, co wydaje się niezupełnie odpowiadać aspiracjom społeczności żydowskiej w Polsce. Stary zabytkowy cmentarz jednak nie wchodzi w rachubę, ponieważ nie pozostało po nim ani śladu. Jeszcze przez szereg lat po wojnie istniały resztki cmentarnego muru przy dawnym Nowym Świecie, (a obecnie ul. Franciszka Zubrzyckiego), można też było przez zrujnowaną bramę dostrzec pojedyncze nagrobki, częściowo walające się po ziemi. Nie wiadomo, co się z nimi stało, choć zarówno o nich, jak i owych dwóch tysiącach wydobytych z brzegów kanału musieli ludzie od dawna wiedzieć. Zwłaszcza iż do niedawna istniała w Kaliszu Gmina Żydowska, której ostatni nieliczni członkowie odeszli podobno z tego świata.

W latach sześćdziesiątych teren żydowskiego cmentarza zniwelowano, a na opustoszałym przestronnym placu pobudowano Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla dzieci ułomnych, wraz z budynkami dla warsztatów i rozległym boiskiem, nadając obiektowi imię dr Janusza Korczaka. Patron niewątpliwie godny tego miejsca i tego wychowawczego zakładu, gdyby jednak żył na pewno zdziwiłby się, że tego, co tu było wcześniej nie upamiętniono żadną informacją i żadnym symbolem.

Czy jest dziś szansa na to i czy byłby w tym sens, gdyby restytuować w jakiejś postaci dawny cmentarz, zwłaszcza jeśli istnieje nowy?

Owszem, gdyby znalazł się sponsor, który najpierw wybudowałby w innym miejscu nie gorszy od obecnego ośrodek dla dzieci ułomnych, co chyba nie wchodzi w rachubę. Realniejsze wydaje się i chyba stosowniejsze wydzielenie na terenie ośrodka niewielkiego zakątka pamięci, **w postaci symbolicznej „Ściany Płaczu" z wmurowanymi pojedynczymi macewami**, a urządzenie pamiątkowego lapidarium na cmentarzu nowym, jeszcze formalnie czynnym, na którym jednak nie ma już prawie kogo chować.

Zresztą o wszystkim podejmie suwerenną decyzję mający odbyć się w najbliższych tygodniach zjazd Żydów, zrzeszonych w kaliskich „ziomkostwach" w 17 krajach świata. Zapowiedziały swój udział w zjeździe tak wpływowe osobistości, jak Rabbi Kestenbaum, doradca prezydenta USA do spraw Żydów w Europie Wschodniej.

To miarodajne gremium będzie chyba musiało wziąć pod uwagę twardą życiową okoliczność, że tylko w przypadku nielicznych świątyń i cmentarzy wyznaniowych (zarówno żydowskich, jak katolickich i innych), które mają szczególną wartość historyczną i artystyczną można będzie liczyć na państwowy bądź lokalny fundusz kultury. Los pozostałych miejsc kultu, które trzeba konserwować, udostępnić zainteresowanym, strzec przed rozgrabieniem i wandalizmem (jak to już okazało się konieczne w miejscu składowania macew) wszystko to zależeć będzie od zasobności gmin wyznaniowych. Co jednak w przypadku gmin, których członkowie wymarli lub gdy wierni rozproszyli się po świecie i nie są w stanie zadbać o miejsca pochówku przodków (jak choćby prawosławni na obszarze byłej „Kongresówki"). A cmentarzy, już w znacznej części nieczynnych, pozostało nam sporo. Są one cząstką historii i kultury tej ziemi są bez wątpienia wspólnym dziedzictwem tych, co dziś żyją i obowiązkiem zbiorowej pamięci.

Najszlachetniejsze intencje nie zastąpią jednak materialnych możliwości i jednoznacznych regulacji prawnych. Ale to osobny temat.

ze str. 1

Przypomnienie tego, co odeszło

go, że malarz benedyktyński malując śmierć jako kościotrup z kosą, na głowę wsadził jej jarmułkę. Od wczesnego średniowiecza szerzyły się pogłoski, że naród ten dokonuje rytualnych mordów dzieci chrześcijańskich, aby do macy dodawać ich niewinną krew. I nawet, gdy papież Grzegorz XI w XIII wieku wydał bullę, w której oskarżenia Żydów o potrzebie krwi chrześcijańskiej określone zostały jako *„oszczerstwa wymyślone przez tych, którzy pod pozorem religijnej gorliwości pozbawiają ich mienia"*, nadal powtarzano sobie szeptem oskarżenia i powstawały obrazy takie jak ten na wystawie, a przedstawiający rytualny mord.

Nie mieli Żydzi łatwego życia i z żakami krakowskimi. Gdy Szymon Cyrenejczyk, napotkawszy Chrystusa niosącego krzyż wraz z nim zaczął dźwigać ciężar, zostawił gdzieś na drodze koszyk z gęsiami. Kosz ktoś ukradł, więc Żydzi obiecali zapłacić za stratę. Obiecali, ale nie zapłacili. Żacy krakowscy dług ten od Żydów odbierali — zachodzili drogę mówiąc *„Kozubales płać Żydzie"* i wymuszali datek. Sporo więc na wystawie rycin przedstawiających ten zwyczaj nazywany „kozubales".

Bywali i Żydzi nawracani. Na obrazach można zobaczyć takie dysputy religijne. Ksiądz gwałtownie wymachujący rękami, górujący nad skulonym wystraszonym Żydem. Żyd skulony, bo gdzie mu tam porównywać swoją wiarę do religii katolickiej. Bywali też Żydzi bezdomni, wypędzani z domów, tułacze. I takich obrazów wiele na wystawie. Może właśnie dlatego ktoś napisał w „Książce Pamiątkowej":

„Biedny naród, bogaty, ale biedny".

4.

Malarze zauważyli udział Żydów w życiu społeczeństwa polskiego. Wiele jest obrazów, na których pokazani są jako karczmarze, drobni kupcy, czapnicy, handlarze starzyzną. Biedna dziewczyna sprzedaje Żydowi swój warkocz, ociera łzy, ale godzi się na transakcję. Czasem przygrywają Żydzi na weselu wiejskim, są piaskarzami lub gazeciarzami.

W malarskiej scenie z „Pana Tadeusza" honorowe, środkowe miejsce zajmuje Jankiel wraz ze swoim instrumentem. Są i Żydzi heroiczni biorący udział w naszych narodowych powstaniach. Tematem kilkunastu scen jest bohaterska walka Berka Joselewicza i jego Pułku Żydowskiego podczas Powstania Kościuszkowskiego.

Aleksander Lesser namalował pogrzeb ofiar manifestacji w roku 1861, w Warszawie. Zmarłych żegnają razem stojący obok siebie ksiądz katolicki i rabin. Wiele jest zwłaszcza obrazów z Powstania Styczniowego. Żydów biorących udział w walkach, zabitych, Jacek Malczewski wśród postaci swoich zesłańców umieścił i ich.

Zdarzały się jednak wypadki pomagania zaborcom, dlatego Wojciech Weiss w pracy pod tytułem „Pokusa" pokazał Żyda walczącego z pokusą wydania Rosjanom broni.

5.

Zawsze byli obok nas, przez te wszystkie stulecia. Razem cierpieliśmy. O tym w części wystawy zatytułowanej „Endlosung". To niemieckie słowo określające podejście hitlerowców do „kwestii żydowskiej" — „ostateczne rozwiązanie" Ta część mówi o tragedii, milionach ofiar, bezsilnej rozpaczy.

Obok okrutnych obozowych scen wisi obraz Jerzego Krawczyka — „Sobota" w żydowskim miasteczku. Żydowska ulica, żydowskie domy i szyldy na sklepach i między nimi żydowskie cienie. Cienie, bo ludzi w tym miasteczku już nie ma.

„Dziękuję, za wskrzeszenie chociaż cząstki tego wymordowanego narodu" — i taki wpis znalazł się w „Książce Pamiątkowej".

Ktoś inny, może właśnie po obejrzeniu ostatniej ekspozycji, napisał: *„Kocham Żydów"*

6.

Ostatnia część to tylko portrety, na ogromnej ścianie wiszą obok siebie twarze Żydów o wyrazistych rysach, innych niż słowiańskie, tych nieznanych i znanych, ważnych dla naszego życia kulturalnego i politycznego. Niektórzy to Żydzi, ale i Polacy. Julian Tuwim, w swojej wielkiej deklaracji zatytułowanej „My, Żydzi polscy..." napisał:

„I od razu słyszę pytanie: „Skąd to MY? Pytanie w pewnym stopniu uzasadnione. Zadają mi je Żydzi, którym zawsze tłumaczyłem, że jestem Polakiem, a teraz zadają mi je Polacy, dla których, w znakomitej ich większości, jestem i będę Żydem. Oto odpowiedz dla jednych i drugich (...)

Być Polakiem — to ani zaszczyt, ani chluba, ani przywilej. To samo jest z oddychaniem. Nie spotkałem jeszcze człowieka, który jest dumny z tego, że oddycha. (...)

Polak — bo mi tak w domu rodzicielskim po polsku powiedziano; bo mnie tam polską mową od niemowlęcia karmiono; bo mnie matka uczyła polskich wierszy i piosenek; bo gdy przyszedł pierwszy wstrząs poetycki, to wylądował się polskimi słowami; bo to co w życiu stało się najważniejsze — twórczość poetycka — jest nie do pomyślenia w żadnym innym języku, choćbym nim jak najbieglej mówił. (...)

Polak — bo przejąłem od Polaków pewną ilość ich wad narodowych. (...)

Ale przede wszystkim — Polak dlatego, że mi się tak podoba.

Na to słyszę głosy; „Dobrze" Ale jeżeli Polak, w takim razie dlaczego „MY ŻYDZI". Służę odpowiedzią „Z POWODU KRWI". — „Więc rasizm?!" — Nie. Wcale nie rasizm, wprost przeciwnie.

Dwojaka to krew: ta w żyłach i ta z żył. Pierwsza jest sokiem mięsnym, więc badanie jej należy do fizjologów (...).

Druga krew — to ta właśnie, którą ów herszt międzynarodowego faszyzmu wytacza z ludzkości, aby zadokumentować triumf swojej juchy nad moją juchą. — Krew niewinnie pomordowanych milionów ludzi, krew nie w arteriach, lecz krew ujawniona. Takiej powodzi męczeńskiej krwi nie było jeszcze jak świat światem, a krew Żydów (nie „krew żydowska") najszerszymi i najgłębszymi płynie strumieniami. Szczerniałe jej potoki zlewają się w burzliwą i pienistą rzekę...

I W TYM OTO NOWYM JORDANIE PRZYJMUJĘ CHRZEST NAD CHRZESTY: KRWAWE, GORĄCE, MĘCZENNICZE BRATERSTWO Z ŻYDAMI. (Tygodnik „Gwiazda Polarna" Toledo 1944 r.).

Marek Rostworowski chciał za pośrednictwem artystów, których prace zgromadził pokazać prawdziwą twarz tego narodu, któremu przypisywano tyle masek.

Na tę wystawę czekaliśmy kilkadziesiąt lat, kultura żydowska przeżywa prawdziwy renesans, ale w pytaniu, które przecież tak często nadal się słyszy, czy ktoś jest Żydem ukryty jest antysemityzm.

ZOFIA KĘDZIORA

PABIANICE: — Ludzie oczekują pomocy!

Mokradło

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Tamta zima była łagodna, gliniaste podłoże nie przepuszczało wody, toteż **ulica Marcelego Nowotki w Pabianicach** łączyła się z ul. Karniszewicką niewielkim, lecz głębokim jeziorkiem. W czasie roztopów wszystkie uliczki w tej peryferyjnej części miasta stawały się nieprzejezdne. Na dodatek kiepska nawierzchnia, brak chodników złe oświetlenie, kłopoty z kanalizacją, wodą i gazem. A tu jeszcze wyziewy z „Papierni" „Środków Opatrunkowych" i „Polfy". Strefa przemysłowa, nie powinno się więc budować domów, a jednak...

No właśnie. Pisałem o tym w reportażu pt. „Kara za zaufanie", „Odgłosy" nr 11 z 12 marca 1988 roku. Pisałem o kłopotach mieszkańców, którzy mieli trudności z podłączeniem do sieci gazowej. Ostatecznie zrewaloryzowano im włożone przed laty wkłady pieniężne i np. pani Helena Biskupska ma już gaz w domu. Podłączona do gazu jest także posesja przy ul. Ogrodowej 9 a, należąca do pani Marianny Kala. **Ale w domu gazu jeszcze nie ma. Dlaczego?**

Sygnalizowałem ten problem pośrednio w marcowych „Odgłosach" z 1988 r. Rzecz w tym iż w 1986 r. na terenie ogródków działkowych **PZPB „Pamotex" przy ul. Ogrodowej** zaczęto wznosić szeregowy, dziesięciosegmentowy zestaw domków jednorodzinnych. Mąż pani Kala, człowiek schorowany, więzień obozów koncentracyjnych, posiadywał na leżaku pod gruszą, patrzył na sąsiednie ogródki działkowe i ani mu do głowy nie przyszło, że pozostawi żonie schedę, przez którą ta zazna samych zgryzot. Zmarł w 1985 r.

Marianna Kala, emerytka lat 70, która 29 lat przepracowała jako tkaczka w **PZPB „Pamotex"**, nie spodziewała się, iż koledzy z pracy, z tej samej firmy, zaczną działać na jej szkodę. A małżonek inwalida wojenny, prawdę mówił przed śmiercią: „Ja już nie doczekam tej budowy po sąsiedzku, byle tylko zonie dali spokój"...

Stara kobieta nie zaznaje na starość spokoju. W czym rzecz? Ano w tym, że, początkowo, gdy ogródki po sąsiedzku były nie zabudowane, ale w jakimś stopniu zmeliorowane, działkowcy odprowadzali wodę rowkami na ul. Ogrodową. Bo ta ulica biegnie z południa na północ i w tym samym kierunku występuje spadek terenu, tak że wody opadowe z „górki" gdzie były ogródki pracownicze, spływały w dół, aż **do ul. Karniszewickiej**, czyniąc teren nieprzejezdnym. Aliści zawiązała się **w „Pamotexie"** spółdzielnia budowy domków jednorodzinnych, które miały stanąć w ogródkach. Pani Kala była ciekawa nowego sąsiedztwa, udała się przeto do Urzędu Miasta, aby zajrzeć do planów. Okazało się, iż projekt zakładał budowę domków usytuowanych w kierunku wschód-zachód, po kilka w kilku rzędach, **od ul. Marcelego Nowotki do Ogrodowej**. No i w porządku, pojedynczymi domkami została zabudowana **ul. Tulipanowa**, od frontu ogródki, spokój i nikt nie narzeka. Kalowa się nie sprzeciwiała, ponieważ w pierwotnym projekcie planowano zabezpieczenie jej posesji przed zalewaniem, przy czym koszty mieli ponieść budowniczowie, z uwzględnieniem odpływu wody do kanalizacji miejskiej **w ul. Ogrodowej**. I faktycznie, gdyby domki stanęły w kilku szeregach, odwodnienie terenu byłoby możliwe.

Niestety, stało się inaczej. A to, co zbudował **„Pamotex"** na Ogrodowej, zasiedziałych mieszkańców wprawia w ambiwalencję. Kręcą głowami i mówią, że robotnika nie stać dziś na budowę takiego domu. No, a jak zakład pracy pomoże, jak załatwi transport, materiały sprzęt, dźwig itp? Ano tak, możliwe powiadają na **Ogrodowej**, tylko że ta fabryczna spółdzielnia budowlana wzięła do interesu bodajże jednego robotnika na okres, chyba Chmielewskiego a reszta to kadra kierownicza. Dyrektor też się buduje, więc jak zawiało śniegiem, z fabryki przyjechał pług i zgarnął śnieg do połowy ulicznik i zepchnął na siatkę ogrodzenia Kalowej, najbliższej sąsiadki.

Powiedzmy sobie jasno, że w **Pabianicach** panuje głód mieszkaniowy i ludzie z inwencją mają prawo się budować. Inna sprawa, że nie powinni budować się w zagrożonej ekologicznie strefie przemysłowej. Ktoś jednak wydał decyzję i pracownicy **„Pamotexu"** wznieśli swój segment. A kto zezwolił na zmianę projektu? Bo domki powstały w jednym szeregu **wzdłuż ul. Ogrodowej**, na jednym fundamencie, w zabudowie jednolitej, ciągłej, bez przerw, a spadek dachów skierowano na stronę wschodnią. Raz, że segment stanął na „górce", dwa, że w miejscu ogródków nawieziono ziemi, w związku z czym powstało wywyższenie terenu i różnica poziomu między terenem segmentu a posesją Kalowej i dalszych sąsiadów wynosi ponad metr. Zabezpieczeniem miał być wysoki na 20 cm fundament ogrodzenia, ale to żadna przeszkoda. Wody opadowe nie kierują się obecnie w stronę ulicy i kanału, lecz wszystkie płyną w stronę posesji Kalowej i mieszkającego tuż za nią, jeszcze niżej, Bogdana Rosińskiego.

Kiedy patrzy się na czarną jamniczkę, za którą turlają się na krzywych łapach cztery szczeniaki, na ten murowany parterowy domek z frontem na południe, na zieloną, zakrzewioną działkę o pow. 558 m kw., człowieka ogarnia nieodparcie uczucie sielskości. Chciałoby się tutaj mieszkać. Ale gdy wejdzie się do środka, nastrój się zmienia. Bo cały budynek jest systematycznie podtapiany, wewnątrz panuje wilgoć, w piwnicy stoi bez przerwy woda. Szambo wylewa, co rusz musi być opróżnione, a pracownicy **RPGM i K** nie są w stanie zmierzyć zużycia wody z wodociągu, gdyż wodomierz zalewany jest ciągle wodą gruntową i opadową. Pocą się podłogi i ściany, odzież w szafach jest wilgotna, pościeli nie można wkładać do tapczanu, a gdy leży na wierzchu, to i tak w ciągu dnia zawilżeje. Syn pani Kalowej, Józef Mik, wynosi swoją pierzynę na strych. Nie można w normalny sposób korzystać z komórek, w których stoi woda. Gdy po sąsiedzku były tylko ogrody działkowe, zadrzewione i uprawiane, z odprowadzaną wodą, u Kalowej było słucho. Ale od trzech lat sytuacja się zmieniła i z roku na rok jest gorzej. Po prostu mokradło.

A przynajmniej od dwóch lat Kalowa musi osuszać i ogrzewać swój dom w takich miesiącach, jak czerwiec, lipiec, sierpień. Po 29 latach pracy w **„Pamotexie"** otrzymuje 44 tys. emerytury plus 10 tys. dodatku zbowidowskiego i przy obecnych cenach nie stać jej na kupno zwiększonych ilości węgla. Poza tym dom ulega postępującemu zawilgoceniu i dewastacji. W tej chwili wymaga remontu, tzn. odwodnień fundamentu na całej długości, ocieplenia całej powierzchni i wykonania innych prac, koniecznych ze względu na zmianę struktury gleby i powstanie nowych żył wodnych. **Ba, tylko kto za to wszystko zapłaci?** I dlatego też nie doprowadzono do budynku gazu, żeby przy remoncie nie niszczyć instalacji.

Marianna Kala jest szczupła, siwowłosa, o bladej, przeżartej wilgocią twarzy. Cierpiała na tarczycę i na zawroty głowy, przed rokiem poddała się operacji. W jej wyblakłych oczach lśnią łzy. Bo kiedy przebywała w szpitalu, sąsiedzi z tego segmentu cieszyli się, że stara zemrze, a z synem to sobie poradzą. **Czy koledzy tak powinni traktować rencistkę, byłą towarzyszkę pracy?** A teraz gadają, że ją stąd wysiedlą. Dlaczego? Ano bo w tym domu przed wojną i jeszcze po wojnie funkcjonowała mała fabryczka, stały krosna. Chcieli tu otworzyć przedszkole, ale nie otworzyli ze względu na skażenie ekologiczne terenu. Starsi mogą żyć w tym skażeniu, a inni jeszcze się budować. No, gdyby miejsce nadawało się na przedszkole, to pewnie by dom zabrali. Kala miał wieczystą dzierżawę, ale jego żona kupiła posesję za własne pieniądze, po śmierci męża przeprowadziła proces spadkowy i jest na swoim. A teraz ci z tego segmentu zaczepiają syna na ulicy i wymawiają mu, że im żyć nie daje. Kto komu nie daje żyć, psiakrew! Urzędnicy odsyłają Kalową do sąsiadów z segmentu, żeby załatwić sprawę polubownie, bo wg. prawa budowlanego budujący się muszą zabezpieczyć sąsiada przed szkodami. Nic z tego.

We wrześniu 1987 r. Kalowa zwróciła się do **Wydziału Gospodarki Komunalnej, Mieszkaniowej i Ochrony Środowiska** z prośbą o podłączenie swej posesji do kanału w **ul. Ogrodowej**. Po roku przyszła odpowiedź. Problem zalewania posesji przy **ul. Ogrodowej 9 a** wodami opadowymi może być rozwiązany dopiero po budowie kanału ogólnosprawnego **w ulicy Karniszewickiej**. Podłączenie do kanalizacji **w ulicy Nowotki i Żymierskiego** także jest niemożliwe ze względu na przepełnienie. Budowniczym segmentu **„Pamotexu"** także odmówiono odłączenia do kanalizacji i koło zamknęło się. Mokradło...

Należy docenić inwencję i pracowitość ludzi z **„Pamotexu"**, którzy sami zbudowali swój dom. Ale, jak twierdzą starzy mieszkańcy Ogrodowej, skoro chcieli mieć duże place i postawili tam dom inaczej niż przewidywał plan, to muszą zabrać tę wodę, która zalewa sąsiadów. Ludzie patrzą na to wszystko i próbują dociec, kto jest winnien, że domy Kalowej i Rosińskiego ulegają zniszczeniu, kto podjął decyzję i zatwierdził plan budowy niezgodny z naturalnym ukształtowaniem terenu i naturalnym spadkiem wody.

Przed ponad rokiem pisałem o wsi w mieście, gdzie trzeba przytrzymywać się płotów, by nie upaść w błoto, gdzie słychać ujadanie psów o zmierzchu i pianie kogutów o świcie. Błoto pozostało, a ciszę wiejską diabli wzięli. Pod oknami Marianny Kalowej huczy wibrator, aż trzęsą się ściany, i rosną rzędy wyrabianych pustaków. Segment zabrał Kalowej słońce, nie zgodziła się więc, aby najbliższy sąsiad postawił przy ogrodzeniu budynek gospodarczy i uruchomił warsztat samochodowy. Ale sąsiad nadal wyrabia pustaki.

A przed segmentem pryzmy żużla i żwiru. I z tego dodatkowego garbu ciecze w dół środkiem **ul. Ogrodowej** strumyk, gdy tylko popada, i ten strumyk przy zbiegu **z Karniszewicką** tworzy nowe jezioro, w którym toną samochody. Pan Biskupski, który raz już się topił będzie chyba musiał wynająć na stałe konia do wyciągania swojego fiacika.

SIERADZ: Miasto aż huczy od plotek.

Gwałt w prosektorium

EUGENIUSZ IWANICKI

Zatelefonował do mnie zastępca Prokuratora Wojewódzkiego w Sieradzu **Joachim Krull**.

— Mam coś dla prasy, proszę przyjechać.

— Jak wielkie jest to „coś"?

— Na miarę sensacji.

— Lokalnej czy ogólnopolskiej?

— W tej chwili lokalnej, ale nie wykluczone, że natknęliśmy się na przysłowiową górę lodową. O szczegółach dowie się pan na miejscu.

— Proszę zatem podać hasło wywoławcze owej sensacji.

— Gwałt w prosektorium. I to podwójny!

Pojechałem.

Sieradz aż huczy od plotek. Różne rzeczy tu się działy: i morderstwa były i gwałty, i cuda. Ale czegoś takiego jeszcze miasto nie przeżywało. Wystarczyło zapytać kobiety stojące w kolejce w „Supersamie" czy kupujące warzywa na rynieczku, aby natychmiast rozgorzała dyskusja pełna inwektyw i słów potępienia dla sprawców owego haniebnego czynu. Opinia publiczna co jakiś czas jest informowana o grasującym tu lub ówdzie dewiacie seksualnym, który gwałci i morduje, ale nikt nie pamięta, żeby pisano o nekrofilach.

Zanim prokurator prowadzący śledztwo **Stefan Zakrzewski** z Prokuratury Wojewódzkiej w Sieradzu zakończy dochodzenie, zanim sprawa znajdzie się w sądzie i bogini sprawiedliwości rzuci na szale swojej nieomylnej wagi czyny dwojga młodych ludzi — opowiedzmy całą rzecz od początku. Niestety ze względów nie tylko obyczajowych i moralnych, ale także i dla dobra czytających, będziemy musieli opuścić wiele dosadnych opisów, którymi bogato ubarwili swoje zeznania „bohaterowie" tej niesławnej historii.

Krzysztof Andrzej O., rocznik 1962, wykształcenie podstawowe, zamieszkały w **Pieszycach Wałbrzyskich**, a zatrudniony we Wrocławskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego nr 2 **we Wrocławiu**, postanowił nagle odwiedzić swoją znajomą w Sieradzu. Wsiadł tedy 2 sierpnia 1989 r. do pociągu i po południu był na miejscu. Niestety, dziewczyny nie było w domu, przebywała w pracy w Szpitalu Miejskim.

Wiadomo jak jest nudno obcemu przybyszowi w obcym dlań mieście. Krzysztof Andrzej O. aby zabić czas udał się do szpitala, licząc, że być może dziewczyna szybciej skończy dyżur. A tu upał, gorąco, pragnienie nie daje spokoju. Najlepiej byłoby gdzieś zapaść, schronić się w cieniu i chłodzie i wypić co nieco.

Dziewczyna od razu zgodziła się na wypicie. Tylko gdzie?

— Może u ciebie? — pyta Krzysztof O.

— Coś ty! U mnie lepiej się nie pokazywać.

— No to gdzie?

— Najlepiej w parku.

W tym czasie zjawił się kolega dziewczyny, także pracujący w tymże szpitalu.

— Poznajcie się — mówi dziewczyna. — To Darek.

Dariusz Edward Ł. mieszkaniec **Zduńskiej Woli**, rocznik 1962, wykształcenie podstawowe, nie ma nic przeciw wypiciu.

Krzysztof O. kupuje więc trzy butelki wina marki „vermout" i cała trójka idzie do przyszpitalnego parku. Ale jak to w takich sytuacjach bywa, wino się skończyło a pragnienie jakby jeszcze wzrosło. Więc Krzysztof zgłasza chęć kupienia kolejnych butelek. Idą przeto „na miasto" i Krzysztof O. rzeczywiście udaje się do sklepu. Kiedy przynosi dwie butelki, dziewczyny już nie ma. Poszła do domu. Darek proponuje dalszy spacer. Tak chodząc napotykają przygodnych mężczyzn i z nimi wypijają wino. Później owi mężczyźni rewanżują się i pijatyka trwa w najlepsze.

Nadeszła noc, gwiaździsta noc sierpniowa z jasno świecącym Wielkim Wozem i gorejącą w zenicie Gwiazdą Polarną.

— Mam ochotę na kobietę — mówi nagle Darek. — A ty? Czy nie chciałbyś wyżyć się seksualnie?

— Czemu nie. Tylko o tej porze trudno będzie coś znaleźć.

— Znam takie miejsce, gdzie są dziewczynki.

— O tej porze?

— Właśnie o tej porze.

— Daleko stąd?

— Bliziutko. W szpitalu.

— W szpitalu?

— Tak, w prosektorium. Tam zawsze są jakieś kobiety.

— Zgwałcimy je! — zapiszczał z radości Krzysztof O.

— Po sto razy! — odpowiedział Dariusz Ł. i poprowadził kumpla przez teren szpitala do budynku, gdzie przechowywano zwłoki, czyli do trupiarni nazywanej w języku urzędowym prosektorium.

Zastali drzwi zamknięte na klucz.

— Przez okno!

— Zakratowane.

— Rozprujemy siatkę, to nic trudnego.

Poszło łatwo. Gorzej było z podważeniem i wyjęciem okna, ale jakoś sobie poradzili. Wewnątrz pomieszczenia panowała grobowa cisza i mogilna ciemność.

— Nic nie widzę — powiedział Krzysztof O.

— Zaczekaj, zaraz zapalę światło.

Ostry blask na moment oślepił, ale już po chwili byli obok chłodni...

— Patrz, są dwie, akurat dla nas!

Na dole leżały zwłoki staruszki, na górze młodej dziewczyny.

— Biorę tę z góry — zdecydował Krzysztof O. i szybko wlazł na wózek. Dariusz Ł. nawet pamięta, że coś tam gadał do tej dziewczyny tam w górze, ale dziś żaden z nich nie pamięta co. Do przesłuchującego go prokuratora Krzysztof O. powie:

„Chyba coś zagadałem do tej młodej dziewczyny. Leżała na wznak..." Dalsze zeznania nie nadają się do publikowania.

W tym czasie Dariusz Ł. stał nad zwłokami staruszki i onanizował się.

Wyszli późną nocą zamykając chłodnię. Bardzo zmęczeni i senni. Na terenie szpitala usilnie poszukiwali jakiegoś lokum, ale ponieważ alkohol nadal szumiał im w głowach i oddalone gwiazdy wirowały niczym rozjuszony rój pszczół, wtłoczyli się do pierwszej lepszej piwnicy, jaką napotkali na swojej zygzakowatej drodze.

— Masz dość? — zapytał Dariusz Ł.

Krzysztof O. nie od razu odpowiedział: właściwie nie był pewny. Odpowiedział więc niepewnie:

— Nie bardzo.

— No to obejmij mnie — zaproponował Dariusz Ł. przysuwając się bliżej.

— A ty?

— Ja cię też obejmę.

Objęli się. Przytulili się do siebie. Ta noc nastrajała sentymentalnie i erotycznie.

W śledztwie zgodnie twierdzą, że będąc w piwnicy onanizowali się wzajemnie, choć na dobrą sprawę nie byli aż tak pijani, by niczego nie pamiętać. I teraz obaj przyznają, że fakty z owej nocy utrwaliły się mocno w ich pamięci, wiedzą i pamiętają nawet szczegóły i picia wina w parku przyszpitalnym, i włóczenia się po mieście, i owych przygodnych mężczyzn, z którymi pili, i wszystko co zaszło w prosektorium, i to czym zajmowali się przez resztę nocy w piwnicy.

Jeśli wierzyć zeznaniom Krzysztofa O. i Dariusza Ł., żaden z nich nigdy nie był leczony psychiatrycznie, nie korzystał z poradni chorób nerwowych. Jedynie Krzysztof O. przyznaje, że pięć lat temu chorował na kilę, ale został wyleczony.

Jedynym ciekawym szczegółem, nie tylko dla czytelników lecz przede wszystkim dla psychiatrów, jest to, że obaj twierdzą, iż nie mają stałych dziewczyn, a stosunki płciowe miewają bardzo rzadko przeciętnie raz na miesiąc, bo nie czują takiej potrzeby (przypominam że obaj mają po 27 lat, a więc są w pełni sił witalnych). Z dziewczynami, twierdzą wszystko odbywa się „normalnie". A że dokonali gwałtu na zwłokach? Zdarzyło się to im po raz pierwszy, sami teraz nie wiedzą jak do tego doszło...

Raport z podróży polskiego profesora.

Dlaczego Polska nie może być drugą Japonią?

HENRYK RAFALSKI

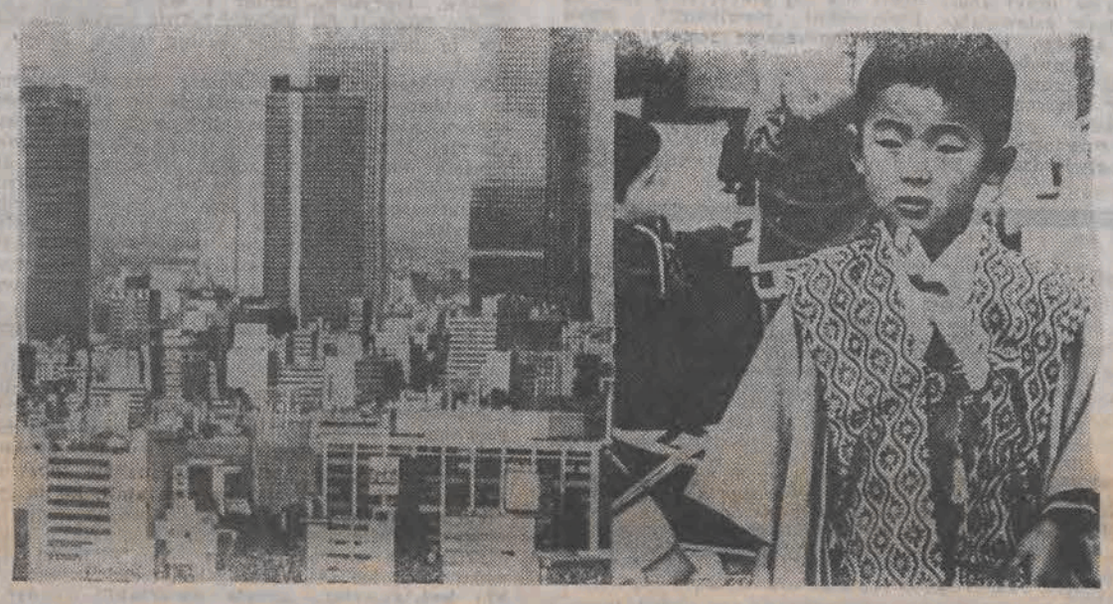

1.

Charakterystyczną dla Japonii jest jej odrębność, zarówno od innych krajów kapitalistycznych, jak i krajów socjalistycznych. Ze względu na górzyste ukształtowanie terenu, dużą liczbę czynnych wulkanów (150) i liczbę — 121,6 mln — ludności, na obszarze równym Polsce i podzielonym na 49 województw powstały duże skupiska miejskie. Zwiedziłem miasta zasiedlone przez mieszkańców w liczbie: Tokio — 12 mln, Aomori — 800 tys., Nagano — 1 mln, Hokadate — 500 tys., Usuuda — 200 tys., Saku — 60 tys., Chiba — ok. 1 mln. Pomiędzy standardem miast różnej wielkości nie obserwuje się różnic. Obok zamożności mieszkańców nie jest widoczna bieda, jaka ma miejsce np. w USA, gdzie w odległości 10 km od pałacu prezydenta niebezpieczne jest przebywanie na ulicy. W skrajnych warunkach w nocy na ulicy miast japońskich nie odczuwa się strachu. W dzielnicach miast, w których w Zachodniej Europie (Londyn, Hamburg, Sztokholm) lub USA (New York) dominuje atmosfera brutalności, nachalne wciąganie przechodnia do klubów, restauracji, lokali rozrywkowych, w Japonii panuje spokój i nie ma rzucającej się w oczy agresji.

2.

Istnieje tu nawyk noszenia ujednoliconego stroju dla osób zatrudnionych w tym samym zakładzie pracy (sklep, szpital, kolej, hotel). Zwraca uwagę czystość ludzi i ich otoczenia. Na ulicach i w miejscach publicznych nie ma śmieci. W dużych skupiskach ludzi (ulica, pociąg, autobus, sala obrad konferencji — 2000 osób) nie wyczuwa się przykrych zapachów, jak również pochodzących ze środków kosmetycznych. Wyjątkowa czystość panuje w publicznych WC świetnie wydezynfekowanych z dodatkiem środków o miłym zapachu. Pomieszczenia WC są ozdobione kwiatami a z głośników słychać śpiew ptaków (w hotelu ponadto muzyka Chopina).

3.

Zarówno w dużych, jak i małych miastach ulice i drogi są wąskie, a mimo dużej liczby samochodów ruch uliczny jest bezkolizyjny. Liczba samochodów osobowych na mieszkańca jest w Japonii podobna jak w USA (0,6 samochodu na osobę lub 2 samochody na rodzinę). Inne są natomiast rozmiary samochodów. Największym samochodem, jaki widziałem w Japonii był „Mercedes", najmniejszy był wielkości „Fiata 127". Dostępność samochodów wynika m.in. z ich ceny. Najdroższy samochód sportowy kosztuje 2 mln jenów. Jest to wartość około 7-krotnego średniego zarobku pracownika przemysłu, który wynosi 300 tys. jenów. Samochód ogólnie dostępny kosztuje około 1 mln jenów. Najczęściej używane samochody kosztują od 100 tys. do 500 tys. jenów.

Cena najtańszego aparatu wideo wynosi 50 tys. jenów, cena zegarka „Seiko" — 10 tys. jenów. Relację tych cen do zarobków polskiego profesora wyższej uczelni można zilustrować moją sytuację w Japonii. Na podróż otrzymałem w Banku Polskim 9,6 tys. jenów, płacąc za nie 120 tys. zł (po cenie 1500 zł za 1 dolar). Kwota 120 tys. zł przewyższa moje miesięczne uposażenie. Suma 9,6 tys. jenów wystarczyła na przejazdy w czasie 1 dnia: autobusu z Narita Port do Terminalu w obydwie strony, ok. 150 km — 5 tys. jenów, autobus z Terminalu do portu wewnętrznego, z którego startują samoloty na wyspę Honshu do Aomori — 2 tys. jenów, taksówki — opłata najniższa wynosi 170 jenów. Przelot samolotem z Warszawy do Tokio kosztuje ok. 1 mln zł, co stanowi 11 pensji profesora uczelni w Polsce, podczas gdy w Japonii cena biletu lotniczego Tokio — Warszawa jest niższa od jednej miesięcznej pensji profesora japońskiego. Przypuszczam na tej podstawie, że siła nabywcza przeciętnych zarobków miała się wówczas w naszych krajach jak 1:12—15 na niekorzyść Polski. Relacja jena do dolara wynosi 125:1.

4.

Rozwój cywilizacyjny Japonii w okresie od zakończenia drugiej wojny światowej ilustrowany jest w muzeum, które zwiedzałem. W 1945 r. stopień rozwoju cywilizacyjnego np. w rolnictwie był podobny jak w Polsce. Wyżej rozwinięte było wyposażenie armii, lotnictwa i marynarki wojennej. Różnice między Polską i Japonią od tego czasu tak zwiększyły się na niekorzyść naszego kraju, że moim zdaniem jest całkowitą niedorzecznością mówienie o **„zbudowaniu w Polsce drugiej Japonii"**. Ta niemożność wynika nie tylko z głębokich różnic między poziomem życia ludzi, lecz również, a może przede wszystkim z kultury i tradycji i z różnicy sposobu postępowania, zachowania się każdego człowieka w Japonii i w Polsce. Na tym tle, moim zdaniem podstawową sprawą dla Polaka jest zmiana wychowania powszechnego i nauczania na wzór edukacji obowiązującej w Szwecji, Wielkiej Brytanii lub Japonii.

5.

Mieszkałem w hotelu 2—3-gwiazdkowym, według japońskiego standardu, którego warunki wyposażenia odpowiadają polskim hotelom 5-gwiazdkowym. Każdego dnia osoba mieszkająca w pokoju hotelowym, niezależnie od tego, czy zużyła otrzymane środki i sprzęt kosmetyczny, otrzymuje: szczoteczkę i pastę do zębów, 2 kawałki mydła — do mycia całego ciała i oddzielnie do mycia rąk, żyletkę do jednorazowego użycia, kilka ręczników, czepek do kąpieli, pantofle domowe, piżamę (kimono). Cena pokoju była w granicach 4—5 tys. jenów za dobę. W hotelu można otrzymać posiłki z kuchni europejskiej i japońskiej. Ich ceny są następujące: najdroższe śniadanie — 2 tys. jenów, obiad — 3 tys. jenów i kolacja — 2 tys. jenów. Cena kawy jest trzykrotnie wyższa w hotelu niż w jadłodajni i wynosi odpowiednio 300 i 130 jenów. Japończycy piją wyłącznie zieloną herbatę. Ich zdaniem najlepsze gatunki zielonej herbaty mają słodki smak lub gdy wyczuwa się jednocześnie dwa smaki — gorzki i słodki. Pokój hotelowy był wyposażony w elektryczny piecyk, dzbanek do parzenia herbaty i zieloną herbatę. Piecyk włącza się automatycznie po nalaniu wody. Wyłączenie automatyczne działa, gdy w dzbanku nie ma wody. Ponadto w pokoju znajduje się lodówka, za używanie produktów w niej znajdujących się obowiązuje dodatkowa opłata.

6.

Posiłek, który podano w czasie wizyty, jaką złożyłem w domu prywatnym był bardzo urozmaicony. Przed kolacją otrzymuje się gorącą myjkę nasyconą detergentem do umycia rąk. Menu kolacji składało się z mięsa, krabów, ryb, ośmiornic i ślimaków — wszystko w oddzielnych naczyniach i w małych ilościach. Osobno podaje się kubek ryżu z dodatkiem zielonego warzywa o wyglądzie podobnym do trawy. Następnie zupa sojowa, teksturowane ziemniaki. Część mięsa jest w stanie surowym. Spożycie ryb w Japonii wynosi średnio 30—40 kg rocznie na mieszkańca.

Kolację w restauracji w zależności od jej standardu zjada się w towarzystwie dwóch gejsz dla jednego gościa, jednej gejszy na osobę i jednej gejszy dla grupy osób. Kolacja w najdroższej restauracji, którą poznałem dzięki zaproszeniu dyrektora Departamentu Opieki Zdrowotnej i Ubezpieczenia Społecznego Zarządu Głównego Spółdzielni Rolniczej, odbyła się z dwoma gejszami na osobę. Składa się z 15 dań i trwała 2 godziny. Z alkoholi podano sake na ciepło oraz bardzo smaczne piwo. Ostatnim daniem był węgorz na gorąco. Gejsze w czasie kolacji mogą również popijać sake.

W restauracjach odwiedzanych przez przeciętnego Japończyka podstawowym daniem jest tania zupa wieloskładnikowa, której podstawą jest sos sojowy i makaron z teksturowanego ciasta. Makaron należy wciągać do ust z głośnym odgłosem. Ciastka w Japonii są różne od wypiekanych w Polsce. Są teksturowane, drobne, z mąki ryżowej w pięknych jak wszystko opakowaniach. Cena bombonierki wynosiła 2—3 tys. jenów.

7.

Opieka zdrowotna postawiona jest na bardzo wysokim poziomie, obecnie dla Polaka nie do osiągnięcia. Zwiedzany przeze mnie 1000-łóżkowy szpital ośrodka opieki zdrowotnej nad ludnością wiejską jest wyposażony w tomograf, aparaturę radiologiczną, izotopową, biofizyczną, USG, EKG oraz m.in. w automatyczny analizator pozwalający na ilościowe oznaczenie 60 wskaźników we krwi. Szpital posiada ponadto 30-łóżkowy oddział, w którym w czasie 1—2 dni na koszt pracodawcy lub instytucji ubezpieczającej dokonuje się diagnostyki skriningowej w celu wykrycia ewentualnych dolegliwości, które nie ujawniły się w ewidentnej formie.

W szpitalu jest również oddział dla chronicznie chorych oraz osób w wieku powyżej 80 lat. Na uwagę zasługuje wyposażenie szpitala ułatwiające pielęgnację chorego. Łóżka są tak skonstruowane, że pozwalają na automatyczną zmianę ułożenia pacjenta, co jest szczególnie przydatne przy jego myciu, zmianie pościeli itp. Przy łóżku znajduje się torba z dużym zapasem bielizny osobistej i pościelowej na jedną dobę. Podobnie wyposażonych szpitali w prefekturze Nagano jest dziesięć.

W oddziale dziecięcym pracuje jedna pielęgniarka na jedno dziecko. Kontakt pielęgniarki z dzieckiem jest bardzo bliski, czemu sprzyja sposób jej zachowania się. Pielęgniarka przebywająca przy dziecku przyjmuje pozycję dziecka: leżącą, siedzącą lub stojącą.

W każdej wsi znajduje się dom dziennej opieki dla ludzi w podeszłym wieku, gdzie odbywają się ruchowe zajęcia rehabilitacyjne.

Zwiedzany przez mnie 1000-łóżkowy szpital uniwersytecki był całkowicie skomputeryzowany. W punkcie dowodzenia znajdują się trzy systemy komputerowe: 1) dowodzenia szpitalem; 2) zbiór danych o pacjencie i obsłudze (lekarz, pielęgniarka); 3) informacja o leczeniu.

8.

Obserwowałem też zautomatyzowany proces pracy w drukarni drugiego ze względu na wielkość nakładu dziennika japońskiego (10 mln gazet dziennie, w tym 6 mln przed południem i 4 mln po południu). Osoby zatrudnione w drukarni pracują w dwóch dużych salach. Niektóre etapy pracy są w pełni zautomatyzowane.

9.

Źródła sukcesu Japończyków należy — moim zdaniem upatrywać w sposobie jednolitego wychowania i nauczania w rodzinie, szkole, pracy i organizacji z naczelną myślą interesu państwa. Japończycy osiągnęli duże zyski z wojny koreańskiej i wietnamskiej. To wszystko sprawiło, że mimo niższego startu w 1945 r. od Wielkiej Brytanii, Szwecji czy RFN, osiągnęli wyższy od tych krajów poziom cywilizacyjny. Uważam, że w wyjaśnianiu różnic między krajami nie należy mówić o charakterze narodowym, lecz o narodowym nauczaniu i wychowaniu oraz o narodowej pracy i kulturze.

Japończycy są największymi multimiliarderami na świecie, jak również największy jest w tym kraju dochód narodowy na osobę. W 1989 r. przewiduje się największą w świecie nadwyżkę eksportu nad importem — 80 mld dolarów. W RFN drugim po Japonii kraju nadwyżka ta wynosi 20 mld dolarów. Wielkość wydatków obywatela w Japonii plasuje się na piątym miejscu w świecie. Przeciętny obywatel jest bogatszy od obywatela USA lub Szwecji. Stosunek najniższego uposażenia miesięcznego (100 000 jenów) do cen jest korzystniejszy w Japonii od odpowiednich relacji w USA lub Europie Zachodniej.

Sukces Japończyków przejawia się również w tym, że przyjmują i wprowadzają szybko i skutecznie w swoim kraju osiągnięcia naukowe i technologiczne innych krajów. Są w tym względzie nie do prześcignięcia. W 1987 r. Japonia przeznaczyła na badania naukowe i postęp techniczny około 71,1 mld dolarów USA, w tym na badania naukowe ok. 36 mld dolarów; z tej kwoty ok. 20 proc. stanowiły wydatki na badania podstawowe.

W instytucjach naukowo-badawczych jest zatrudnionych około 0,5 mln pracowników naukowych. Liczebność studentów wyższych uczelni japońskich stanowi około 30 proc. liczby młodzieży urodzonej w jednym roku; w Polsce odpowiedni odsetek młodzieży studiującej wynosi około 10 procent.

Widziane z Sejmu PRL

Czy uda się ta rewolucja?

Demokrację mamy w Polsce ciągle formalnie ograniczoną, ale za to kryzys rządowy pełny. „Okrągły Stół" leży w gruzach i jego ustalenia po prostu wzięły w łeb. Odpowiedzialność za jego rozwalenie wziął na siebie odważnie Lech Wałęsa i właściwie tylko od jego przenikliwości i dalekowzroczności zależy w tej chwili dalszy los kraju.

16 sierpnia 1989 r. Lech Wałęsa pojawił się na posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, w którym udział wzięli także posłowie ZSL i SD, by w ostrych słowach zrugać swoją drużynę za niezręczną i lekkomyślną grę polityczną prowadzoną przez ostatnie dwa miesiące w Sejmie.

— *Nie myślcie, że jesteście niezastąpieni* — grzmiał przywódca „Solidarności". — *Mam wystarczającą ilość wpływów i ludzi, by przejąć rządy bez was...*

W połowie sierpnia stało się już jasne i oczywiste, że perturbacje związane z powołaniem nowego rządu nie wzięły się z powietrza, lecz wywołane zostały przyjętym przez opozycję kierunkiem na gwałtowne przyspieszenie odchodzenia od dotychczasowego systemu politycznego na rzecz demokracji. Polska weszła w okres przemian rewolucyjnych, a na czele tej rewolucji stanął Lech Wałęsa. Po oświadczeniach ZSL i SD akceptujących koalicję z „Solidarnością", to właśnie wokół jego osoby stworzył się obecnie autentyczny ośrodek centralnej władzy.

O ile polityczny sens tej, jak na razie bezkrwawej rewolucji, popiera zdecydowana większość Polaków, to niepokojem napawa niezrozumienie gospodarczych celów opozycji. Nie są one wciąż na tyle jasno i precyzyjnie wyłożone, by dodać milionom rodaków otuchy, iż przeżywane obecnie kłopoty wkrótce staną się mniej uciążliwe, by z czasem w ogóle zniknąć.

W każdym razie rachuby na rozpad koalicji PZPR, SZL, SD i ruchów katolickich musiały być wzięte grubo przed wyborami, kiedy to przystąpiono do wysuwania kandydatów na posłów i senatorów. Opozycja nie ograniczyła się do obsadzenia „bezpartyjnych" foteli, lecz starała się umieścić jak największą grupę swoich zwolenników na mandatach koalicyjnych. W znacznej mierze zabieg ten powiódł się.

Następnym planowanym posunięciem było, jak się wydaje, niedopuszczenie Wojciecha Jaruzelskiego do stanowiska prezydenta. Zapytany tuż przed wyborami Adam Michnik przez jednego z posłów PZPR o sposób głosowania opozycji stwierdził krótko:

— *My będziemy przeciw. Czym pan się niepokoi — to wy go nie wybierzecie.*

Resztkami sił koalicji się to udało. Jedyny realny kontrkandydat Lech Wałęsa publicznie odmawiał przyjęcia prezydentury, lecz 6 lipca nieoczekiwanie oświadczył, *„że pewne rzeczy dzieją się poza nami, wobec tego i w tej sprawie nie ma absolutnej pewności, czy w ostatniej chwili coś się nie zmieni"*. Nic się nie zmieniło i z prezydenturą Wojciecha Jaruzelskiego się pogodzono wysuwając w zamian koncepcję *„wasz prezydent nasz premier"*.

Tym razem tajne kuluarowe rozmowy poszły pełną parą, a opozycja niespecjalnie skrywała, iż w tym przypadku liczy na przepadnięcie w wyborach Czesława Kiszczaka. Ta po partyzancku uprawiana polityka zawiodła na całej linii wskutek właśnie wielkiej niezręczności wielu opozycyjnych posłów. Nieprzeproszenie wicepremiera Kazimierza Olesiaka z ZSL, nieparlamentarne ataki na koalicję tuż przed głosowaniem, a wreszcie publiczne odżegnywanie się „Solidarności" od chęci wzięcia władzy nie zrobiły najlepszego wrażenia na posłach ZSL i SD. Opozycja chciała rozbić koalicję przy pomocy swoich ludzi w łonie koalicyjnych stronnictw, sama umywając ręce od ewentualnych skutków takiego rozwoju wydarzeń. Innymi słowy chodziło o stworzenie wrażenia, że do formowania własnego rządu „Solidarność" przystępuje nie dlatego, że zrywa z porozumieniami „Okrągłego Stołu", lecz ze względu na niemożliwość skonsolidowania się dotychczasowej koalicji przy równoczesnym chaosie na rynku i w gospodarce. W ten sposób osiągnięto by nową sytuację polityczną bez narażania się na zarzut niedotrzymywania zobowiązań podjętych przy „Okrągłym Stole".

Posłowie OKP zawiedli i w rezultacie Lech Wałęsa zdecydował się odsłonić przyłbicę, całkowicie przejmując na siebie konsekwencje natychmiastowej zmiany systemu władzy w Polsce, co w chwili obecnej właśnie następuje. Jego oświadczenie o chęci stworzenia koalicji z ZSL i SD było w tym kontekście przełomowym i zmieniającym absolutnie porządek rzeczy wydarzeniem.

16 i 17 sierpnia 1989 r. wśród posłów obradujących w Sejmie panowało absolutne przekonanie o upadku premiera Czesława Kiszczaka. Jedynym pytaniem jakie sobie zadawano, to kto przejmie Urząd Rady Ministrów i kiedy to nastąpi. Kuluary nie rozbrzmiewały jednak tym razem gwarem szeptów, przepychanek i intymnych układów. Po bezpośrednim włączeniu się Lecha Wałęsy do gry środek ciężkości życia politycznego w Polsce wysunął się w tych dniach poza ulicę Wiejską. Posłowie ze wszystkich klubów biernie oczekiwali na wynik ustaleń dokonywanych na szczytach, między prezydentem, szefem „Solidarności", szefami PZPR, ZSL i SD oraz przewodniczącymi klubów poselskich. To w tym gronie ważyła się decyzja wybrania nowego dziewiątego premiera PRL.

Jedynym czego można się na pewno spodziewać po premierze z szeregów „Solidarności", to szybka zmiana obsady kilku tysięcy najważniejszych stanowisk w administracji centralnej i terenowej, co zapowiedział pod koniec lipca Bronisław Geremek. Dotychczasowi opozycjoniści dawali też do zrozumienia, że w takiej sytuacji Zachód udzieli poważnej pomocy gospodarczej Polsce. Pośrednio potwierdził te spekulacje Lech Wałęsa, który wspomniał, iż *„są zachodni ekonomiści, którzy rzeczywiście mówią, że dadzą tylko wtedy, kiedy weźmiemy rząd"*. Trudno jednak z tej wypowiedzi wywnioskować, kogo szef „Solidarności" miał na myśli — naukowców czy też poważnych biznesmenów, co w tym przypadku nie jest bez znaczenia.

Trudniej prognozować kolejne posunięcia nowego gabinetu, gdyż takich dyskusji nawet OKP dotychczas nie prowadził. Z pewnością przystąpi on do demontażu istniejącego systemu władzy. Nie wiadomo jednak w jakim tempie i co pójdzie na pierwszy ogień. Z pewnych sugestii wypowiadanych w kuluarach można wnioskować, że rząd „Solidarności" będzie chciał jak najszybciej w pełni podporządkować sobie aparat terenowy, który zdaniem opozycjonistów pozostał w wyniku ostatnich przemian w dalszym ciągu nie tknięty, a którego obecne powiązanie z PZPR stanowiłoby największą przeszkodę w skutecznym wypełnianiu swojej misji przez nowy rząd. Oznaczałoby to szybkie uchwalenie nowej ustawy o radach narodowych i kolejne wybory, może nawet jeszcze w tym roku, do gminnych, miejskich i wojewódzkich parlamentów.

Czy te wydarzenia polityczne uspokoją wzburzoną ostatnimi wysokimi cenami i brakami w zaopatrzeniu opinię publiczną? Jeśli tak, to rewolucja polityczna ogłoszona przez Lecha Wałęsę ma szanse powodzenia i w rezultacie może przynieść Polsce szybszą stabilizację niż proponowana do tej pory przez PZPR powolna czteroletnia ewolucja systemu. Jeśli nie, to już naprawdę wszystko staje się możliwe, łącznie z upadkiem Lecha Wałęsy — najsilniejszego obecnie autorytetu politycznego w Polsce.

21.08.1989.

MIROSŁAW KULIŚ

Tadeusz Chróścielewski

Apel poległych w Gdańsku w rocznicę Września

Gdy przejść mają umarli wzdłuż szpaleru
powiek,
Ich zbliżanie obwieszcza pisk strwożonych
ptaków.
Najłatwiej jest przywołać ich werblem,
albowiem
Przyrzekli przyjść tu krokiem marszowym
w ataku.
Najcelniej drogę na dół wskazać reflektorem,
Co wytyczał kierunek salwom zenitowym —

Zatargała ich w szponach po zbliżonych torach
Śmierć, której nie miał czym już
zestrzelić ogniomistrz
Płomień objaśni trafnie marszruty zawiłe —
Gdyż zmienili się w ogień i sparzyli ziemię.

Rąbią o bruk czwórkami, mogiła w mogiłę —
Ptaki właśnie najostrzej czują ich milczenie.

Oddali nam i zorzy wojskowe honory.
Gdzie stanęli — określa mocne w piersiach
bicie.
Oto wspólny nasz apel na rozkaz historii —
My i oni w tym mieście — czas
w czas, życie w życie.

Boruta

Był Tum w mieście Łęczyca — chciał bies
potłuc wieże,
Lecz próżno przez lat tysiąc podsadzał
się grzbietem
I szczuł na nie kosmatych wiatrów nietoperze
I z obłoków siarczystych rąbał pistoletem.
Aż przyszedł dziwny człowiek — ustawił
moździerze.
Puścił na nie „tygrysy" — i gruchnęły w Letę,
Choć broniły ich ostro Kutrzeby żołnierze
I dźgali pancerz wroga raz po raz bagnetem...
Gdy pękł bagnet ostatni i cisza zapadła,
Wieść niesie, w pogorzeli zobaczono diabła.
Ten na ramię zwycięzcy miotał klątwę wściekłą
I beczał, tuląc wieży skorupy w ramionach,
Nad ludem, który człowiek tygrysi pokonał —
Bo to był tylko diabeł i znał tylko piekło

Maria na działce u Marty

HENRYK PUSTKOWSKI

„Żalnik" Urszuli Kozioł komponowany jest wedle zasady chronologicznej, co nie jest bez znaczenia przy lekturze tego interesującego tomiku. Pod wierszem pierwszym pomieszczono datę 1976 r., pod ostatnim — V 1988. Dwanaście lat doświadczeń poetyckich i doświadczania rzeczywistości — niełatwej, powikłanej, dramatycznej — zmuszającej poetkę nie tyle do zmilknięcia, ile przemieszczenia artykulacji poetyckiej z tzw. „oficjalnego" obiegu literackiego jest zjawiskiem interesującym ze względu na możliwości poznania, jakie wartości to „półmilczenie" wytworzyło i wnosi do poezji współczesnej dziś, w 1989 r. prześledzić też możemy zmiany samej poetyki, jej procesualność zmierzającą w stronę uwyraźniania się tonacji dialogowej.

Nie jesteśmy władni określić wszystkich wektorów tej poetyckiej polifoniczności (krótkość tej recenzji na to nie pozwala), niemniej jednak nie wolno tu przeoczyć dialogu najważniejszego: rozmowy z „wrzeszczącą rzeczywistością" oraz ukrytego dialogu — soliloguium wewnętrznej rozmowy z sobą będącą zarazem próbą określenia własnej tożsamości. Ostatnie sformułowanie nie jest może najszczęśliwsze, Urszula Kozioł bowiem swej tożsamości (poetyckiej i osobowej) nie musi określać, próbuje raczej przekazać i nam receptę na zachowanie tej tożsamości, podlegającej co prawda korektom, ale zdominowanej przez wyraźny nieredukowalny zespół wartości, które przyporządkować by można antycznej jeszcze postawie arete (dzielności), lub — jeśli mamy dalej mnożyć personalistyczne metafory — mediacji dwu postaw przejętych z biblijnej przypowieści o Marii oraz Marcie (nb. ta opozycja trafiła i do rozważań socjologicznych, określa się nią bowiem różnice między powinnościami wobec ducha i materii). Dzielność (arete) naszych czasów wyrastałaby ze sprawiedliwości oraz roztropności. Opisując a zatem i po Norwidowsku osądzając rzeczywistość poetka unika jednowymiarowej tonacji (choćby dla przykładu — pamfletowej) prowadzącej do erozji wartości estetycznych w literaturze. Zachowała swoją „złotą miarę" polegającą na wyważeniu proporcji między konfesją oraz notacją, między autoironią a personalistyczną postawą zaangażowania „w świat". Przeto — jak sądzę — odbiorca z równym zainteresowaniem odczyta w tej poezji dyskretne znaki jej „polityczności" jak i całą prywatność materii „życiowej" serwowaną zresztą na ogół w tonacji żartobliwo-pocieszającej. (Por. choćby poemat „To i owo", wiersze „Kryzys", „Surrealizm urealniony"). Uciążliwości kryzysu, okres stanu wojennego mogłyby (i tak to było) rodzić usprawiedliwione gesty frustracyjne, poetka wszakże unika patosu. Można co najwyżej powiedzieć, że jeśli pojawia się patos — to ze swoją „pamięcią etymologiczną" — jako cierpienie codzienne, do którego jakoś należy się przyzwyczajać — a zatem zamienić je w „cierpliwość".

Z pewną ostrożnością przeto odnosi się autorka „Żalnika" do retorycznego modelu poezji nowofalowej. Wiersz otwierający tomik („Nie spojrzymy prawdzie w oczy") jest wyraźną poetycką replik wiersza S. Barańczaka „Spójrzmy prawdzie w oczy". Barańczak — przypomnijmy — w wierszu tym „realizując" kliszę językową (spojrzeć prawdzie w oczy) równocześnie demaskował znieważające mechanizmy samego języka, jak i określał tę „prawdę" jako incydentalną bądź „rezydualną" wartość utajoną w zmęczonych oczach „przypadkowego przechodnia" w „pustych oczodołach" etc. Urszula Kozioł stwierdzając, że „prawda nie oczu" bliższa jest w swoich poetyckich „rozpoznaniach" Herbertowi (por. „Mój głos wewnętrzny"). Ciemne „szyfry prawdy" prowadzą do krzyku, ale nie jest to krzyk „w imię prawdy", bardziej już „krzyk o prawdę". Mimo życia. „W świecie bez kodeksu" należy sensownie zakorzenić się w bycie, urealnić swoje istnienie. Częsty motyw „Żalnika" stanowią powroty do własnych „korzeni" — rodzinnych i topograficznych. („Powrót do pierwszych lądów", „Biłgorajszczyzna po latach"), ale to zakorzenienie nie musi być tylko sentymentalną podróżą do przeszłości. Sądzę, że żartobliwy i charakterystyczny dla tego tomu kamuflaż nie pomniejsza ważkości problemów w nim ewokowanych: zapytań, znaków wątpliwości i wahań.

Polski poeta współczesny wie, że śmieszne byłoby uzurpowanie sobie prawa do roli „naprawiacza świata". Mimo wszystko próbuję. Te nieudane próby na ogół rodzą ekskalamacyjną i frustracyjną poetykę — charakterystyczną dla Nowych Roczników. Mądra poetka wie, że można się żalić, ale „Żalnik" nie może być płaczliwy. Wie też, że zapobiegliwa, praktyczna i cierpliwa biblijna Marta łatwiej zniesie trudności wszelkich „kryzysów", a zatem sama na działce u Marty (oczywiście z „życia" nie Biblii wziętej) przejmuje trochę ów etos pragmatyzmu. Dręczy ją myśl, że ktoś inny musi świat naprawiać, ale z konieczności skazuje się na renowacje „rzeczowiska". A świerszcze, które tworzą akompaniament dla tej pracy, czyż nie są Platońskimi „plewikami", które tak jednoznacznie zostały ocenione przez filozofa?

Urszula Kozioł. „Żalnik" WL — Kraków 1989, s. 98 cena 300 zł.

Pestki dyni

Od stuleci — od „grubych" stuleci! — kość słoniowa należy do „arystokracji" tworzyw, z których wykonuje się przedmioty artystyczne: rzeźby, kamee, puzdra na pachnidła, szkatułki, meble z kościaną intarsją, wachlarze rzeźbione i malowane — wyliczać można by długo. Wyrabia się z niej także kule bilardowe, te najwyższej jakości i klawisze do fortepianów w najlepszych firmach. Zapotrzebowanie na kość słoniową istnieje nadal, szczególnie czarny rynek wchłonie jej każdą ilość. Więc słonie giną z broni kłusowników w całej Afryce, w strzeżonych rezerwatach i poza nimi. Zwłaszcza w Afryce, bo właśnie tamtejsze słonie mają najlepsze kły.

Walka z kłusownikami jest niezwykle trudna, niejednokrotnie wręcz niemożliwa; z czarnym rynkiem też. W konkurencji z pieniądzem dzikie zwierzę zawsze przegrywa. Przegrywa życie albo tereny, na których wiodło swą dotychczasową egzystencję — czyli w ogólnym bilansie — też życie. I tak okazuje się, że parki narodowe, rezerwaty, najrozmaitsze towarzystwa ochrony niewiele są w stanie pomóc biednym zwierzętom. Pieniądz dyktuje prawa bezwzględne i ostateczne.

Od pewnego czasu do produkcji kul bilardowych używa się specjalnego tworzywa. Ale czy jakiś bogaty facet, jakiś nuworysz, jakiś choleryczny snob będzie grał w bilard plastikowymi bilami, skoro stać go na prawdziwą kość słoniową? Oczywiście, że nie. Czy jeden z drugim zrezygnuje z kupna rzeźby lub szkatułki z kości wykonanej współcześnie, jeśli ma czym za nią zapłacić? To istotnie błędne koło, które obraca się na zgubę słoni.

Niedawno sławna firma Steinway, produkująca fortepiany najlepsze z najlepszych, postanowiła zaprzestać używania kości jako materiału do wyrobu klawiatury. Jak się okazuje, na jeden fortepian „wychodziło" od 5 do 10 słoni. Niezłe zapotrzebowanie. Wynaleziono jakieś tworzywo, które „w niczym nie ustępuje" tradycyjnemu. Nie jestem optymistą. To nie żadne tam sumienie ich ruszyło, a strach, że jak czegoś w porę nie wynajdą, to z czego będą robić klawisze za parę lat, gdy się skończą słonie? Teraz oczywiście odwracają kota ogonem i twierdzą, że to jednak sumienie. Gówno prawda!

Producenci drogich futer nie zrezygnowaliby z „oryginalnych" dzikich zwierząt, gdyby nie protest międzynarodowej opinii i bojkot — też zresztą wymuszony — ich wyrobów i tych osób, które je publicznie nosiły. Udało się ocalić trochę lampartów, tygrysów, panter i takich innych, ale po ilu latach i ilu walkach? Dziś oczywiście firmy te przypisują część zasług sobie. Żaby w kuźni.

W Chinach niedawno jeszcze karano śmiercią za zabicie pandy — pozostałość po starym prawodawstwie, gdy zwierzak był osobistą własnością cesarza. Dziś grozi za to dożywocie i na taką właśnie karę skazany został, złapany kilka dni temu, kłusownik. Zresztą w parkach narodowych i rezerwatach Afryki też leje się krew. Nie tylko bestialsko mordowanych zwierząt lecz i ludzi. Giną strażnicy i policjanci zabijani przez kłusowników; giną kłusownicy — ci słusznie; od pewnego czasu także biali myśliwi i działacze towarzystw ochrony.

Do ponurej tragedii wkrada się, jak to często bywa, groteska i czarny humor. Władze w Namibii postanowiły obcinać nosorożcom.. rogi. Usypia się delikwenta nabojem z odpowiednim preparatem, obcina mu piła róg i zostawia w spokoju, aż się obudzi. Dla kłusowników taki nosorożec bez rogu jest bezwartościowy, nie mają więc powodu na niego polować. Władze mogą sprzedać róg, który w medycynie Wschodu jest wielce cenionym składnikiem najróżniejszych leków, a przede wszystkim poszukiwanym afrodyziakiem, za grube pieniądze. Nie wiadomo czy same nosorożce są z tego zabiegu zadowolone, ale kto będzie pytał „głupie zwierzaki" o zdanie. Z drugiej strony, gdyby eksperyment się powiódł — może udałoby się zahamować rzeź tych nieszczęsnych zwierząt, poważnie zagrożonych wyginięciem, a raczej wymordowaniem. Tylko, że człowiek zapomina że natura niczego nie robi ot tak sobie. To, że naukowcy nie potrafili odkryć do tej pory, do czego służy róg nosorożcowi nie znaczy wcale, że ten róg jest mu niepotrzebny. A jak nosorożce bez rogów nie będą podobały się nosorożcyniom w okresie rui i poróbstwa? I nie będzie dzieci?

Dla mnie takie bezrogie — oglądałem w TV — wyglądają dosyć głupio. No, ale ja się tu nie liczę.

ANDRZEJ GRUN

Łódzki kirkut

Wśród licznych zabytków rozsianych po naszym województwie znaczące miejsce zajmują cmentarze. Co prawda pochodzą głównie z drugiej połowy XIX i XXw. i należą do różnych grup wyznaniowych, jednakże przedstawiają wybitne przykłady sztuki sepulkralnej, unikalne w skali kraju. Spośród 68 cmentarzy objętych ewidencją 4 poddano ścisłej ochronie konserwatorskiej. Najciekawszym i największym jest łódzki cmentarz żydowski liczący 40,5 ha powierzchni i około 200 tys. nagrobków.

Jakkolwiek trudno jest dziś ustalić kiedy przybyli do Łodzi pierwsi osadnicy żydowscy to jednak pewne jest, że już w 1807 r. posiadali na miejscu rzeźnika rytualnego który jednocześnie zajmował się nauczaniem religii. Pierwszych zmarłych grzebali na cmentarzach w Strykowie, Lutomiersku i Zgierzu. W 1809 r. powstała pierwsza drewniana świątynia usytuowana przy ul. Wolborskiej. W cztery lata później jak mówią dokumenty „święta gmina łódzka" miała już swego rabina, choć wcześniej bo w 1811 r., zakupiono plac poza Starym Miastem ku Lutomiersku usytuowany", który przeznaczono na miejsce grzebalne.

Spośród tysięcy znajdujących się tam nagrobków większość stanowiły macewy — tradycyjne formy żydowskich pomników nagrobnych — pozbawione ozdób, zwieńczone prostokątnym, zaokrąglonym w kształcie łuku lub trójkątnym elementem, lecz znajdowały się też tzw. obeliskowe – namioty stawiane osobom szczególnie zasłużonym, pobożnym, najczęściej rabinom lub cadykom.

Ten typowo żydowski cmentarz (beth hakwaroth) był miejscem spoczynku ludzi związanych z początkami łódzkiej gminy, miasta i jego przemysłu. Rozrastające się i bogacące środowisko żydowskie (dążące, jak każde do uzewnętrznienia swych aspiracji poprzez fundowanie wspaniałych budowli, zwłaszcza o charakterze religijnym), wybudowało nową synagogę przy ul. Wolborskiej, utrzymaną w stylu mauretańskim. Nieco później zamożniejsza część społeczności żydowskiej wybudowała kolejną wspaniałą świątynię — przy ul. Spacerowej (dziś al. T. Kościuszki).

Pod koniec ub. wieku, na terenie ofiarowanym przez jednego z najbogatszych fabrykantów łódzkich, Izraela Poznańskiego, powstaje nowy cmentarz żydowski, przy ul. Brackiej. Pierwsze pochówki nastąpiły tu w 1892 r., roku zakończenia grzebania zmarłych na dawnym cmentarzu przy ul. Wesołej, choć ten istniał jeszcze do pierwszych powojennych lat. Oś i szkielet układu przestrzennego nowego cmentarza stanowiły: aleja główna oraz plac wraz z domem przedpogrzebowym (wybudowanym w 1898 r., wg. proj. A. Zeligsona) i brama cmentarna. Właściwą część cmentarną od przedcmentarnej z domem przedpogrzebowym – jak piszą autorzy „Nekropolii łódzkich" Maria Swiątkowska i Marek Budziarek — oddzielił mur z bramą główną. Brama stanowiła symboliczne przejście do „domu wieczności" — przez nią przenoszono zwłoki po ich rytualnym oczyszczeniu.

Najprostsze w formie nagrobki, a więc najstarsze i najskromniejsze, (wywodzące się z czasów biblijnych), macewy znajdują się w części zachodniej cmentarza. Nawiązują do symbolicznych kamieni stawianych w miejscach objawienia boskiego. Część centralną charakteryzują już większe obiekty – okazalsze, ciekawsze architektonicznie, aż do wspaniałych mauzoleów – zbudowane w różnych stylach, eklektyzmu, secesji, modernizmu, konstruktywizmu czy neoklasycyzmu. Spoczywają tu najznakomitsi przedstawiciele społeczności żydowskiej. Tu zbudował wspaniały grobowiec rodzinny Izrael Poznański, obok znajduje się niewiele mniejsze mauzoleum Silbersteinów, dalej groby rodzinne Jarocińskich, Lande, Rappaport, Prussaków. W tym tle nie ustępują urodą nagrobki rodziny Augusta Barucha Henryka i Doroty Schroterów, Zygmunta Lichtenfelda, Beccy Rabinowicz, Jadwigi z Handelsmanów Drutowskiej, czy Maksymiliana Kona. Jednak większa część cmentarza usiana jest nagrobkami, które dla nie znających języka hebrajskiego nie dają się zidentyfikować, choć zawierają żydowską symbolikę nagrobną — przy pomocy prostych, skromnych symboli przekazującą jakże często bogate i skomplikowane treści. Motywy roślinne, zwierzęce, sceny biblijne, przedmioty były symbolami treści niewidzialnych. Przedstawiały osobę zmarłego, jego cechy charakterystyczne, przedmioty, wykonywany zawód, a nierzadko imię (np. lew — imię Lejb, Ari, ale i np. siłę, potęgę itd).

Łódzki kirkut trudno zaliczyć do „hortus judeorum" — ogrodu żydowskiego. Zaniedbany, zarośnięty z macewami tonącymi w chaszczach, ulega niszczącemu działaniu czasu. Aczkolwiek nie istnieje tu już budynek mykwy i bóżnicy za to pojawiły się liczne tablice ku pamięci tych, którzy nie przeżyli ostatniej wojny, a także obelisk z menorą — upamiętniający ponad 200 tys. społeczność Żydów łódzkich — ofiar zagłady oraz wiele mogił symbolicznych. W czasie ostatniej wojny cmentarz ten znajdował się w granicach getta i był miejscem egzekucji nie tylko ludności żydowskiej, ale i Polaków. Liczba nagrobków oceniana jest na 180 tys. (było ich kiedyś 240 tys.). Z tej liczby 100 pomników uznano za zabytkowe.

MARIAN ZDROJEWSKI

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Sławomir Łuczyński

CO BY SIĘ STAŁO?

Tadeusz Konwicki odmówił przyjęcia tegorocznej nagrody ministra kultury i sztuki. Autor „Kompleksu polskiego" i „Małej Apokalipsy" powiedział: „Zrobiono mi przykrość. Oczywiście nagrody nie przyjąłem, a biorąc to lżej, mógłbym zauważyć, że wymyślono nową formułę represji: karanie przez nagradzanie. Od wielu lat ustaliła się tradycja, że ja nie nagradzam rządu i rząd mnie nie nagradza. Minister Krawczuk lekkomyślnie przełamał tę tradycję".

Niezwykle wysoko oceniam twórczość Konwickiego — zarówno literacką jak i filmową. Zastanawiam się jednak — w świetle wypowiedzianych słów — co by się stało, gdyby jego film „Lewa" otrzymał główną nagrodę na niedawnym moskiewskim festiwalu. Czy twórca przyjąłby tę nagrodę przyznaną przecież pod murami Kremla, w Rosji, do której — jak powiada — pojechał z taką niechęcią, choć już tyle razy powtarzał sobie, że nigdy więcej dobrowolnie tam nie pojedzie?

Doprawdy, niezbadane są fobie naszych twórców! („Wprost")

NIE MA CHĘTNYCH

Popularna przed laty Izabella Schütz-Trojanowska, piosenkarka i aktorka (m.in. w filmie S. Lenartowicza „Strachy") została partnerką Petera Fondy w telewizyjnym serialu „Alaska Story", wg powieści Jacka Londona. Producent serialu, Artur Brauner, jeden z największych potentatów zachodnioniemieckich, zainteresował się nią dzięki polonijnemu pismu „City Life" (jedyne w Europie polonijne czasopismo kolorowe, ukazujące się w wersji polsko-niemieckiej w Berlinie Zach.). W jednym z wywiadów Trojanowska zapytana o uporczywe plotki głoszące, że występowała w filmach pornograficznych, oświadczyła, że zapłaci 1 mln Dm każdemu, kto dostarczy jej kopię takiego filmu. — Nie mam wprawdzie miliona marek, ale nie ma to znaczenia, bo takiego filmu również nie ma — powiedziała dziennikarzom.

I rzeczywiście, do nagrody, jak do tej pory, nie ma chętnych. Izabella Trojanowska nagrała ostatnio dla jednej z największych wytwórni płytowych w Hamburgu singel „Love for Sale". Po swoim wyjeździe z Polski mieszkała kolejno w Kolonii, Londynie, ostatnio — wraz z mężem — zatrzymała się na dłużej w Berlinie Zachodnim. I tu właśnie zaczęła się jej dobra passa... (wg „Anteny")

POLSKA LITERATURA NA ZACHODZIE

Jeśli już któryś z naszych pisarzy dostąpi zaszczytu opublikowania jego książki na rynkach zagranicznych, zwłaszcza zachodnich, to najczęściej w niskim, symbolicznym nakładzie (2—3 tys egz.) Wydanie „Króla Obojga Sycylii" Andrzeja Kuśniewicza we Francji w nakładzie 20 tys. egz. stało się ewenementem. Wśród pisarzy najczęściej przekładanych na obce języki zdecydowany prym wiedzie Stanisław Lem, który ma na swoim koncie ponad 300 przekładów. Dzięki Lemowi wylansowani zostali także inni polscy pisarze zajmujący się tematyką science fiction, a mianowicie Adam Hollanek i Konrad Fijałkowski. Do szerzej znanych poza granicami kraju należą: Andrzej Kuśniewicz, Tadeusz Różewicz, Sławomir Mrożek, Witold Gombrowicz, Jarosław Iwaszkiewicz, Maciej Słomczyński (jako Joe Alex), Jan Dobraczyński, Wojciech Żukrowski, Jerzy Andrzejewski, Arkady Fiedler, Andrzej Szczypiorski. Oczywiście, ich popularność w poszczególnych krajach jest wielce zróżnicowana. Najbardziej chłonny na polską książkę jest — jak dotąd — rynek zachodnioniemiecki. W dużej mierze za sprawą ambasadora polskiej kultury w RFN, Karla Dedeciusa, który ma swój własny „słuch literacki", swoje własne zdanie o tym, co dobre w polskiej literaturze, a co złe. Niedawno w wywiadzie dla „Gazety Targowej" powiedział, że po 25 latach jego działalności translatorskiej zjawili się oficjele z Polski i chcieli, aby zajmował się wyłącznie tym, co ma akceptację Warszawy, gdy tymczasem on już od lat 50. tłumaczył Miłosza i Gombrowicza, o których wtedy było głucho nad Wisłą. Ale było też na odwrót. Polska opozycja domagała się, aby tłumaczono tylko literaturę emigracyjną i tzw. drugiego obiegu. „Nie chcemy — mówię to również w imieniu swoich współpracowników — takich sponsorów, którzy ograniczają nasze prawo do dobrej literatury i własnego zdania". (wg „Wprost")

„Stylowość drogą do piękna..."

— Rozmowa z WOJCIECHEM POSPIECHEM, jedynym w Polsce haute contre tenorem, kierownikiem artystycznym zespołu „Musica da Camera"

— Zacznijmy od wyjaśnienia: czym jest haute contre tenor?

— To wysoki głos mający skalę typowego tenora lirycznego poszerzoną w górę (do dźwięku e). Czuje się swobodnie w wysokim rejestrze, z łatwością wykonując szybkie biegniki. I tu muszę użyć określeń fachowych — powyżej dźwięku fis raz-kreślnego operuje rejestrem kontratenorowym z domieszką rejestru głowowego Śpiewak będący haute contre tenorem nie może używać innego rodzaju głosu, w odróżnieniu od contre tenora, który jest głosem falsetowym, nienaturalnym, bo w istocie to baryton lub bas stosujący specjalną technikę wokalną.

— Haute contre tenor jest dziś głosem rzadko spotykanym, a przecież w epoce baroku należał do podstawowych. J. Ph. Rameau napisał: „Kobiety zadecydowały, że ulubionym amantem w operze musi być haute contre tenor, gdyż najlepiej trafia do serca".

— Pierwsze wzmianki o tym gatunku głosu pojawiły się we Francji już w okresie renesansu. Do wykonywania szybkich figuracji potrzebowano wówczas właśnie takiego głosu. Prawdopodobnie stosowano go też wcześniej, czyli w średniowieczu.

— Dawne techniki wokalne zaczynają również w Polsce przeżywać renesans. Sporą rolę odgrywają zapewne prowadzone badania muzykologiczne dotyczące problemów wykonawczych utworów z dawnych epok.

— W ostatnim dziesięcioleciu Akademia Muzyczna w Łodzi i Katedra Klawesynu AM w Krakowie dokonały znaczących zmian w mentalności wykonawców i odbiorców muzyki dawnej. Stało się tak dzięki tłumaczeniu z różnych języków nowożytnych traktatów i rozpraw muzykologicznych. W muzyce wokalnej prowadzi się stopniowo do stosowania właściwych elementów technicznych i interpretacyjnych. Trzeba stwierdzić z naciskiem, że używanie techniki romantycznej do wykonawstwa muzyki średniowiecza, renesansu i baroku jest niedopuszczalne, choć — niestety — często jeszcze się zdarza.

— Haute contre tenor ma specyficzne brzmienie, nie posiada niemal wcale wibracji. Może nie każdemu jest w stanie się to obecnie spodobać?

— Wokalista stylowo interpretujący muzykę dawną traktuje głos jako jeden z instrumentów. Śpiewak romantyczny ma zupełnie inne podejście do własnej roli, dlatego używa forsownego tzw. podparcia i operuje przeponą. Wytwarza to odmienną estetykę. Do niedawna powszechne były w naszym kraju — poparte pozytywnymi recenzjami — niestylowe wykonania dzieł oratoryjno-kantatowych dawnych mistrzów. Przyczyniało się to do niedobrej tradycji. Uważam, że romantyczne nawyki odtwórcze należy pokonywać poprzez systematyczną edukacje artystów i odbiorców.

— Taką edukacją zajmuje się — jak wiem — łódzka Akademia Muzyczna.

— Owszem. Mieszczący się tam Zakład Muzyki Dawnej kierowany przez niestrudzonego **prof. Franciszka Wesołowskiego**, wkłada wiele wysiłku, by upowszechniać właściwe zasady w tej dziedzinie. Organizowane są specjalne sesje wykonawcze i teoretyczne. Ja z kolei prowadzę w łódzkiej AM przedmiot: Warsztaty oratoryjno-kantatowe, w ramach którego studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego przez 3 lata poznają tajniki dawnych technik wokalnych, przygotowując repertuar dla potrzeb różnych filharmonii w Polsce. Myślę, że za jakiś czas zarówno wykonawcy, jak i słuchacze zgodzą się z tym, że stylowość jest najlepszą drogą do piękna. Złe maniery zostaną pokonane, szczególnie, jeśli w sukurs przyjdą środki masowego przekazu. Od kilku lat nasze radio nadaje muzykę dawną interpretowaną w sposób wybitny przez zagranicznych artystów.

— Pan natomiast należy do znakomitych, wykształconych wszechstronnie interpretatorów krajowych. Solistyczne umiejętności zdobywał pan w poznańskiej PWSM oraz Królewskim Konserwatorium w Brukseli. W Bydgoszczy utworzył pan przed 4 laty grający na kopiach starych instrumentów i stosujący dawne techniki wokalne zespół „Musica da Camera". Zdaje się, że w tej chwili jest pan jedynym śpiewakiem w tej kierowanej przez siebie grupie, prowadzącej coraz bardziej intensywną działalność.

— Teraz śpiewam tylko ja, lecz wobec potrzeb repertuarowych, w obecnym sezonie zaproszeni będą do współpracy wokaliści z Belgii i Francji. Wykonujemy różne formy wokalno-instrumentalne. Dla radia w Warszawie nagraliśmy ostatnio polską muzykę barokową. Radiofonia belgijska zarejestrowała kantaty **Bacha** i **Telemanna**. Koncertowaliśmy już w Belgii, Francji, RFN, NRD, Czechosłowacji i ZSRR. Mamy pozytywne recenzje oraz dalsze zaproszenia, oczywiście także na występy krajowe.

— Spodziewam się, że jeden z najbliższych występów odbędzie się w naszym mieście. Dziękuję za rozmowę.

JANUSZ JANYST

Wojciech Pospiech (pierwszy z lewej) z członkami zespołu „Musica da Camera"

Faust w Zakopanem

MAREK KOPROWSKI

„Prawdziwe oblicze diabła! Piękna Helena Trojańska! Siedem Grzechów Głównych! Mrożąca krew w żyłach prawda o Fauście. Tylko u nas! Seans nocny".

Tak reklamuje swoje przedstawienie pt. **„Dr Faustus" Christophera Marlowe'a Teatr im. Witkiewicza z Zakopanego.** Ale nie za sprawą tej reklamy sala nabita jest do granic możliwości, a liczna grupa chętnych musi odejść od drzwi Teatru z niczym, mimo iż spektakl grany jest od 3 lat, już po raz sześćdziesiąty. Bilety na wszystkie przedstawienia sprzedaje się „z kasy", a i tak są trudności w ich zdobyciu nawet z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Tak było od początku.

Teatr wszedł w piąty rok istnienia i — mimo krakania zawistnych kruków — każdym kolejnym przedstawieniem potwierdza opinię o sobie (lansowaną przez „Odgłosy" jeszcze przed „wyrokiem" tzw. salonu warszawskiego) jako o najoryginalniejszym i najbardziej znaczącym zjawisku w polskim pejzażu teatralnym ostatnich lat.

Matką niezwykłego w naszych warunkach sukcesu grupy młodych artystów których nie chronił żaden wpływowy protektor — bo go po prostu nie było — jest powaga i odpowiedzialność w traktowaniu widza, swej pracy i siebie, gdy wartości zbiorowe podporządkowują sobie nierzadko życie prywatne aktorów — a „ojcem", **Andrzej Dziuk**, guru, mag, czarodziej, realizujący konsekwentnie swój pomysł na teatr, przemyślany do najdrobniejszego szczegółu Proste, prawda Ale trzeba to umieć zrobić. Jest to, oczywiście, znacznie uproszczone rozpoznanie.

„Tragiczna historia doktora Faustusa" Chrystophera Marlowe'a (1564—1593) wyprzedza znacznie w czasie dzieło mistrza Goethego, którego Faust, rzeźbiony poetyckim rylcem geniusza stanął na cokole w rzędzie legend literackich, jako wzór przekazany przyszłym pokoleniom. „Faust Marlowe'a" — pisze Juliusz Kydryński, tłumacz tekstu — jest człowiekiem młodym, nie pragnie więc, by siły piekielne przywróciły mu utraconą młodość, pragnie za to użycia, potęgi i sławy. Lecz pragnie również poznania, zgłębienia prawdy o świecie i życiu. W tym dziele wybitnym a bardzo osobistym (...) Marlowe nie zbliżył się jeszcze wprawdzie do Goethowskiej wizji dążeń ludzkości, nie uczynił ze swego bohatera symbolu tych dążeń, ukazał w nim jedynie rozpaczliwy bunt człowieka swoich czasów".

Przedstawienie rozpoczyna się o 22.15, co ma swoje znaczenie, o czym za chwilę. W foyer pojawia się Mefistofeles w prologu, po czym rozprowadza widzów do odpowiednich sektorów, wedle ustalonej ściśle kolejności. Widz w Teatrze Witkiewicza zaskakiwany jest na każdym przedstawieniu oryginalnymi pomysłami na wejście wyjście oraz — niekiedy — udział publiczności w wydarzeniach.

Akcja sztuki toczy się na podium, niczym na ringu bokserskim, otoczonym publicznością. Bo też toczy się walka pomiędzy Faustem a Mefistofilem, walka dramatyczna, mordercza, walna na (lub o) wartości, racje moralne, walka o prawdę.

Aktorzy wygrywają całe piekło splątanej natury człowieka, jakby to piekło istotnie w nich w ów wieczór było. To już nie jest gra, to jest rzeczywiste zmaganie dwóch sił, dwóch żywiołów, dwóch prawd, od których zależy życie. Ekspresja aktorów poraża wręcz widownię, wciska ją w fotele, wywołuje emocje niespotykanie silne. Wstrząsa. Niektórzy musieli odreagować wrażenie modlitwą.

Faust **Krzysztofa Łakomika** i Mefistofiles **Krzysztofa Najbora** walczą na scenie z niespotykaną siłą środków wyrazu, spalają się Gdy schodzą później z garderoby do salonu jeden płonie jeszcze wewnętrznie i zewnętrznie, a drugi nie może przez dłuższą chwilę odzyskać głosu. Mimo, iż nie są gwiazdorami, bo takich w zespole nie ma z założenia dali pokaz scenicznego mistrzostwa w sześćdziesiątym (powtarzam) przedstawieniu tego dramatu W tym Teatrze nie ma lipy, puszczonych ról, lekceważenia sali.

Dorota Ficoń, jako Siedem Grzechów Głównych i Helena Trojańska jest zasłonięta maskami, eliminującymi mimikę twarzy. Kapitalnie operuje ciałem, gestem, głosem, inna w każdej postaci, ekspresyjna w chutliwości, kłótliwości, skąpstwie, rozpasaniu. Precyzja i perfekcja świadczą o ogromnej pracy nad przemyśleniem i przygotowaniem roli.

Bardzo ważnym elementem spektaklu jest muzyka **Jerzego Chruścińskiego**, nadwornego kompozytora Teatru. Niepokojąca, wibrująca w mózgu. Drażniąca. Wtapia się w klimat przedstawienia, bierze udział w akcji, potęguje dramatyzm, oddziałuje na i tak już sparaliżowanego widza.

Reżyserem, autorem scenografii i opracowania tekstu jest Andrzej Dziuk (cudo) twórca Teatru. Jego pomysłem (wśród wielu kapitalnych pomysłów inscenizacyjnych) jest ten najważniejszy. Spektakl kończy się o północy, magicznej godzinie przenikania światów, wymiarów i nastrojów. (Stąd późna godzina rozpoczęcia sztuki). Czas sceniczny pokrywa się z czasem realnym. Faust umiera, zostajemy sami, scenę i widownię okrywą biały dym wydobywający się ze zwykłego wiaderka. W ciszy opuszczamy salę. Czar działa jeszcze długo.

Kronika

1 WRZEŚNIA BR. SPOŁECZEŃSTWO ŁODZI odda hołd gen. Emilowi Fieldorfowi — „Nilowi", bohaterskiemu szefowi Kierownictwa Dywersji AK. Na podstawie nieprawdziwych zarzutów został on w 1953 r. rozstrzelany. Wiosną 1989 r. — pośmiertnie — zrehabilitowany.
W domu gdzie się urodził dowódca dywersji AK, przy ul. Próchnika 39, odsłonięta zostanie tablica pamiątkowa.

ZNANY POLSKI PISARZ, Andrzej Szczypiorski, został laureatem tegorocznej Nagrody Literackiej im. Nelly Sachs, przyznawanej w Dortmundzie (RFN). Nagradzani są nią co dwa lata wybitni twórcy, „głoszących duchową tolerancję między narodami". Poprzednim laureatem był znakomity pisarz czechosłowacki — Milan Kundera.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁODZI zorganizowało w minioną sobotę kolejne spotkanie poświęcone łódzkim parkom. Podczas spaceru po Helenowie, Henryk Szubert i Stanisław Łukawski zapoznali uczestników spotkania z bogatymi dziejami obecnego parku im. 19 Stycznia.

DLA UPAMIĘTNIENIA PROTESTU ŁÓDZKICH TRAMWAJARZY w 1980 r., 26 sierpnia br. przed tablicą pamiątkową na budynku zajezdni łódzkiego MPA przy ul. Kraszewskiego przedstawiciele łódzkiej „Solidarności" złożyli kwiaty.

W UBIEGŁYM ROKU ukazały się za granicą 94 książki polskich autorów.

PRZEWODNICZĄCYM niedawno założonej Polskiej Akademii Wiedzy Seksuologicznej został prof. Kazimierz Imielinski.
Akademia przyznawać będzie coroczną nagrodę w wysokości 200 tys. zł za najlepszą pracę naukową z dziedziny seksuologii.

REDAKTOR ANDRZEJ PETTYN Z RADIA POLONIA otrzymał największą liczbę głosów podczas wyborów do Akademii Esperanckiej mającej siedzibę w Paryżu. Zasiada w niej 45 najwybitniejszych znawców języka esperanto z całego świata. Duże więc jest to wyróżnienie dla Polaka.

WE WRZEŚNIU BR. W AREZZO (WŁOCHY) Muzeum Mazowieckie z Płocka zaprezentuje wystawę pn. „Dwa tysiące lat złotnictwa w Polsce". Złoży się na nią ponad 400 drogocennych eksponatów w tym niektóre pochodzące sprzed naszej ery. Znajdą się wśród nich m.in. średniowieczne kontuszowe pasy i guziki do żupanów.

STARY TEATR Z KRAKOWA pokaże na Festiwalu Edynburskim (22.VIII. — 4.IX) „Dybuka" Anskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy i „Życie jest snem" Calderona w reżyserii Jerzego Jarockiego.

UKAZAŁO SIĘ NOWE CZASOPISMO NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" — „Tygodnik Gdański". W pierwszym numerze pismo zamieszcza m.in. obszerny wywiad z Lechem Wałęsą.
Kolegium redakcyjne zamierza wydawać tygodnik „otwarty na rożne opinie, programy i poglądy, mieszczące się w formule pisma opozycyjnego".

Z OKAZJI ROCZNICY WYDARZEŃ SIERPNIOWYCH NA WYBRZEŻU, w galerii SARP w Gdańsku i BWA w Gdyni otwarta została wystawa fotograficzna pn. „Od grudnia 1970 do przyczółków demokracji". Ekspozycja ta czynna będzie do 31 sierpnia br.

W PLANACH WYDAWNICZYCH PAŃSTWOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO znajdują się liczne hitowe publikacje. Nakładem tej oficyny ukażą się m.in. książki: „W cieniu Katynia" Stanisława Swianiewicza „Mój wiek", „Dziennik bez samogłosek" oraz „Świat na haku i pod kluczem" Aleksandra Wata, „Dzienniki" Jana Lechonia, „Moc truchleje" Janusza Głowackiego (powieść o wydarzeniach Sierpnia 1981 r. w Stoczni Gdańskiej). Przygotowywana jest też jedna z cenniejszych książek o Powstaniu Warszawskim, znana dotąd z wydania londyńskiego, — „Wicher wolności" W. Zagórskiego.
Ambitnym zamysłem PIW jest praca zbiorowa, pod redakcją prof. Andrzeja Garlickiego, „Polska—Rosja 1905—1945".

W RENOMOWANEJ SERII edytorskiej Wydawnictwa Łódzkiego pn. „Człowiek i jego cywilizacje" ukazała się książka Alana Untermana „Żydzi. Wiara i życie".

W ŁÓDZKIM KLUBIE DZIENNIKARZA, z okazji 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej, otwarta została wystawa malarstwa Adama Bojara pn. „Bitwa nad Bzurą".
Czternaście prezentowanych płócien tego artysty — absolwenta warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych pochodzi z kolekcji Muzeum Miasta Łęczycy. Ekspozycja czynna będzie do 30 IX br.

OD NOWEGO SEZONU artystycznego 1989/1990 funkcję kierownika baletu łódzkiego Teatru Wielkiego obejmuje Anna Fronczak.
Pracę w TW podjęła w 1970 r., po ukończeniu poznańskiej szkoły baletowej. Debiutowała na łódzkiej scenie w głośnym spektaklu „Gajane". W następnych latach zyskując sympatię łódzkich widzów i liczne pochlebne recenzje.

NOWE STOWARZYSZENIE, pod nazwą Klub Konserwatywny, zostało zarejestrowane w łódzkim Sądzie Wojewódzkim.
Klub stawia sobie za cel propagowanie myśli politycznej zgodnej z polskim interesem narodowym. Członkami jego — zgodnie ze statutem — mogą być również cudzoziemcy!

KLUB LITERACKI Młodzieży Szkół Średnich(!) działa od 1988 r. przy Uniwersytecie Powszechnym TWP we Wrocławiu. Jest to jedyny tego typu klub w Polsce.

MIŁOŚNIKÓW ROCKA zelektryzowała wiadomość, że po ośmiu latach przerwy zespół „The Rolling Stones" powraca na estradę.
We wrześniu wyruszy on na 60-dniowe tournee po USA i Kanadzie. Nagra też nową płytę.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

OPERA O MARYLIN

Tegoroczny festiwal w Spoleto zainaugurowało wystawienie opery, której libretto oparte zostało na burzliwym życiu i tragicznej śmierci **Marylin Monroe**. W partii tytułowej wystąpiła amerykańska artystka **Emily Rowlins** obdarzona pięknym, silnie brzmiącym sopranem.

Kompozytorem opery wykonanej w języku francuskim jest **Paul Puy**,, a autorem libretta **Gaston Compere**, obaj pochodzący z Belgii Akcja obejmuje życie bohaterki od wczesnej młodości, poprzez lata kariery filmowej i burzliwych związków osobistych, aż po tragiczny zgon Pod zmienionymi nazwiskami można łatwo rozpoznać mężów aktorki — **Joe Dimaggio i Arthura Millera oraz braci Kennedych**. Autorzy położyli nacisk na ambicje Marylin Monroe stania się czymś więcej niż symbolem seksu. — Nie jestem tylko parą nóg, mam również coś w głowie — śpiewa Rowlins. W połowie lat 50. Marylin Monroe rzeczywiście starała się zmienić własny wizerunek nie mającej nic do powiedzenia blondynki, studiując literaturę i pobierając lekcje gry aktorskiej u Lee Strasberga. Rezultatem tego był m.in. sukces filmu **„Przystanek autobusowy"**.

WIĘCEJ NIŻ „SKODA"

Był oklaskiwany w najdalszych zakątkach świata, zgromadził niemałą kolekcję „złotych płyt". **Karel Gott** przyniósł swą sztuką także wymierne korzyści krajowi: w latach szczytowego powodzenia przysparzał on więcej dewiz, niż eksport samochodów „Skoda". „Złoty słowik Pragi" — to jeden z licznych tytułów, jakie zgromadził na swym koncie Karel Gott, piosenkarz, któremu popularnością nie może dorównać żaden inny artysta czechosłowackiej estrady. Ostatnio ukończył on 50 lat, z czego ponad połowę poświęcił śpiewaniu.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Ryszard Kapuściński „Utwory zebrane": t. I — „Kirgiz schodzi z konia". „Chrystus z karabinem na ramieniu; t. II — „Wojna futbolowa". Jeszcze dzień życia"; t. III „Cesarz". „Szachinszach"; t. IV — „Busz po polsku". „Notes" — całość 10 000 zł (cena nominalna 3000 zł); Józef Piłsudski „Bibuła" — 10 000 (cena nominalna 5000 zł); Wilhelm Fraenger „Bosch" — 60 000—80 000 zł (cena nominalna 28 000 zł); Szolem Alejchem „Z jarmarku" — 1800 zł (cena nominalna 1000 zł); tegoż **„Dzieje Tewji Mleczarza"** — 1400 zł (cena nominalna 800 zł); **Hanna Krall „Sublokatorka"** — 1400 zł; **Jerzy Marek Nowakowski „Walery Sławek"** — 1800 zł; (cena nominalna 1000 zł); **Tadeusz Dołęga-Mostowicz „Świat pani Malinowskiej. Trzecia płeć"** (Wydawnictwo Łódzkie) 3000 zł (cena nominalna 1250 zł); **Aleksander Sołżenicyn „Jeden dzień Iwana Denisowicza"** — 3000 zł (cena nominalna 1000 zł); **J. Clelland „Pamiętniki Fanny Hill"** — 3000—4000 zł (cena nominalna 1400 zł); **Halina Poświatowska „Wiersze wybrane"** — 1800 zł (cena nominalna 1150 zł).

Galeria pisarzy

HENRYK CZARNECKI

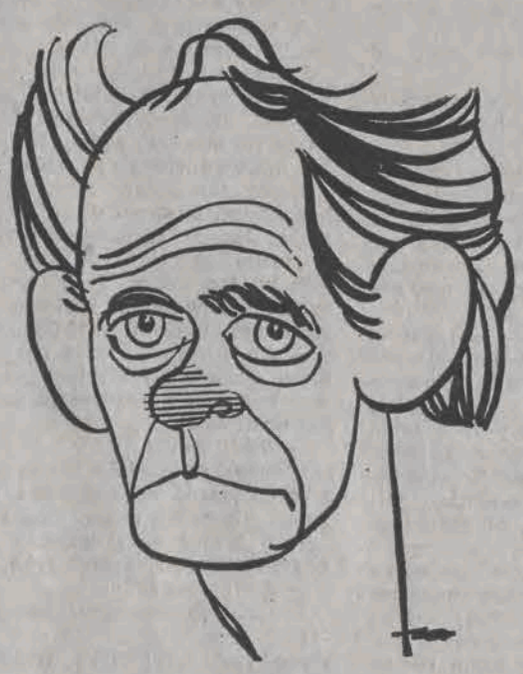

Rys. Sławomir Arabski

Opracował: JAK

Słaby jest człowiek, słaby. Koniec końców — nawet najbardziej uparci z nas pragnęli tej wiosny zmiłowania, gotowi byli wiele oddać za jeszcze trochę życia. Krążyła taka anegdota:

— *„Oskarżony, co macie do powiedzenia w ostatnim słowie?!"*

— *„Proszę posłać mnie gdzie tylko chcecie, byleby tam była władza sowiecka! I — słońce..."*.

Nie to nam groziło, że nas pozbawią sowieckiej władzy, lecz że pozbawią nas słońca... Nikt nie miał ochoty na Koło Podbiegunowe, szkorbut i głód. Nie wiedzieć czemu, kwitnęła w celach legenda Ałtaju. Ci nieliczni, którzy tam już byli, a jeszcze bardziej — ci, którzy tam nigdy nie bywali, wmawiali towarzyszom niedoli sny, pełne muzyki: Ałtaj, to dopiero kraina! Syberyjskie przestrzenie, ale klimat — łagodny. Rzeki miodem płynące wśród pszenicznych brzegów. Step i góry. Stada owiec, dziczyzna, ryby. Ludne, bogate wsie...

Ach, zaszyć by się w tej głuszy! Posłuchać czystego, dźwięcznego piania kogutów w przejrzystym powietrzu! Pogłaskać dobry, poważny pysk koński! I niech diabli porwą wielkie problemy, niech się o nie troszczy ktoś inny, ktoś głupszy od nas! Odpocząć by tam od wyzwisk śledczego, od nudnego gmerania w twoim życiu, od zgrzytu więziennych rygli, od celi z jej stęchłym zaduchem. Tylko jedno życie mamy, takie nikłe, takie krótkie! — a my je w zbrodniczy sposób posyłamy pod kulę czyichś karabinów maszynowych, albo tytłamy je, Bogu ducha winne, w brudach politycznego śmietniska. Zdaje się człowiekowi, że tam, na Ałtaju, mógłby żyć w najniższej nawet, najciemniejszej chatynce na skraju wsi, pod samym lasem. Nie po chrust, nie po grzyby — tylko tak, po prostu poszedłby do lasu i objąłby dwa pnie: miłe moje! nic mi nie trzeba więcej!...

„Archipelag GUŁag" — fragment.

Wszyscy tej wiosny czekali na amnestię

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

Rys. Dariusz Romanowicz

Sama już ta wiosna nawoływała do miłosierdzia: tej wiosny kończyła się taka ogromna wojna! Widzieliśmy, że nas, aresztantów, płyną miliony i że mnogie jeszcze miliony spotkamy w obozach. Toć być nie może, aby tylu ludzi zostawiono za kratami po największym w świecie zwycięstwie! Trzymają nas tylko tak sobie, dla postrachu, żebyśmy czasem nie zapomnieli. To jasne, że będzie wielka amnestia i wszystkich nas szybko wypuszczą. Ktoś nawet przysięgał, że sam czytał w gazecie odpowiedź Józefa Stalina na pytania jakiegoś amerykańskiego korespondenta (jak się nazywał? — nie pamiętam...), gdzie było powiedziane, że po wojnie będzie u nas taka amnestia, jakiej jeszcze świat nie widział. I innemu SAM śledczy z całą pewnością mówił, że będzie u nas wkrótce powszechna amnestia. (Dla śledztwa takie pogłoski były korzystne,osłabiały one naszą wolę: czort z nimi, podpiszemy, to i tak nie na długo).

Ale — do miłosierdzia trzeba rozumu. Odnosi się to do całej naszej historii i jeszcze długo będzie się odnosić.

Nie słuchaliśmy tych niewielu trzeźwych wśród nas, którzy krakali, że nigdy w ciągu ćwierci stulecia nie zdarzyła się amnestia dla politycznych, i że nigdy jej nie będzie.

A jakiś znawca więzienny, zwykle konfident, rwał się do sprzeczki:

— *Ależ w 1927 roku, na dziesięciolecie Października wszystkie więzienia były puste, wywieszono na nich białe flagi!*

Ten wstrząsający miraż białych flag na więzieniach — dlaczego właśnie białych? — szczególnie wzruszał. Machaliśmy ręką na tych rozważnych, którzy pośród nas byli i wyjaśniali, że właśnie dlatego siedzimy milionowymi masami, bo wojna się skończyła: na froncie nic już po nas, na zapleczu — jesteśmy niebezpieczni, na dalekich zaś budowach bez takich, jak my, ani jedna cegła nie zostanie podłożona.

Nie starczało nam samozaparcia, aby wniknąć — jeśli nie w okrutne zamiary, to przynajmniej w gospodarcze kalkulacje Józefa Stalina: któż to teraz, po demobilizacji chciałby porzucić rodzinę, dom i jechać na Kołymę, na Workutę, na Syberię, gdzie nie ma jeszcze ani dróg, ani domów? Była to już prawie tylko kwestia zlecenia dla Komisji Planowania: dać MWD cyfry kontrolne, żeby wiedzieli ilu mają wsadzić. Amnestia! Wspaniałomyślnej i szerokiej amnestii oczekiwaliśmy — pragnęliśmy jej! A podobno w Anglii nawet na rocznicę koronacji, to znaczy — co roku, jest amnestia!

Amnestia dla wielu politycznych ogłoszona była także na trzechsetlecie panowania Romanowów. Więc czy można uwierzyć, że teraz, po zwycięstwie na miarę stulecia — i nawet więcej, niż stulecia — stalinowski rząd będzie tak małostkowy i tak mściwy, żeby pamiętać o każdym potknięciu się, każdym pośliźnięciu każdego ze swoich nędznych poddanych?

Jest to prawda prosta, lecz dochodzi się do niej przez cierpienie: błogosławione są nie wojny zwycięskie, lecz przegrane! Zwycięstwa potrzebne są rządom, klęski — ludom. Po zwycięstwie chce się dalszych zwycięstw, po klęsce — chce się wolności — i zwykle się ją zdobywa. Klęski potrzebne są ludom tak, jak cierpienia i nieszczęścia poszczególnym ludziom: zmuszają do pogłębienia życia wewnętrznego, do wzniesienia się w życiu duchowym na wyższy poziom.

Połtawska wiktoria była dla Rosji nieszczęściem: pociągnęła za sobą dwa stulecia wielkich napięć, spustoszeń, ograniczeń wolności — i coraz nowych wojen. Klęska połtawska okazała się dla Szwedów zbawienna: straciwszy ochotę do wojen, Szwedzi uczynili swój kraj najbardziej kwitnącym i wolnym w Europie.

Tak bardzo przyzwyczailiśmy się do dumy z powodu naszego zwycięstwa nad Napoleonem, że uchodzi naszej uwagi, iż właśnie dzięki temu chłopi nasi nie zostali wyzwoleni o pół wieku wcześniej; właśnie dzięki niej skonsolidowana monarchia mogła rozbić dekabrystów. (Francuska okupacja nie groziła zaś Rosji realnie). A wojna krymska, a japońska, a niemiecka — wszystkie przyniosły im wolność i rewolucję.

Tej wiosny wierzyliśmy w amnestię — ale wcale nie byliśmy tu oryginalni. Gdy pomówi człowiek ze starymi więźniami, to stopniowo staje się dla niego jasne, że ta tęsknota za zmiłowaniem i wiara w zmiłowanie nigdy nie opuszcza szarych murów więziennych. Dziesięciolecie po dziesięcioleciu rozmaite potoki aresztanckie zawsze czekały i zawsze wierzyły — to w amnestię, to w nowy kodeks, to w ogólną rewizję spraw (i pogłoski te zawsze z pełną wprawy ostrożnością podtrzymywane były przez Organy). W związku z każdą rocznicą Października, śmierci lub urodzin Lenina, dniem Zwycięstwa, dniem Armii Czerwonej, dniem Komuny Paryskiej, każdą nową sesją WCIK, zakończeniem każdej pięciolatki, z każdą sesją plenarną Sądu Najwyższego — zawsze wyobraźnia aresztancka oczekiwała zesłania na ziemię anioła wolności! Im bardziej szalone były aresztowania, im szersze, homeryckie, nieogarnięte umysłem rzeki więźniów — tym większą wiarę w amnestię rodziły, zamiast trzeźwości!

Wszystkie źródła świata można w tym, czy innym stopniu porównać ze słońcem. Słońce zaś nie da się porównać z niczym. Tak samo każda nadzieja w świecie da się porównać z nadzieją na amnestię, tylko ta nadzieja nie da się z niczym porównać.

Wiosną 1945 roku każdego przybysza cała cela pytała przede wszystkim, co słyszał o amnestii? A jeśli dwóch—trzech brano z celi Z RZECZAMI — znawcy od razu zaczynali analizować ich SPRAWY i konkludowali, że to — najlżejsze wypadki, że ich zabrano, bo idą na wolność, to jasne. Zaczęło się! W wychodku, w łaźni, w tych więziennych urzędach pocztowych — wszędzie nasi aktywiści szukali śladów i napisów, dotyczących amnestii. I nagle w sławetnym fioletowym przedsionku butyrskiej łaźni w początkach lipca przeczytaliśmy wspaniałe proroctwo wypisane mydłem na fiołkowej glazurze, wysoko nad głową (a więc jeden stanął drugiemu na barkach, żeby tylko napisu dłużej nie ścierano): *„Hurra!!! 17 lipca amnestia!"*

Ileż było radości! *(„Toć gdyby nie wiedzieli dokładnie, to by nie napisali!").* Wszystko co w naszych ciałach biło, tęskniło, krążyło — teraz zamierało z raptownej radości na myśl, że zaraz otworzą się drzwi...

Ale — do miłosierdzia trzeba rozumu.

W połowie lipca dozorca korytarzowy posłał pewnego starca z naszej celi do sprzątania klozetu i tam, w cztery oczy (nie zdobyłby się na to przy świadkach) zapytał, patrząc ze współczuciem na jego siwą głowę:

— *Z jakiego artykułu, ojciec?*

— *Z pięćdziesiątego ósmego* — ucieszył się stary, po którym płakały w domu trzy pokolenia.

— *Nie podpadasz...* — westchnął strażnik.

Bzdura! — powiedziano w celi. Strażnik po prostu się nie zna.

W tej celi siedział młody kijowianin, Walenty (nie pomnę nazwiska) o wielkich, pięknych, kobiecych oczach. Był sterroryzowany śledztwem. Był to na pewno jasnowidz, może tylko dzięki ówczesnemu swemu podnieceniu. Nie jeden raz krążył po celi i mówił: dziś wezmą ciebie i ciebie, widziałem we śnie. I brali! Właśnie tych! Zresztą dusza więźnia tak skłonna jest do mistyki, że na jasnowidzenie reaguje prawie bez zdziwienia.

27 lipca 1945 r. Walenty podszedł do mnie:

— *Aleksandrze! Dziś kolej na nas.*

I opowiedział mi swój sen ze wszystkimi atrybutami snów więziennych: most nad ciemną strugą, krzyż. Zacząłem się pakować — i dobrze zrobiłem: po rannej herbacie wywołano nas obu. Cela żegnała nas serdecznymi życzeniami, wielu było przekonanych, że idziemy na wolność (z analizy naszych lekkich spraw to właśnie wynikało).

Człowiek może całkiem szczerze nie dawać temu wiary, nie pozwalać sobie na nią, bronić się ironią, ale rozpalone kleszcze, a gorętszych nie ma na świecie, nagle ścisną mu duszę: a jeżeli to prawda...?

Zebrano nas ze dwudziestu z różnych cel i z początku zaprowadzono do łaźni (na każdym zakręcie życiowej drogi więzień przede wszystkim powinien przejść przez łaźnię). Mieliśmy tam dość czasu, chyba z półtorej godziny, by zająć się zgadywaniem i porozmyślać trochę. Później dopiero nas — wyparzonych, rozmiękłych — poprowadzono przez szmaragdowy ogródek wewnętrznego butyrskiego podworca, gdzie ogłuszająco ćwierkały ptaki (były to chyba tylko wróble), zaś zieleń drzew wydawała się nieznośnie ostra oczom, co dawno już się od niej odzwyczaiły. Nigdy oczy moje z taką mocą nie wchłaniały zieleni listowia, jak tej wiosny! I niczego w moim życiu nie widziałem, co podobniejsze byłoby do bożego raju, niż ten butyrski ogródek, a nie trzeba było więcej, niż trzydziestu sekund, aby przeciąć go asfaltową ścieżką.

Doprowadzeni zostaliśmy na butyrski dworzec (czyli punkt przyjęć i ekspedycji aresztantów — nazwa bardzo trafna — ponadto główny westybul rzeczywiście przypomina tam dworzec), gdzie nas wpakowano do obszernego, szerokiego boksu. Panował w nim półmrok, powietrze było czyste, świeże; jedyne, maleńkie okno umieszczone było wysoko, ale nie miało żelaznego kagańca. Wychodziło zaś na ten sam słoneczny ogródek i zza uchylonej ramy dochodził ogłuszający ptasi świergot, a w szparze kołysała się zielona gałązka, obiecująca nam wszystkim wolność i powrót do domu. (Widzicie! Także w takim dobrym boksie nigdyśmy nie siedzieli! To nie przypadek!).

A wszyscyśmy podlegać mieli tylko OSO! Znaczyć by to mogło, że siedzimy za jakieś bagatele.

Przez trzy godziny nikt nami się nie interesował, nikt nie otwierał drzwi. Krążyliśmy, krążyliśmy, krążyliśmy po boksie i, znużeni, przysiadywaliśmy na klinkierowych ławkach. A gałązka ciągle się chwiała, wciąż chwiała się za uchylonym oknem i wróble przekrzykiwały się, jak oszalałe.

Nagle zajazgotały drzwi i wywołano jednego z nas, cichego buchaltera, lat trzydziestu pięciu. Wyszedł. Drzwi znów się zamknęły. Jeszcze szybciej jęliśmy krążyć po dnie naszego pudełka, wszystko nas piekło.

Znów ten łoskot. Jego rozwarte oczy były ślepe. Niepewnymi ruchami, chwiejnym krokiem przesuwał się on po gładkiej podłodze boksu. Kontuzja? Dostał po głowie dechą do prasowania?

— *No i co? — No i co?* — pytaliśmy truchlejąc (jeśli nie wstał właśnie z elektrycznego krzesła, to w każdym razie dostał wyrok śmierci). Głosem obwieszczającym koniec świata, buchalter wykrztusił:

— *Pięć!! Lat!!!*

I znów zagrzmiały drzwi — tak szybko wracali, jakby ich wyprowadzano do wychodka za małą potrzebą. Ten wrócił rozpromieniony. Na pewno dostał zwolnienie.

— *No? No?* — skupiliśmy się przy nim, a nadzieja znów w nas wstąpiła. Zamachnął ręką, dusząc się ze śmiechu:

— *Piętnaście lat!*

To było zbyt niedorzeczne, żeby człowiek mógł od razu uwierzyć.

Przekład: MICHAŁ KANIOWSKI

Z książki wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu (1974).

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Protest

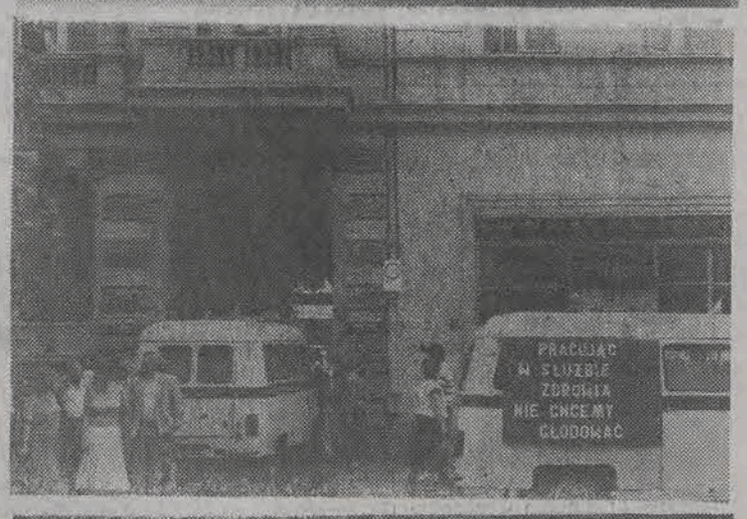

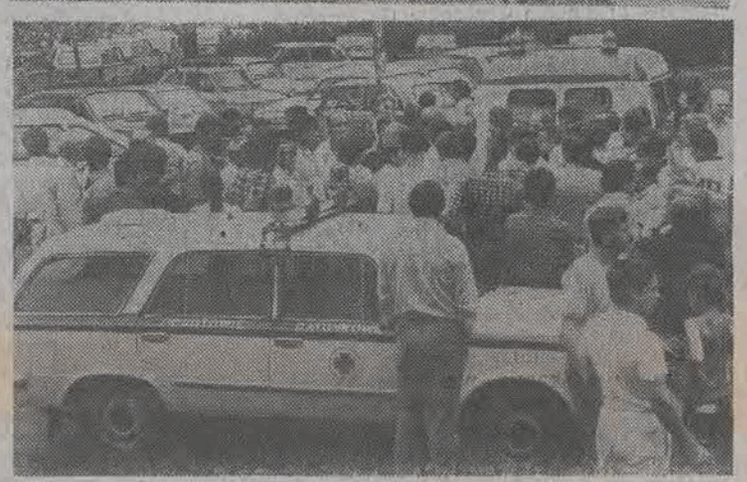

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

36

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Widział się kilkakrotnie z księdzem, odwiedził go także w końcu maja markotny adwokat. Zarówno ksiądz, kapelan Wojska Polskiego, przybywający do więzienia na każde wezwanie, jak i mecenas Andrzej W. zdumieni byli nienaturalnym spokojem Bernarda. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że jego czas dobija kresu? Rada Państwa milczy złowrogo, a kiedy przemówi, trzeba będzie ruszyć na spotkanie z czarną panią.

— Wyspowiadaj się, moje dziecko — zaproponował któregoś niedzielnego ranka kapelan.

— Nie mogę tego zrobić, proszę księdza. Nie chcę kłamać przed Bogiem, a prawdy powiedzieć mi nie wolno.

— Bóg i tak zna prawdę.

— Ale ksiądz jej nie zna.

— Obowiązuje mnie przecież tajemnica spowiedzi — zauważył urażonym głosem kapelan. — Sądzisz, że mógłbym ją sprzeniewierzyć?

— Wykluczone.

— Więc czemu się wzbraniasz?

— Aby nie obciążać twojego sumienia, ojcze. Przyjdzie dzień, że ukląknę przed tobą.

Zatroskany, nader uroczysty ksiądz patrzył na Bernarda z osłupieniem:

— Nie boisz się tego dnia?

— Nie.

— Żadnej trwogi nie czujesz? Żadnej skruchy?

— Czuję tylko wstyd.

— Czego się wstydzisz?

— Że będę musiał zdradzić.

Skazańcy podsłuchiwali przeprowadzoną w kaplicy więziennej rozmowę i roznieśli jej zniekształconą treść po wszystkich pawilonach, wszystkich piętrach i celach. Powtarzano ją, dyskutowano, analizowano i próbowano jakoś zainterpretować. Nie wzbudziła zachwytu. Kogo on chce zdradzać? Kogo zamierza sypnąć? Więźniowie lubią i poważają twardych chłopów, którzy w obliczu śmierci zachowują zimną krew — nie drżą, nie skamlą, nie wyją po nocach. Postawa Bernarda urągała jednak dobrym obyczajom. Zbyt lekko ważył sobie życie Pan Profesor; jadł, spał, czytał, ćmił papierosy, spacerował beztrosko, jakby stryk był coraz dalej, nie bliżej. Nie odłożył się jeszcze w ich pamięci facet, który nie zacząłby w końcu pękać: nasłuchiwać kroków w korytarzu, wzdrygać się na dźwięk otwieranych drzwi i odsuwanego judasza, zapadać raz po raz w swoje ponure myśli i uciekać w złudne nadzieje. Bernard tymczasem sprawiał wrażenie urzędnika na wczasach, co odzierało dumnych i zarozumiałych kryminalistów z glorii ich własnych, rozdętych nieszczęść, ich urojonych i niezasłużonych cierpień, ich tragicznego i parszywego losu. Skoro czekający na kata osobnik zachowuje się tak spokojnie, jakże ma zachować się człowiek odsiadujący śmieszną karę dziesięciu czy dwunastu lat więzienia? Łzy w tej sytuacji wydają się zbędne, a tęskne, grafomańskie piosenki — nie na miejscu.

Okradł ich Bernard z czegoś i pomnieiszył. No i zapowiedział zdradę. Dotknięci poczuli się nawet wychowawcy i strażnicy. Cwajbrat, Micha i Pietruch zaczęli od Profesora stronić, a kiedy nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów, przystąpili do wyrafinowanych, pełnych fałszywego współczucia gestów, jak TO naprawdę wygląda, jak i kiedy będzie można poznać, że TO nadchodzi.

— Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, nie ma już dla pana de la szasa — mówił słodkim jak ulepek głosem Cwajbrat.

— Nie ma już, nie ma. Rychło przyida — dobijał Micha biegły w kryminalnej rytynie, a Pietruch, który lubił trzymać się konkretów, walił po oczach:

— Lada dzień zaczną pana rozprowadzać, żebyś się pan przyzwyczaił do samotnego wyjścia z celi: nie na wspólny spacer, nie na telewizję, ino odryglują zasuwę i będą co i raz wrzeszczeć:

— Tarnowski (mylił z uporem nazwisko Bernarda) do lekarza! Tarnowski do dentysty! do magazynu, do fryzjera, do łaźni! a potem...

— Potem wywołają pana niby na widzenie albo na rozmowę z naczelnikiem i rzuci się raptem na pana „Brygada hyc", czterech lub sześciu drągali w mundurach, silnych i obeznanych z robotą.

— I powloką pana na dół do mateńki-szubienicy.

— I już pan do nas nie wrócisz.

— Cała pociecha, że dają PRZEDTEM zapalić.

— Ale wódy nie dają.

— Skąd!

Bernard słuchał uważnie, więcej w tym jednak było ciekawości niż strachu. Kreowany przez bandziorów obraz kłócił się wyraźnie ze znakomitym, nagrodzonym na wielu festiwalach filmem, który widział przed wpadką. Może reżyser niedostatecznie zdokumentował temat bądź celowo poprowadził go bokiem?

— Wieszają zazwyczaj wieczorem, po apelu. — Cwajbrat beknął i klepnął się w uczciwy brzuch, który nie schudł ani trochę na więziennym wikcie.

— Łysa, jajowata głowa Michy przyświadczyła ochoczo:

— Szósta wieczór zazwyczaj. Ciach! a potem do wora, wór do trumny, trumna na cmentarz i wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze śpią, odbywa się na koszt więzienia pogrzeb.

— Trza uczciwie powiedzieć, panie kolego, że rodzina jest zawiadamiana — wspierał Bernarda Pietruch na duchu. — Przyjdzie ktoś?

— Co ma nie przyjść — odpowiedział w imieniu skazanego Cwajbrat. — Przyniosą wieńce i kwiaty; gość inteligentny, to postawią pomnik. — Tu zwrócił się wprost do Bernarda: — Spokojnie, panie Profesorze. Legniesz pan nie gorzej niż inne kościotrupy.

Wszyscy trzej byli zszokowani, gdy Bernard wybuchnął śmiechem. Rzadko mu się to zdarzało; nawet na wolności był powściągliwy w reakcjach i nie skory do idiotycznych rechotów, tym razem przecież zarykiwał się do łez.

Odtąd recydywiści rozmawiali już tylko między sobą. Ignorowali Bernarda, nie odbiegali jednak ani na chwilę od tematu — drążyli go, rewidowali, obracali w lewo i w prawo spodziewając się jakby, że trafią wreszcie w czuły punkt. I trafili. Pietruch, chudy łykowaty zwyrodnialec, który odsiadywał już czwarty wyrok i za kilka lat miał obchodzić w celi „srebrne wesele", zwane także „dożywką z przerwami", podrapał pazurem szczecinę nad wargą i mruknął ponuro:

— Najgorzej jak się zepsuje zapadnia.

Ta pasjonująca możliwość zelektryzowała Cwajbrata; zmrużył zlepione ropą rzęsy, na policzki wypełzło okrucieństwo.

— A zepsuła się kiedyś?

— Zrozumiałe. W tamtym roku, jak mieli rozhuśtać tego drania, co poćwiartował i spalił dziecko, a kości zapakował do walizki i utopił w rzece, wysiadło coś na dole w maszynerii i kat nie mógł go spuścić.

— W takich wypadkach — wtrącił Bernard — gość jest uratowany. Nie wolno wieszać skazańca dwa razy.

— Ale tam! Nie wolno! Zawołali cieślę, cieśla naprawił w pół godziny mechanizm i gość zadyndał.

Bernard zbladł. Wpatrywał się z nienawiścią w Pietrucha; rozczapierzył ręce, jakby chciał złapać go za gardło.

— Kłamiesz!

— Nie! — wrzasnął oburzonym głosem Pietruch. — Mówię prawdę. Zawsze mówię prawdę. Całe życie spędziłem w więzieniu i wiem o nim wszystko.

— I co ten skazaniec robił, jak naprawiali zapadnię?

— Czekał.

— Z pętlą na szyi?

— Chyba tak.

Bernard wypuścił zmagazynowane w płucach powietrze.

— Gdyby zdjęli mu pętlę i wyprowadzili poza celę śmierci, już by tam więcej nie wrócił.

— Wróciłby — bąknął Pietruch. — Niby czemu miałby nie wrócić?

— Bo jest taki obyczaj.

— Nie ma takiego obyczaju. Wszystko gotowe, wszyscy na miejscu; wyrok trza wykonać i koniec!

Bernard machnął lekceważąco ręką, ale widać było, że nurtuje go jakaś myśl.

— Dobra, dobra — powiedział.

— Dobra to je pizda bobra — odpalił mściwie Cwajbrat.

— Pogadajcie sobie jeszcze, chłopcy. — Wziął książkę i udawał, że czyta.

Recydywiści wymienili znaczące spojrzenia. Co się stało? Czemu Profesorek tak zmarkotniał? Zawiodły go najwyraźniej jakieś rachuby. Pękła w nim jakaś mocna stalowa nić, pozwalająca zachować dobre samopoczucie i kamienny spokój. Z czym ona mogła się wiązać? Może z tymi dwunastoma brakującymi melonami, których gliniarze w żaden sposób nie zdołali odnaleźć. Poszły niby na jakieś długi i łapówy. Co się za tym kryje? Kto za tym stoi? Trza jeszcze ponakłuwać Profesorka!

Czytał, a tych trzech: Cwajbrat, Micha i Wincenty Pietruch popisywali się swoją niekwestionowaną wiedzą, której nie zdobędzie żaden człowiek, żaden pisarz i żaden filmowiec, jeśli nie przesiedzi w pudle uczciwych kilkunastu lat.

Bernard nie miał wątpliwości, że wyłania się oto przed nim straszliwy i bezsprzecznie autentyczny obraz tej potwornej ceremonii, że ci ludzie nie improwizują, nie kłamią, nie zmyślają, że dowiedzieli się o tych wszystkich okropnościach z wiarygodnych źródeł, z pierwszej ręki, z ust świadków, których oczy przyglądały się niejednej egzekucji, a ich ręce wspomagały kata.

— Przy huśtawie jest zawsze, musowo! prokurator — otworzył Cwajbrat wielkiego szlema.

Podobny do arbuza łeb Michy drgnął potakująco:

— Prokurator i naczelnik zakładu karnego, który wydaje wszystkie dyspozycje i kieruje sprawę od początku, nim jeszcze wywołają kaesiaka z celi. Tego dnia szybciej dają obiad, szybciej kończy się robota, nieraz nawet szybciej robią apel, bo chcą mieć pewność, że wszystkie urki są pod kluczem. Dobrze mówię, Pietruch?

— Dobrze — przytaknął zwyrodnialec smyrając pazurem zarost na żółtej, kościstej szczęce. — Im się zdaje, że utrzymają hecę w tajemnicy, że pociągną grzecznie, cicho i spokojnie, ale chłopaki zawsze wiedzą o huśtawie, z miejsca, od samego rana. Nieraz klawisz jeszcze nie wie, a chłopaki wiedzą.

— Bo są mądre.

— I mają niucha.

— I jak go wlecze „Hyc-brygada", to śpiewają we wszystkich celach.

— Albo tupią.

— Albo walą łyżkami w michy.

— Nic się przed więźniami nie da ukryć.

— Nic.

Popatrywali na Bernarda z nadzieją, że hardy gość objawi dalsze oznaki niepokoju, ten wszelako ćmił w najlepsze papierosa i jak gdyby wrócił już do siebie. Czytał, drań. No, czytał!

Bardzo to zraniło godność osobistą Pietrucha. Zwyrodnialec postanowił zatem powiedzieć jeszcze parę słów, były to jednak słowa tak kompetentne, że nawet Micha i Cwajbrat zerkali na kamrata podejrzliwie.

— Przy egzekucji musi być w pierwszym rzędzie główny bohater widowiska, czyli gość z biletem w jedną stronę. Potem, jak żeś pan słusznie zauważył panie kolego (więźniowie mówią z reguły do siebie po imieniu bądź przezwisku, Pietruch jednak lubił wyrażać się ceremonialnie), nie może zabraknąć prokuratora (kiwnął głową Cwajbratowi) i naczelnika zakładu karnego (puścił oko do Michy). Do ostatniej chwili jest „Hyc-brygada", która trzyma skazanego i pcha jego głowę pod sznur tak, że kat ma już niewiele roboty, a pomocnik kata reguluje pokrętło, aby nogi gościa stanęły dokładnie na zapadni. Jest zawsze lekarz ze słuchawkami, bo musi stwierdzić zgon. Jest zawsze w rezerwie ksiądz, gdyż delikwent, wierzący czy niewierzący, może zażądać spowiedzi, aby zyskać na czasie. Co do adwokata, który bronił skazanego przed sądem, to może on być, ale nie musi.

Cwajbrat, pospolity rzezimieszek, wybałuszył ślepia.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytał cicho, z respektem.

Obła, bezwłosa brew Pietrucha podskoczyła do góry i zastygła w zagadkowym uśmiechu. Pytanie pozostało bez odpowiedzi, nie znaczy to przecież, że zwyrodnialec poskąpił kamratom dalszych drobiazgowych wyjaśnień:

— Jeśli się rozchodzi o władze więzienne, to poza naczelnikiem bierze także udział w huśtawie Dowódca Zmiany, kierownik Działu Ochrony oraz kierownik Rozmieszczenia i Ewidencji. Obecność tego ostatniego jest konieczna.

— Czemu?

— Zgadnijta.

— Co będzie zgadywać — rzekł w imieniu własnym i Michy podminowany Cwajbrat. Jego ślepia były teraz nieufne, czujne, dociekliwe, jakby przyszło mu nagle do głowy, że... kurwa! to chyba niemożliwe... ale chodzą po więzieniu dziwne słuchy... Urki przebąkują, że ON jest na miejscu, że pracuje na dwóch etatach. Trza uważać! Nie wolno drażnić faceta. — Mów, Pietruch! Nie rób de la sensasią!

Zwyrodnialec poruszył kilkakrotnie zarośniętą, chudą jak u zmory szczękę i błysnąwszy okiem w zaczytanego Bernarda oświadczył:

— No przecie rozmieszczenie i ewidencja zmienią się po egzekucji, tak czy nie? Stan skazanych będzie o jednego mniejszy; do naszej celi przeniosą kogoś albo nie, trzeba to jednakowoż odnotować w papierach. Musi być ład i porządek.

W połowie czerwca przepowiednie recydywistów zaczęły się sprawdzać. Z każdym dniem gęstniała atmosfera w drugim pawilonie: każdego dnia, o różnych porach i pod byle pretekstem, Bernard wyprowadzany był z celi. Odwiedził go ponownie obrońca, Andrzej W.

Są w aresztach śledczych i zakładach karnych trzy rodzaje widzeń:

„Ogólne", w wyznaczonym dla zbiorowych wizyt terminie (rozmawia się zwykle przez telefon, a między odwiedzającymi i więźniami sterczy szyba);

„Przy stoliku" (spotkanie w oddzielnym pomieszczeniu pod okiem strażnika);

„Bezdozorowe" (gość i więzień spotykają się w jakimś pokoju bez świadków).

Andrzej W. postarał się o widzenie bezdozorowe, chociaż w gruncie rzeczy panowie nie mieli sobie nic ważnego do powiedzenia — Bernard był zakłopotany, zaś elokwentny w sądzie mecenas tu, w ciasnej szarej nyży o zakratowanym oknie, jąkał się albo milczał, na próżno szukając słów pocieszenia.

Dopiero w momencie rozstania, kiedy obydwaj stali już przy drzwiach, Bernard zelektryzował lekko prawnika.

— Z widzenia, to ja pana znam od dwudziestu kilku lat — powiedział z ledwo uchwytnym akcentem.

Andrzej drgnął. Jego smutna, twarz przedwcześnie postarzałego człowieka bez prawdziwego domu, bez rodziny, bez złudzeń, twarz zgorzkniałego i samotnego mężczyzny, który je od przypadku do przypadku, na chybcika, w stołówkach i barach mlecznych, poczerwieniała gwałtownie, a oczy wpatrywały się koso w skazańca.

Milczał.

— Zamordowali panu wtedy dziewczynę — ciągnął Bernard. — Była to najpiękniejsza dziewczyna w mieście... Mordercy bodajże nie wykryto?

— Nie przytaknął Andrzej. Zbladły mu nie tylko usta. Trupio blade były również okolice ust i nozdrza.

Bernard zastanawiał się bezsensownie, czemu w chwilach największych wzruszeń ludzka twarz jest na przemian czerwona i blada.

C.D.N.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

„Choinka Strachu"

ROZMOWA Z TOMASZEM LENGRENEM — REŻYSEREM FILMOWYM

— Niedawno odbyła się kolaudacja pańskiego filmu pt. „Choinka Strachu" od siedmiu lat spoczywającego na półkach. Czy zna pan powody jego zatrzymania?

— Sam tytuł wystarczy za odpowiedź. Jakieś towarzystwo, grupa zbliżona do kół — po prostu wyłękła się rzeczywistości, w której żyje. Na dzikim zachodzie sprzedają nalepki z napisem: „Let's be Polish it's Exciting" (Zostań Polakiem to jest podniecające) No i jedni się podniecają i robią filmy, a inni boją się prywatnie i służbowo. Od dyrektora cenzury mgr. Birnbacha usłyszałem, że on do „Choinki Strachu" nic nie ma: „Pan rozumie, tu muszą przyjść decyzje polityczne... Poczeka się trochę..." Bagatela, siedem lat. W ogóle nie ma o czym mówić... Aresztuje się tylko dzieła, a ich twórcy mogą swobodnie brykać. Na przykład na Zachód. Scenarzysta jest w USA. Mój kolega reżyser, który w „Choince" zagrał telewizyjnego reżysera obecnie pracuje w BBC. Zostały w kraju same „niedojdy" ze **Zbigniewem Zapasiewiczem** na czele, który kreuje w tym filmie pisarza preferowanego przez partię. Wszystko może byłoby w porządku gdyby nie to, że ożeniłem sceny aktorskie ze zdjęciami dokumentalnymi. **Michał Bukojemski**, który robił zdjęcia do mojego filmu, wcześniej z reżyserem Kosińskim zrobili dokument o powstaniu „Solidarności". Zdjęcia zrobione tą samą ręką wzbogacają kameralną grę aktorów o ogólnonarodową psychodramę. Dzięki takim zabiegom interpretacyjnym można było pokazać portret współczesnej polskiej inteligencji, która zajęta jest przeszłością i która zawsze odrabia zaległe lekcje i nie widzi tego, co się naprawdę dzieje tu i teraz.

Miałem rację robiąc ten film. Proszę spojrzeć, ile dzisiaj poświęca się miejsca czasom stalinowskim Czy nie jest to kolejny unik polskiej inteligencji twórczej, która w minimalnym stopniu podejmuje aktualne problemy.

— Czy nie uważa pan, że scenarzysta, Janusz Głowacki także dokonał osobliwego uniku, wyjeżdżając do USA w dość trudnych dla Polaków czasach Odnoszę wrażenie, że jest to film o nim samym, choć odniesienia nie są proste

— Dla mnie Janusz Głowacki wykazał się przede wszystkim umiejętnością napisania dramatu politycznego. Jest bezpartyjny, a więc nie obawia się utraty przywilejów, jakie partia może mu zaoferować. Jest twórcą niezależnym. Nie opowiada się po niczyjej stronie.

— To bardzo wygodne i bezpieczne.

— Ja uważam, że to jest po prostu uczciwe trzymać z samym sobą.

— Wróćmy jednak do filmu i problemu w nim zawartego. Czy nie sądzi pan, że dzisiaj „Choinka Strachu" ma trochę inną wymowę i straciła na swej drapieżności?

— Ktoś mi powiedział na kolaudacji, że „Choinka" nic nie straci na wartości w myśl zasady, że każdy obraz, który był opatrzony zapisem cenzury, będzie prowokował widzów do obejrzenia tego filmu. Bohaterem jest artysta-pisarz, czyli ktoś, kto jest „kelnerem władzy", a zarazem konferansjerem naszych nastrojów. Nieszczęsny luminarz znajduje się w wyjątkowo trudnym położeniu. Ponosi odpowiedzialność za słowa wypowiadane publicznie. Chyba z tego powodu targany jest wątpliwościami natury moralnej. Nasz literat wcale nie jest człowiekiem biernym z natury. Stawał się nim, jeśli tak można powiedzieć sukcesywnie, w miarę osiągania wysokiej pozycji w hierarchii Oficjalny artysta PRL wcale nie musi być mierny z urodzenia wystarczy, że jest przestraszony. Przestraszon głównie o los swojej rodziny

— Troska o rodzinę nie była tak czytelna z ekranu. Wydaje mi się, że pański bohater znacznie bardziej bał się o własną skórę?

— Proszę pani, tu wkraczamy w zagadnienie: Kto może być odważny? Uważam, że tylko ten, kto ma na tyle silny charakter, że nie musi się dorabiać tak jak inni. A może to ktoś, kto nie musi utrzymywać domu, rodziny itd. Władza wobec takich postaw jest bezbronna. Ale tutaj wkraczamy w problem ceny, jaką człowiek płaci za milczenie, za odwagę, za indywidualność. Poczciwość w sztuce nie prowadzi do niczego. Uczciwość natomiast tak.

— W czym się przejawia poczciwość twórcy?

— Poczciwym jest taki człowiek, który szanuje autorytety, bez względu na to, dokąd one go prowadzą. Jest to po prostu dobrze wychowany obywatel. W dzieciństwie krótko trzymany przy pysku. Na starość może sobie postać przy żłobie.

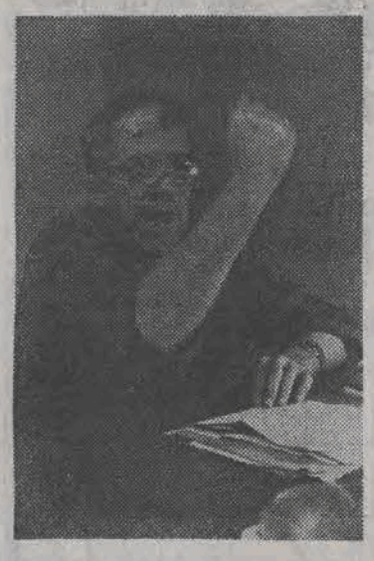

Zbigniew Zapasiewicz w filmie „Choinka Strachu".

— A uczciwość na czym polega?

— Uczciwy człowiek czasem robi coś w związku ze sobą przeciwko autorytetom, jeżeli jest przekonany, że się one mylą. Tacy ludzie mają swoją wewnętrzną busolę, jakiś radar.

— Czy my w dalszym ciągu rozmawiamy o filmie?

— Tak. Uważam, że jeżeli chce się robić filmy, to powinno się coś wiedzieć o sobie samym i o innych ludziach i być współodpowiedzialnym za to, co się prezentuje na ekranie.

— Czy cenzorzy proponowali panu wprowadzenie jakichś zmian w filmie?

— Owszem. Radzono mi skrócić film, tylko do prezentacji pierwszej części. Druga właściwie cała budziła wątpliwości, bowiem akcja toczyła się na tle solidarnościowego zrywu. Tam nic już nie można było zmienić. Proszę zauważyć, że był to czas, kiedy słowa „Solidarność" nie można było wymówić. Nie zgodziłem się. Postanowiłem poczekać do lepszych czasów

— Co dzisiaj pan czuje, kiedy film ma prawo gościć na ekranach kin?

— Cieszę się, bo mieliśmy rację. Myślę, że PWSFTViT też się cieszy, że wreszcie może mi dać wyróżnienie dla filmu, znanego jako nagroda imienia Andrzeja Munka, które otrzymałem 7 lat temu, nie otrzymując go, bo takie były czasy... Ale teraz kiedy góra zeszła się z górą...

— Gratuluję panu tej spóźnionej nagrody i dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?

Proponujemy dziś amerykański film **Petera Yatesa** pt. **„Podejrzany"**. Film opowiada o samotnej, pięknej i nieco ekscentrycznej prawniczce pracującej jako obrońca z urzędu, która w pełnieniu swoich obowiązków nie potrafi zlekceważyć sprawy choćby najbardziej odrażającego przestępcy. A takim wydaje się na początku tytułowy „podejrzany" — potężnie zbudowany głuchoniemy włóczęga, bezdomny nie z wyboru lecz z życiowej konieczności. Partnerem energicznej dziewczyny w dochodzeniu do prawdy jest młody karierowicz z Kongresu. Oryginalna uroda dziewczyny oraz jej niezłomne zasady prawniczej dociekliwości każą młodemu podjąć się wspólnego lecz zakonspirowanego prywatnego śledztwa.

W rolach głównych: **Cher, Dennis Quaid, Liam Neeson, John Mahoney** i inni.

Fakty ◆ Plotki ◆ Anegdotki

● Przez sześć dni (do 31 bm.) wyświetlane są w klinie „Gdynia" kroniki Powstania Warszawskiego które powróciły na ekran po przeszło czterdziestoletniej nieobecności. Te unikatowe materiały archiwalne prezentowane są w godz. od 10 do 22

● W najbliższy piątek, 1 września, mija 40 rocznica powstania Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Łodzi która w 1959 roku połączona została z Państwową Wyższą Szkołą Filmową, przekształcając się w dzisiejszą Państwową Wyższa Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną im. Le Schillera.

● Jak podaje „Ekran", podczas gdy w Polsce ciągle jeszcze produkuje się telewizory czarno-białe (a te jakże trudne do zdobycia), w Stanach Zjednoczonych na początku tego roku — co najmniej jeden telewizyjny odbiornik był w 98 proc. gospodarstw domowych (kolorowy w 95 proc.) W USA upowszechniają się już telewizory stereofoniczne (15 proc.) oraz rzutniki tv (4 proc.). kamery wideo (21 proc.), a także automaty rejestrujące rozmowy telefoniczne (24 proc.). Podczas gdy u nas na odbiornik kolorowy trzeba pracować dwa lata to w Japonii 4 dni!

● Ponoć już w tych dniach reżyser **Krzysztof Szmagier** zakończy w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie pełnometrażowy film dokumentalny, którego bohaterem jest **gen. Władysław Anders** i żołnierze II Korpusu. Złożą się nań stare fotosy, filmy archiwalne, dokumenty udostępnione przez Instytut im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, a także przez rodzinę gen. Andersa i jego współpracowników.

● W postać mistrza filmowego suspensu — Hitchcocka, wcieli się **Peter Ustinow**, słynny odtwórca roli Herkulesa Poirot w jednym z filmów zrealizowanych na podstawie powieści Agathy Christie. Peter Ustinow zagra rolę głównego bohatera w filmie pt. „Człowiek, który chciał zamordować Hitchcocka", prześladowanego przez maniakalnego zabójcę.

Masz temat dla reportera?

Coś cię drażni: niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

31 sierpnia — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

7 września — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERA z dnia 24 sierpnia 1989 roku.

W ostatnim czasie wszystkim nam żyje się trudno. Są jednak tacy, którym żyje się trudniej, a myślę tu przede wszystkim o rencistach i emerytach. Ciągłe podwyżki cen, zwłaszcza artykułów żywnościowych, zepchnęły wielu z nich na skraj nędzy, gdyż świadczenia wypłacane przez ZUS z trudem wystarczają jedynie na opłacenie świadczeń i żywność. Lecz jakby i tego było jeszcze mało, tysiące łódzkich emerytów i rencistów w ogóle nie dostało w sierpniu pieniędzy, jako że poczta uchyla się od doręczania przekazów (a także listów i innych przesyłek!). Ci, którzy mogą, idą więc pod urzędy pocztowe i tam, odczekawszy wiele godzin, otrzymują w końcu należne im pieniądze. Co jednak mają zrobić osoby chore, przykute w domu do łóżek, kalekie? Dla nich jest to prawdziwy dramat. One nie mają po prostu już za co żyć!

Rozumiem doskonale trudną sytuację płacową pocztowców, rozumiem, że występują tzw. trudności kadrowe, że poczta jako instytucja przeżywa ciężkie dni, ale wszystko to nie może w żaden sposób usprawiedliwiać faktu, iż tysiące ludzi pozbawionych zostało przez to środków do życia. Elementarne zasady współżycia społecznego każą nie tylko ludziom tym współczuć, ale — przede wszystkim — pomóc. Mogą to zrobić właśnie pocztowcy. I oby — jak najszybciej. Wierzę, że zarówno ZUS, jak i kierownictwo łódzkiej poczty, mimo szeregu trudności, tak zorganizują pracę w podległych im jednostkach, by renty i emerytury docierały do adresatów na czas.

Pan **Krzysztof K.** ze Zgierza poinformował nas, że na osiedlu Chełmy od ponad tygodnia nie ma w kranach wody. Interwencje — nawet w **zgierskim Urzędzie Miasta** — nie przyniosły jak dotąd żadnego rezultatu.

Pani **Irena A. z łódzkiego osiedla Piastów** zatelefonowała w sprawie zorganizowania przystanków autobusowych przy skrzyżowaniu ulic Gagarina i Tuszyńskiej, co mieszkańcom tegoż osiedla znacznie skróciłoby drogę do pracy, śródmieścia, do domu. Miejsce na przystanki w zasadzie jest, gdyż przez pewien czas autobusy zatrzymywały się tam. Co ciekawsze, postulat ten pojawiał się już wielokrotnie. Niestety, **MPK nie zajęło wobec niego żadnego stanowiska.** Pani Irena A. oczekuje, iż wreszcie to uczyni. My — również, zwłaszcza, że propozycja mieszkańców wydaje się nam słuszna.

Na ulicach: **Sosnowieckiej, Bielskiej i Przyjacielskiej** prywatne przedsiębiorstwo na zlecenie **MPO** zmieniało nawierzchnię. Miał być tam położony asfalt. Na Sosnowieckiej przygotowano już betonowe podłoże, na dwóch pozostałych — nie. Od pewnego czasu roboty nie są kontynuowane, gdyż jak powiadomiono pana **Tadeusza G.**, tudzież jego sąsiadów z Bielskiej, „nie ma pieniędzy na ten cel i nie wiadomo, kiedy będą". W efekcie wielu mieszkańców ulic Bielskiej i Przyjacielskiej nie może dojechać samochodem do domu, jako że starej nawierzchni już nie ma, a nowej jeszcze nie ma. Co mają robić?

Bulwersującą historię opowiedziała jedna z mieszkanek bloku przy ulicy **Srebrzyńskiej 85** na osiedlu Montwiłła-Mireckiego. Otóż w maju br. odcięto w okolicy dopływ gazu do mieszkań z powodu prowadzonych tam robót ziemnych. Te jednak zostały już zakończone, a gazu jak nie ma, tak nie ma. I nie byłoby może w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że mieszkańcy sąsiedniego bloku złożyli się na łapówkę dla gazowników, którzy gaz szybko podłączyli. Mieszkańcy bloków, którzy łapówki jeszcze nie dali, nadal czekają. Naszą Czytelniczkę interesuje, czy przełożeni biorących łapówki wiedzą, co się przy Srebrzyńskiej dzieje i jak zamierzają na to zareagować?

Pod ten sam adres kierujemy pytanie pana **Eugeniusza R.** w sprawie dźwigu z napisem „Gazobudowa", który od lutego br. bezczynnie stoi w polu przy ulicy Szternfelda. Pozbawiony dozoru i opieki nie tylko pożerany jest przez rdzę, ale też powoli rozbierany przez dzieci i co bardziej sprytnych przechodniów, którzy wymontowują z niego, co się jeszcze da. A pytanie brzmi: który z panów dyrektorów „Gazobudowy" za ów dźwig zapłaci?!

Z kolei pan **Andrzej R.** skarży się za naszym pośrednictwem na **PKP**, jak również **PKS**, że wielu kierowców i konduktorów odmawia przewiezienia rowera-składaka, mimo że powinni taki bagaż przyjąć. 17 sierpnia w pociągu **z Łodzi do Brodnicy** obsługa wagonu bagażowego długo broniła się przed zabraniem roweru naszego Czytelnika, co wcale nie przeszkadzało jej we wpuszczeniu do tegoż wagonu... podróżnych. Jak domyśla się Andrzej R. — za dodatkową opłatą, która nie trafiła wszakże do kas PKP. Nie był to przy tym jedyny przypadek tego rodzaju, jako że nasz Czytelnik ma zwyczaj odbywać wakacyjne wędrówki ze swym składakiem i — na życzenie — służy dalszymi przykładami.

I na zakończenie — rzecz niezwykła w naszych czasach! — pochwała dla kierowcy autobusu linii 69 (nr wozu — 2), który 23 sierpnia około godziny 20.20 już po ruszeniu z przystanku przy rogu Broniewskiego i Rzgowskiej specjalnie otworzył jeszcze drzwi, aby zabrać pana **Czesława M.** pragnącego jechać na Retkinię.

Właściwie nie powinniśmy o tym pisać, bo przecież sprawa drobna, nieistotna i — zdawałoby się — zwyczajna. A jednak warto ją chyba odnotować, gdyż świadczy, że nawet w najtrudniejszych sytuacjach można zdobyć się na drobny gest, przysługę, ludzki odruch wobec innego człowieka. I że gdyby wszystkich nas było na to stać, mimo wielu trudności dnia codziennego, żyłoby się nam z pewnością nieco łatwiej.

Pomyślmy o tym choć przez chwilę.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

AGENCJA REKLAMOWO-AKWIZYCYJNA „TELEGRAPH" SPÓŁKA Z O.O. w Łodzi, ul. Jaracza 52 wspólnie z **DOMEM MODY „TELIMENA"**

ZATRUDNIĄ

do pracy w charakterze prezenterek okryć i ubiorów damskich

◆ DZIEWCZĘTA ◆

w wieku od 18 do 24 lat.

Wymagane wymiary:

- **WZROST — 170—176 cm.**
- **BIUST — 88 cm**
- **TALIA — 70 cm**
- **BIODRA — 96 cm**

Wstępny przegląd kandydatek na modelki odbędzie się dnia 12 września, o godzinie 11, w Sali Widowiskowej Politechniki Łódzkiej (Społeczny Dom Studenta) w Łodzi, al. Politechniki nr 3A.

5656/K

OGŁASZAJ SIĘ W „ODGŁOSACH"

RZECZYWISTOŚĆ POKAŻE, KTO MA RACJĘ

Na przełomie 1980/81 ruch struktur poziomych w PZPR tzw. „poziomki" budził zrazu obojętność a potem wrogość znacznej części aparatu partyjnego. Traktowano ten ruch jak chorobę, którą należało zwalczyć. I ostatecznie, po IX Zjeździe Nadzwyczajnym — oto paradoks — wyrzucono co do jednej „poziomki" na margines życia politycznego. Obecnie, jak to zaręczał sekretarz KC, Sławomir Wiatr: *„stosunek nowego kierownictwa do obecnych „poziomków" jest ciepły"*. Obrazowo przedstawił rzecz następująco: Droga reform partii zaczyna się w dwu punktach. Jedna jej nitka biegnie od góry, od centrum, druga — od dołów, czyli bazy partyjnej. Chodzi o to, aby obie te nitki wspólnej drogi gdzieś się nie rozminęły. Nie leży to w interesie ani góry, ani dołów. Podzielam ten pogląd. Dodałbym tylko, że nitki owe, jak przez ucho w igle muszą przejść przez środek. I tu, jak to już nieraz bywało, może się wszystko załamać, porwać.

Obecny na spotkaniu kierownictwa z „poziomkami" I sekretarz KC PZPR, M. Rakowski, akcentował z kolei roboczy a nie odświętny charakter narady. *„Rzecz w tym* — podkreślał wielokrotnie — *aby spróbować odbudować zaplecze intelektualne partii, bez którego to zaplecza żaden ruch nie może istnieć"*. Uzupełnię od siebie, że partii potrzeba dziś nie administratorów i urzędników lecz intelektualistów i polityków, przede wszystkim zaś — liderów! Nawiązując do nadziei i decyzji zwołania wcześniejszego, XI Zjazdu M. Rakowski powiedział min.: *„Mówiąc o konieczności zbudowania nowego kształtu partii musimy znaleźć odpowiedź na pytanie, co zrobić, aby nie stracić dla lewicy tych wszystkich, którzy nie będą chcieli pozostać w nowej, bardzo zmienionej partii. Trzeba widzieć nie tylko tych, którzy pałają chęcią zmian"*. Muszę przyznać, że to stwierdzenie obudziło we mnie sprzeciw i pesymizm. Na koniec zapewnienie, że przygotowując zjazd centrala zrobi wszystko, aby w żadnym z ogniw PZPR nie utwierdziło się przekonanie, że został on zorganizowany przez aparat. Wierzę w dobre intencje centrali a jednocześnie wiem, że w województwach powołuje się zespoły zjazdowe, których skład jest szerzej nie znany. A więc wspomniany wyżej środek działa po staremu.

Członek BP, Leszek Miller, zapoznał następnie zebranych z opiniami napływającymi do KC a dotyczącymi terminu i sposobu zwołania zjazdu i reformowania partii. Podkreślił, że trudno wskazać na tendencje dominujące. Mimo to przeważają poglądy, że: zjazd powinien być maksymalnie przyspieszony, przygotowywany od ogniw podstawowych, dyskusje przedzjazdowe muszą sprzyjać ujawnieniu się wszystkich tendencji i nurtów występujących w PZPR. Wśród zadań stojących przed XI Zjazdem wyróżnia się: określenie nowych zasad ideowych i programowych a także ich adresatów, nowej doktryny politycznej, zmianę struktury celem przekształcenia partii w ruch. Wszystko to wraz ze zmianą nazwy pozwoliłoby powołać nową partię, która zamknęłaby okres istnienia PZPR wraz z wszystkimi przywarami stalinizmu.

Po wystąpieniach tych rozpoczęła się kilkugodzinna dyskusja. Z wielu jej wątków wybrałem kilka.

1. Parokrotnie powracał wniosek o konieczności dokonania rzetelnej diagnozy stanu partii. W wypowiedziach na ten temat dominował krytycyzm:

— w partii mamy do czynienia ze stanem całkowitej martwicy bardzo wielu jej sektorów. Partia umiera. Konieczne są szybkie i radykalne, głębokie cięcia. Zmiany wymaga m.in. stosunek do tradycji doktryny komunizmu i socjalizmu, nazwy, programu i struktury;

— partia jest walcem eliminującym wszystkie indywidualności, osobowości akceptowane przez społeczeństwo;

— od dłuższego czasu trwa exodus z partii, która pragnie jedynie kreować struktury i kadry państwowe;

— partia rozchodzi się, bo coraz mniej wiadomo, o co walczy, o czyje interesy zabiega i kogo reprezentuje.

2. Pytanie zasadnicze: ratować PZPR czy ruch lewicy? W odpowiedziach za nadrzędny uznano interes ruchu lewicy. Przegrana wyborcza partii — dodawano — to skutek złej, od dłuższego czasu, sytuacji w partii. Należy zarzucić zasadę centralizmu demokratycznego, zastępując go faktyczną demokracją, koncentrując się wokół rzeczywistych źródeł siły intelektualnej ruchu. Dotychczasowa amatorszczyzna nie prowadzi do niczego. Partia musi wyjść z zakładów pracy, albo zostanie z nich wyprowadzona siłą, albo — jak dodawali inni — obok PZPR zaistnieją w fabrykach komórki innych nowych partii, co upolityczni atmosferę w zakładach. I ostatnia uwaga w tej grupie problemów: partia mogła się odrodzić na IX Zjeździe. Zjazd X był tragedią PZPR, gdyż oznaczał całkowite zwycięstwo aparatu. Dał on władzę aparatu nad partią... Dodam od siebie, że było to przedłużenie i usankcjonowanie okrojonej jeszcze w stanie wojennym funkcji partii sprowadzającej się do roli wydziału politycznego wszechwładnej armii.

3. Komunizm, socjalizm... i co dalej?

W odpowiedzi padły m.in. takie stwierdzenia: idea komunizmu nie ma i nie miała poparcia w społeczeństwie polskim. Nie do zaakceptowania jest praktyka (stalinowska) realizacji tej idei. Konieczne jest określenie nowego kształtu socjalizmu, nowej strategii rozwoju społecznego. Kryzys partii to pochodna kryzysu socjalizmu (realnego) we współczesnym świecie. Trzeba od nowa podjąć próbę sformułowania zasad, na których socjalizm mógłby się oprzeć.

4. Zjazd — kiedy i jaki?

Powszechnie wołano o termin jak najszybszy. Dyskutanci zakładali, że powinien się odbyć nie później niż w I kw. przyszłego roku, ale najlepiej jeszcze w tym roku. Przestrzegano, że później może nie będzie już z kim go robić. Nie ociągajmy się, bowiem zjazd nie musi rozstrzygać wszystkiego, ale dla partii i socjalizmu rzeczy najważniejsze. Postulowano także, że mógłby to być zjazd dwuetapowy (spierając się przy tym, czy najpierw wybrać nowe kierownictwa a potem tworzyć program i statut, czy też postępować odwrotnie). Ja sądzę, że na dobry początek należy w większości instancji zmienić sekretariaty i egzekutywy, gdyż te wyłonione po X Zjeździe nie gwarantują radykalnych, pilnych i oczekiwanych zmian. Delegatów na zjazd, jak proponują członkowie oddolnego ruchu organizacji partyjnych w Krakowie, wybierać należy w jednolitych okręgach wyborczych utworzonych dobrowolnie przez POP. Były także głosy idące dalej i sugerujące konieczność założenia nowej partii oraz głos mówiący o tym, że *„XI Zjazd powinien być zjazdem rozłączeniowym. Nie byłby to rozłam lecz podział. Podział taki umocniłby kondycję polskiej lewicy"*.

Rzeczywistość najbliższych miesięcy, a może tygodni pokaże kto miał rację. Ta rzeczywistość to także fakt, że obok reformatorów są w partii również hamulcowi. Ci ostatni trzymają się wciąż mocno.

KAROL J. STRYJSKI

MOJA PRYWATNA WOJNA

Kiedy w pewnym państwie władzę przejął malarz, bynajmniej nie pędzli przybyło na rynku. My jednak, jako naród szukający nowych dróg, musimy koniecznie spróbować, jakie też będzie zaopatrzenie w muterki pod wodzą doświadczonego ślusarza.

Na płocie przy ulicy Aleksandrowskiej szumny napis głosi: Polen über alles. Hasło nienowe i bliskie sercu Polaka, ale — napisane po niemiecku — przywołuje nieodparte skojarzenia. Ponieważ z pustego i Salomon nie może, tylko zaborcza wojna potrafi postawić naszą gospodarkę na nogi. Należy jedynie zastanowić się, kogo by tu najechać, żeby wszystko przebiegło sprawnie i skutecznie.

Hasła Drang nach Osten — nie proponuję, choć tam teraz bałagan i daliby się zaskoczyć, ale co im zabierzemy, kiedy sami mają niewiele? Poza tym to bratnie dusze. Słowianie, nie wypada. Ten ostatni argument wyklucza również marsz na południe. Jeśli idzie o Zachód, choć to kąsek łakomy, nie damy rady. Przynajmniej na razie. Ponoć dysponują bronią jądrową, a nasze szable już zardzewiały...

Proszę się jednak nie zniechęcać! Pole manweru mamy ogromne — cały świat. Zawsze w historii nieźle radziliśmy sobie z muzułmanami. Wyprawa na Iran, wyprawa oczywiście krzyżowa, to jest właśnie to, do czego winien zmierzać kraj w 80 procentach katolicki, w 90 bojowy, a w 100 leniwy. Przy okazji zawojujemy państwa ościenne i położymy wreszcie kres tej ich bezmyślnej, nieustającej wojnie. Zjednoczymy i nawrócimy niewiernych pod wspólnym, biało-czerwonym sztandarem. Będą nam za to wdzięczni, a mnie już za sam pomysł należy się pokojowa Nagroda Nobla.

Pewien sprytny statystyk obliczył, że w ostatnim czasie odeszło z łódzkiego przemysłu 80 000 pracowników. Odkrył też, ku swemu bezdennemu zdumieniu, iż ta armia ludzi nie pojawiła się ani w usługach, ani w sektorze prywatnym. Nawet właściciele firm polonijnych mają ponoć kłopoty kadrowe. Ludzie jednak w tym kraju nie znikają bez śladu. Ja odnajdę te 80 000! To będzie zalążek mojej armii. Zdaje się, że na to właśnie czekają i dlatego nie podejmują jakiejkolwiek pracy. Nie warto.

Jesienią skończą się w Łodzi roboty torowe, to znaczy nie skończą się one nigdy, ale z pierwszym śniegiem zostaną zapewne przerwane, bo pracownicy nie mieliby już na czym siedzieć. Zwolni się znowu spora gromadka ludzi i będzie ją można zmobilizować. Nie będzie to wielka siła uderzeniowa ze względu na stan zdrowia tych młodzieńców. Podejrzewam, że mają płuca jak firanki, bo ilekroć koło nich przejeżdżam, celebrują przerwę na papierosa. Na mięso armatnie nadają się jednak znakomicie.

W ten oto sposób plan kampanii zapięty jest na ostatni guzik. Póki co nie warto nawet palcem w bucie kiwać, żeby coś ulepszać, modyfikować, zwiększać wydajność, albo wyszukiwać rezerwy. To i tak by się na nic nie zdało.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

NAUCZYCIEL SZKOŁY HANDLOWEJ NA KSIĘŻYM MŁYNIE

Przeczytałam wzmiankę o szkole handlowej na Księżym Młynie. Chciałabym do tych wspomnień dodać nazwisko mojego ojca Mieczysława Gurzteckiego, który pracował w tej szkole jako nauczyciel przedmiotów handlowych między innymi reklamy.

Ojciec mój był bardzo oddanym uczniom i szkole nauczycielem. Pamiętam, że jego uczniowie zdobywali nagrody za dekoracje wystaw sklepowych na ul. Piotrkowskiej. Za tę działalność ojciec otrzymał nagrodę w postaci miesięcznego pobytu w Szwajcarii. Niestety nie doszedł ten wyjazd do skutku, gdyż we wrześniu 1939 r. wybuchła wojna i ojciec zamiast do Szwajcarii poszedł z uczniami bronić Warszawy.

Po powrocie z wędrówki zajął się organizowaniem nauki w szkole na Księżym Młynie. Nie wiedział, że przez swoją działalność społeczno-patriotyczną znalazł się na czarnej liście u okupanta i zaraz, dosłownie na drugi dzień, został zabrany na ul. Sterlinga przez gestapo, a potem wywieziony do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen Oranienburg. Moja matka została bez środków do życia a 11 grudnia 1939 r. zostaliśmy wysiedleni z Łodzi (matka z trojgiem dzieci).

MARIA POPŁAWSKA

DROBNE BŁĘDY

1. Inauguracyjne posiedzenie Sejmu PRL X kadencji odbyło się 4 lipca 1989, natomiast „Odgłosy" nr 30/89 (Pierwsze starcia i kompromisy) podały datę 5 lipca 1989. Jest to „mała" rzecz, ale podana jeszcze w tym samym miesiącu, co wydarzenie miało miejsce. A co będzie za 20 lat?

2. W tekście R. Badowskiego o Ł. Kaganowiczu („Mienia zowot Swietłana" — Odgłosy nr 31/89) znalazłem dwa błędy:

a) Malenkow miał na imię Gieorgij a nie Grigorij,

b) Lew Trocki został zamordowany w 1940 roku a nie 1943.

Ponadto w latach 1952-1957 Łazar Kaganowicz był członkiem Prezydium KC KPZR, bo Biuro Polityczne istniało do października 1952 i obecnie od 1966 roku.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

SPÓR O SKLEP NR 1154 PRZY UL. SKUPIONEJ

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w „Odgłosach" z 6.08.89 uprzejmie wyjaśniamy, że podane w notatce okoliczności określające przyczynę dokonania likwidacji sklepu Nr 1154 przy ul. Skupionej 1 są niezgodne ze stanem faktycznym i z tego względu celowe będzie skrótowe przytoczenie faktów, które pozwolą na prawidłowe naświetlenie sprawy i wysondowanie istotnych przyczyn, które spowodowały likwidację placówki:

— Sklep Nr 1154 został uruchomiony 16.XI.1982 r., w lokalu zastępczym w parterze budynku mieszkalnego. Działalność jego miała być przejściowa tj. do uruchomienia nowej placówki przy ul. Natalii 2. Po upływie zaledwie dwóch lat w 1984 r. mieszkańcy bloku Nr 247, w którym usytuowany jest sklep zareagowali krytycznymi głosami uznając jego działalność za uciążliwą (nocne dostawy, pojawienie się prusaków). Domagają się likwidacji branży spożywczej. 28.V.1987 r. na zebraniu przedstawicieli członków Spółdzielni Mieszkaniowej „Chojny" podjęta została uchwała zobowiązująca do spowodowania likwidacji sklepu spożywczego.

— W roku 1987 w numerze 37 tygodnika „Odgłosy" z 12.IX. 1987 r. ukazał się artykuł sugerujący, iż placówka będzie zlikwidowana a w lokalu uruchomiona zostanie apteka. Wyjaśniliśmy wówczas, że oddział nie zamierza przebranżawiać ani likwidować sklepu, bowiem uruchomienie sklepu przy ul. Natalii 2 planowane było dopiero na 1988 rok (uruchomiony — 23.V.1988 r.).

— 28.IX.1987 r. mieszkańcy bloku Nr 247 przy ul. Skupionej 1 wystosowali pismo do Prezydenta M. Łodzi ze zdecydowanym żądaniem likwidacji sklepu, kolejne pismo mieszkańców z tym żądaniem skierowane było 5 lipca 1988 r. do zarządu oddziału z powiadomieniem Naczelnika Dzielnicy. Na powyższe udzieliliśmy negatywną odpowiedź uzasadniając potrzebę funkcjonowania sklepu branży spożywczej.

— 7 czerwca 1989 r. pismem L. dz. 21/89 o likwidację sklepu zwróciła się do Wydziału Handlu Urzędu Dzielnicowego Rada Osiedla „40-lecia PRL".

— 10 lipca 1989 r. wpłynęło następne pismo mieszkańców bloku Nr 247 z kategorycznym żądaniem likwidacji sklepu. Wobec takich żądań stanowisko nasze nie mogło być inne jak przychylić się do wniosku Rady Osiedla „40-lecia PRL" z uprawnieniami Komitetu Osiedlowego oraz mieszkańców bloku Nr 247.

Placówka wyłączona jest z działalności od 6 lipca 1989 r. i jest w trakcie adaptacji do potrzeb branży przemysłowej.

Informujemy, że likwidacja sklepu branży spożywczej nie wpłynie ujemnie na zaopatrzenie klientów ponieważ w osiedlu znajdują się dwa pawilony: przy ul. Łokietka 2 i Natalii 2 oraz sklepy przy ul. Codziennej 2, Serdecznej 4, Rzgowskiej 164.

mgr **MARIANNA KOWALCZYK**
(Wiceprezes Zarządu Oddziału
Górna — PSS „Społem")

NAJŁATWIEJ ZLIKWIDOWAĆ!

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w „Odgłosach" z 30 lipca 1989 r. uprzejmie wyjaśniamy, iż wprowadzona zmiana w profilu działalności sklepu nr 1193 przy ul. Brzozowskiego 2 polegała na: likwidacji stoiska wędliniarskiego, przemieszczeniu na jego miejsce sprzedaży wyrobów alkoholowych, wykorzystaniu zwolnionej powierzchni po stoisku alkoholowym na uzupełniające stoisko ze sprzedażą wyrobów przemysłu lekkiego.

Przyczyną likwidacji stoiska była niska podaż wędlin, co powodowało niewłaściwe wykorzystanie powierzchni handlowej i pogorszenie rentowności placówki, a tym samym płac personelu sklepu. Zlikwidowanie stoiska było możliwe w związku z istnieniem w sąsiadującym budynku sklepu mięsno-wędliniarskiego, który posiada warunki do przejęcia zwiększonej masy towarowej i obsługi dodatkowej liczby klientów. Wyżej cytowane zmiany dokonane zostały bez przemieszczania urządzeń sklepowych, a tym samym bez dodatkowych nakładów.

Trudna sytuacja w zakresie podaży towarów rynkowych wymaga z naszej strony obok różnorodnych zabiegów zmierzających do pozyskiwania poszukiwanych przez klientów wyrobów, elastycznego wykorzystania powierzchni handlowej i dostosowania jej do podaży, a także zainteresowania nabywców. Na wprowadzenie towarów przemysłowych do omawianego sklepu pozwala jego wydłużony układ funkcjonalny sprzyjający oddzieleniu różnorodnych branż bez zagrożenia dla warunków higieniczno-sanitarnych.

Sprawa dobranżowienia sklepu uzgodniona była z Komitetem Osiedlowym. Osiedle Nowe Rokicie zamieszkiwane przez ca 9 tys. mieszkańców posiada 25 różnorodnych placówek w tym 12 branży żywnościowej. Jednocześnie wyjaśniamy, że sprzedaż napojów alkoholowych w sklepie nr 1016 przy ul. Rogozińskiego 23 była tylko przez pewien okres zawieszona z uwagi na kłopoty kadrowe. Na prowadzenie sprzedaży alkoholu w sklepie 1016 posiadamy zezwolenie wydane w 1984 roku.

Mgr MARIANNA KOWALCZYK
(Wiceprezes Zarządu Oddziału
Górna — PSS „Społem")

Wszystko może się wydawać w porządku. Jest ruch w interesie, jest wykorzystanie powierzchni, ale jest też jedno stwierdzenie, które powinno niepokoić. Odpowiedź powstała w czasach, kiedy jeszcze nie było rynku artykułów żywnościowych. Teraz jest, co prawda kulawy, ale jest i obowiązkiem handlowców, którzy powinni czuć się kupcami, jest zapewnienie podaży wędlin tak, aby ludzie nie musieli ustawiać się po nie wcześnie rano w kolejkach. Taki marzy się nam handel. Czy doczekamy się tego?

REDAKTOR DYŻURNY

POCZTA PRZEPRASZA

W związku z notatką zamieszczoną w „Odgłosach" z 23 lipca 1989 r. dotyczącą dużego napływu klientów po odbiór rent i emerytur w UPT Łódź 11 — Dyrekcja Wojewódzka PPTT w Łodzi uprzejmie zawiadamia, że z powodu braków kadrowych w służbie doręczeń, w niektórych rejonach dzielnicy Bałuty, przekazy rentowe i emerytalne nie są doręczane, lecz wydawane w wyznaczonych placówkach pocztowych.

W przypadku niemożności osobistego zgłoszenia się adresata po odbiór świadczenia pieniężnego (choroba, inwalidztwo), po telefonicznym powiadomieniu UPT Łódź 11, przekazy takie doręczane są przez umyślnego posłańca — kierowcę 1—2 razy w tygodniu.

Odnośnie zaginięcia przekazu pocztowego z alimentami Dyrekcja Wojewódzka PPTT w Łodzi uprzejmie zawiadamia, że reklamacje w sprawie nie doręczenia przekazów mogą wnosić nadawcy tych przesyłek na podstawie posiadanego dowodu nadania w każdym urzędzie pocztowym.

Za kłopoty spowodowane niewłaściwą obsługą — dyrekcja przeprasza zainteresowanych adresatów oraz czyni wszelkie możliwe starania w kierunku poprawy obsługi klientów korzystających z usług poczty.

mgr WŁADYSŁAW OLCZAK

„ZŁOTA LAMPKA GÓRNICZA" PO RAZ TRZYNASTY

Wałbrzyskie Towarzystwo Kultury ogłosiło konkurs dla:

— **POETÓW**, którzy do **30 września 1989 roku** nadeślą pod adresem: **Urząd Miejski, Wydział Kultury i Sztuki, 58—300 WAŁBRZYCH** dwa nigdzie nie publikowane utwory poetyckie w 6 egzemplarzach. Utwory oznaczone mają być godłem, osobno koperta też godłem oznaczona z danymi autora. Udział mogą brać wszyscy.

— **ARTYSTÓW MALARZY**, którzy do **25 października 1989** roku nadeślą dowolną liczbę prac pod adresem: **Górniczy Dom Kultury Kopalni „Wałbrzych" al. Wyzwolenia 21/23, 58-300 WAŁBRZYCH**. Każdy obraz powinien być oznaczony innym godłem i mieć załączoną kopertę z tym samym godłem, w której będą dane malarza. Konkurs tylko dla profesjonalistów.

— **MALARZY AMATORÓW**, którzy w tym samym terminie i pod ten sam, co powyżej adres, nadeślą dwie prace podobnie oznaczone godłem, ale każda praca innym. W kopercie z godłami dane autorów. Konkurs tylko dla amatorów.

O szczegółowe informacje prosimy zgłaszać się w godzinach od 8.00 do 16.00 w **GDK „Wałbrzych" tel. 241-01** lub w **Wydziale Kultury i Sztuki UM tel. 247-28.** W tym ostatnim przypadku tylko do godz. 15.00.

Liczne nagrody! Życzymy powodzenia!

Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych

POLMATEX·MAJED

w Łodzi

Producent maszyn dla przemysłu włókienniczego i chemicznego

o r g a n i z u j e

przeszkolenie i pracę w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbczych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych, również dla absolwentów techników.

o f e r u j e

atrakcyjną pracę inżynierom i technikom, szczególnie w specjalnościach

- **technologii budowy maszyn**
- **konstrukcji maszyn włókienniczych**
- **konstrukcji form do tworzyw sztucznych**
- **konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej**
- **powlekania galwanicznego i lakierniczego**

z a t r u d n i

pracowników wykwalifikowanych i do przyuczenia w zawodach

- **tokarz** ► **frezer** ► **wiertacz** ► **szlifierz** ► **ślusarz**
- **wytaczarz**
- **monter maszyn**
- **galwanizer**
- **odlewnik**
- **blacharz**
- **elektromonter**
- **elektronik**
- **portierów-rewidentów**
- **wydawców magazynu**
- **robotników niewykwalifikowanych**

i n f o r m u j e

iż monterzy maszyn, elektronicy i elektromonterzy delegowani są do pracy przy montażu maszyn do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.

Posiadamy ośrodki wczasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę wczasów z przedsiębiorstwami w NRD.

Szczegółowych informacji udziela **Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego Łódź, ul. Żeromskiego 96 tel. 36-05-26 lub 36-57-00 wew. 115.**

5406/k

UNITRA FONICA

Łódzkie Zakłady Radiowe

Łódź ul. Wróblewskiego 12/20

Z A T R U D N I A

natychmiast pracowników:

- ŚLUSARZY
- TOKARZY
- SZLIFIERZY
- FREZERÓW
- LAKIERNIKÓW
- GALWANIZERÓW
- PRASERÓW TWORZYW SZTUCZNYCH
- ELEKTROMONTERÓW
- PALACZY C.O.
- KONTROLERÓW NARZĘDZI
- ROBOTNIKÓW MAGAZYNU
- WARTOWNIKÓW
- KONTROLERÓW JAKOŚCI
- KONSTRUKTORÓW
- TECHNOLOGÓW

Zakład zapewnia ciekawą pracę, atrakcyjne warunki płacowe, ponadto wypłacamy nagrody jubileuszowe, dodatki stażowe, ekwiwalent za deputat węglowy, nagrody z zysku i eksportowe.

Zakład nie zatrudnia pracowników po samowolnym porzuceniu pracy. Informacji udziela **Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, ul. Wróblewskiego nr 12/20, Łódź, tel. 84-66-18, pokój 125,** w godz. 9—12.

5713-k

OGŁOSZENIA DROBNE

MEDYCZNE

USG-SERCA, brzucha, ciąży. Test zagrożenia zawałem. Specjaliści „Damed", 57-79-44, Julianowska 20.

45344-g

RÓŻNE

SPÓŁKA „Auto-Trastur-Relaks" wczasy w górach, wycieczki krajowe — tel. 84-42-75.

47178-g

WEEKENDY autokarowe Berlin Zach. 40.800+3 DM „SARTOUR" Sienkiewicza 101/109 tel. 36-31-54 (11—17)

42492-g

WIEDEŃ 44.800.—+4 USA „SARTOUR" 36-31-54.

42494-g

HAMBURG — 3 dni 60.000,—+50 DM „SARTOUR" 36-31-54.

42496-g

WYGODNA podróż, tani nocleg zapewnia fotele rozkładane firmy Tobik, ul. Kolumny 390.

46617-g

„GI-MA-BUD" oferuje gipsowe ścienne elementy budowlane. Nagawki 18, gm. Dmosin, Skierniewickie, tel. 76-85 Brzeziny.

46474-g

NAPRAWA, przeróbka foteli samochodowych na rozkładane. Regulacja, ustawianie drzwi, zamków. Tobik, ul. Kolumny 390.

46252-g

„SERVIS Mikrokomputerów", Limanowskiego 200 (17—19.30).

46237-g

USŁUGI hydrauliczne. Pertyński, 55-55-29 (8—18).

46900-g

zgłoś się do nas!

ZASADNICZA SZKOŁA GÓRNICZA KOPALNI „MAKOSZOWY"

Zabrze ul. 3-go Maja 118 tel. 712-915

O G Ł A S Z A

wpisy dla absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 89/90

Kształcimy w zawodach:

- **górnik kopalni węgla kamiennego**
- **mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego**
- **elektromonter górnictwa podziemnego**
- **mechanik maszyn i urządzeń przeróbczych**
- **monter układów elektronicznych i automatyki przemysł**

Warunkiem przyjęcia jest:

— **nie ukończony 18 rok życia**
— **ukończenie szkoły podstawowej**
— **zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia**

Kopalnia prowadząca szkołę zapewnia pomoc materialną:

— **w klasie I — 3881 zł.**
— **w klasie I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 6468 zł**
— **w klasie II — 4620 zł**
— **w klasie II o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 7700 zł**
— **w klasie III jeżeli zajęcia praktyczne odbywają się na dole — 6098 zł jeśli zajęcia praktyczne odbywają się na powierzchni — 4712 zł**
— **w klasie III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 10.164 zł.**

Uczniowie mieszkający w internacie otrzymują zakwaterowanie oraz dodatek na wydatki osobiste płatny w gotówce:

— **w klasie I — 1164 zł**
— **klasy I o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 1940 zł**
— **w klasie II — 1386 zł**
— **klasa II o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 2310 zł**
— **w klasie III jeżeli zajęcia odbywają się na powierzchni — 1414 zł**
— **w klasie III jeżeli zajęcia odbywają się na dole 1829 zł**
— **klasa III o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego — 3049 zł.**

Ponadto uczniowie nie korzystający z internatu otrzymują ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla wynoszący 830 zł miesięcznie. Wszyscy uczniowie mają prawo do premii miesięcznej do 50 proc.

Zapewniamy:

- internat dla uczniów zamiejscowych
- codziennie bezpłatny posiłek regeneracyjny dla wszystkich uczniów
- bezpłatne wyposażenie uczniów w komplet podręczników i przyborów szkolnych

ABSOLWENCI — wyróżniający się dobrymi wynikami w nauce posiadają pierwszeństwo w podejmowaniu dalszej nauki w 3-letnim Technikum Górniczym. Natomiast absolwenci podejmujący bezpośrednio po ukończeniu ZSG pracę w kopalni otrzymują bezzwrotną pożyczkę w wysokości 150.000 zł.

Szkoła prowadzi również następujące kursy, z których mogą korzystać uczniowie szkoły:

- **kurs spawania gazowego i elektrycznego**
- **kurs radiowo-telewizyjny oraz języków obcych**
- **kurs prawa jazdy**

Zapisy przyjmuje i bliższych informacji udziela sekretariat szk

2073-k

28.08.1989.

1.

Ciągnący się tygodniami kryzys rządowy wydaje się dobiegać końca. Powstała nowa koalicja parlamentarna i wyłoniła nowego premiera — **Tadeusza Mazowieckiego**. Teraz czekamy z niecierpliwością na skład nowego rządu. Oby stało się to jak najszybciej.

Inaczej jest w Łodzi. Tu trwa kryzys. I to zarówno we władzach miejskich, jak i w partyjnych.

2.

Sporo się u nas teraz dyskutuje na różne tematy i to dobrze. Brałem ostatnio udział w dwu takich dyskusjach. Na obu wymieniano z uznaniem list organizacji partyjnych **„Polmerino"**. Dyskutanci jednej z tych dwu dyskusji prosili mnie nawet, **abym w ich imieniu podziękował członkom PZPR z „Polmerino" za odwagę i wyrażenie publicznie tego, o czym myśleli i mówili wszyscy. Co niniejszym czynię.**

Jak powiedział mi **Wiesław Szałczyński** — I sekretarz KZ PZPR w **„Polmerino"**, który list w imieniu organizacji partyjnej podpisał — list ten poparło wiele organizacji partyjnych z innych zakładów i środowisk. Głównie telefonicznie, składając mu gratulacje, mniej na piśmie. List ten poparła też organizacja partyjna **Bałut.**

W tej sytuacji z niejakim zdziwieniem przeczytałem w „Głosie Robotniczym" wypowiedź **Jerzego Nastalczyka** ze Zgierza. Na pytanie, co sądzi o tego rodzaju petycji? — **Jerzy Nastalczyk** powiedział:

— „Do napisania takiego listu nie powinno dojść. Zmiany zaś władz partyjnych powinny następować w sposób naturalny w wyniku krytyki na plenarnym posiedzeniu KŁ PZPR lub też w wyniku rezygnacji osób nie potrafiących kierować powierzonymi im odcinkami pracy partyjnej."

Domyślam się, że Jerzemu Nastalczykowi chodzi o taką metodę obsadzania stanowisk partyjnych, aby ruch kadr dokonywał się niejako w sposób naturalny, bez konieczności pisania takich listów. Tylko, że to jest cel, do którego od dawna zmierzamy i droga do niego ciągle jest daleka Sądzę, że na tej drodze członkowie partii, organizacje partyjne, różne grupy interesów, środowiska, a i każdy z nas musi mieć zagwarantowane prawo publicznej krytyki ludzi na stanowiskach i ich działania, ich pracy i to również — a właściwie przede wszystkim — w prasie. W prasie partyjnej już w szczególności.

Z tej ziemi

Co niepokoi łodzian?

Tak się złożyło, że obaj z **Jerzym Nastalczykiem** byliśmy delegatami na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. W uchwalonych tam dokumentach znajdują się takie między innymi stwierdzenia:

„Prasa partyjna powinna stać na straży demokracji i jawności w życiu partii, udostępniać swe łamy dla wypowiadania się we wszystkich sprawach dotyczących partii i jej polityki organizacjom partyjnym i członkom PZPR oraz stać się platformą partyjnej dyskusji ideologicznej."

I jeszcze jedno stwierdzenie:

„Członek partii ma prawo wypowiadać się we wszystkich sprawach na zebraniu partyjnym i w prasie partyjnej, zgłaszać swoje opinie i wnioski wszystkim władzom partyjnym, do zjazdu włącznie..."

Mogłem się więc spodziewać raczej, że **Jerzy Nastalczyk** jako członek Prezydium Centralnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR zaprotestuje przeciw temu, że list organizacji partyjnych **„Polmerino"** mógł ukazać się dopiero po przezwyciężeniu różnego rodzaju oporów i że próbowano autorów listu nakłonić do jego wycofania, co jest sprzeczne z cytowanymi powyżej dokumentami, których do tej pory nikt nie anulował. Być może **Jerzy Nastalczyk** niezbyt precyzyjnie wyraził swoją myśl, ale fakt pozostaje faktem. Myśl ukazała się drukiem i przeciw takiemu sformułowaniu czuję się w obowiązku zaprotestować!

3.

Konieczność dokonania zmiany w kierownictwie łódzkiej organizacji partyjnej jest oczywista. Budzi to zrozumiałe zainteresowanie. Jak do tej pory rozmowy i przymiarki toczą się w ciszy gabinetów i za kulisami życia politycznego. Ludzi to denerwuje. Profesor **Stefania Dzięcielska-Machnikowska** podczas jednej z dyskusji, w której brała udział zaproponowała, aby cała organizacja partyjna wybierała I sekretarza KŁ PZPR. Myśl to nowa i choć sprzeczna ze „Statutem PZPR", to wyraża chęć członków partii uczestniczenia w tak ważnym akcie. Sądzę, że warto zastanowić się nad tą myślą, nad tą propozycją i przynajmniej przeprowadzić szerokie konsultacje tak nad kandydaturami do kierownictwa łódzkiej organizacji partyjnej, jak i w ogóle nad samą filozofią wyborów, przez co rozumiem kryteria, według jakich powinno się dobierać kandydatów.

Chciałbym tylko przypomnieć, że przed wyborami do Senatu i Sejmu PRL też były konsultacje. Nie powiem, aby nic nie dały. Były sygnałem kryzysu, jaki powstał w kierownictwie łódzkiej organizacji partyjnej. Sygnału tego nikt nie odebrał. A szkoda! Chciałbym więc przestrzec, aby to znów nie były tylko konsultacje dla konsultacji, ale aby coś z nich wynikało, aby były lekcją uczenia się brania pod uwagę społecznej opinii.

4.

W miniony piątek (25.08.1989) otrzymałem list młodych radnych Rady Narodowej Miasta Łodzi skierowany do Prezydium RNMŁ. List ten przyszedł już po zamknięciu numeru i nie mamy w tej chwili możliwości opublikowania go w całości. Dlatego postanowiłem omówić go. List ten zaczyna się słowami:

„Młodzi radni Rady Narodowej Miasta Łodzi wyrażają wielkie zaniepokojenie sytuacją społeczno-gospodarczą naszego miasta. Utrzymujący się od dłuższego czasu marazm i zastój we wszystkich dziedzinach życia, praktycznie najgorsze ze wszystkich wielkich aglomeracji zaopatrzenie w artykuły spożywcze i przemysłowe, wyczerpały cierpliwość społeczeństwa Łodzi, w tym także ludzi młodych."

Młodzi radni zarzucają władzom politycznym indolencję. Przypominają, że wraz z końcem sierpnia 1989 roku kończą się prerogatywy dla pełniącego obowiązki prezydenta miasta Łodzi — **Lecha Krowirandy**. I co dalej? — pytają. **„Czekać już dłużej nie można"** — słusznie piszą. W związku z tym domagają się zwołania **„nadzwyczajnego, w terminie bardzo pilnym, posiedzenia Prezydium RNMŁ"**. List swój kończą słowami:

„Zdajemy sobie sprawę, że będzie to początek wielkiej pracy jaka czeka wszystkich, którym dobro Łodzi leży na sercu, ale której nie można już odwlekać."

Zgadzam się w zupełności i popieram!

Przy okazji przypomnę, że na 31 sierpnia 1989 roku zaplanowano uroczyste posiedzenie RNMŁ i Rady Łódzkiej PRON z okazji 50 rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. Rocznica rzecz ważna, ale sprawy miasta — jak nie tylko młodzi radni uważają — ważniejsze. Rzeczywiście dłużej czekać nie można!

5.

Bądźmy jednak realistami. Premier **Tadeusz Mazowiecki** musi najpierw skompletować rząd, Sejm musi ten rząd przyjąć. Ma to się stać do końca sierpnia, ale może się też przedłużyć na wrzesień. Dopiero wówczas premier **Tadeusz Mazowiecki** będzie miał czas i wolną głowę, żeby zająć się sprawami prezydenta w Łodzi. Do tej pory można byłoby zorganizować konkurs na prezydenta. Tu popieram propozycję **Marka Bartosika** wyrażoną w wywiadzie na stronie 3 „Odgłosów". Trochę czasu na to mamy. Potrzeba tylko dobrej woli i... pomyślenia. Dla dobra Łodzi!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1 Nagle zastępstwo

Cud nad Wisłą!

Pewnie nie jestem wyjątkiem: śledzę z ogromną uwagą to, co się dzieje przy ulicy Wiejskiej. Oczywiście, głównie z tego powodu, że dzieją się tam rzeczy niesłychanie ważne. Ale nie tylko — mam skrzywienie zawodowe, które każe mi także dostrzegać rzeczy mniejsze, marginalne. Ot choćby to, że posłowie sobie cokolwiek wymyślają, że pokrzykują z sali, tupią i szurają podeszwami. Niesłychane! A jednak — jest to dość typowe dla wszystkich normalnych parlamenów...

Lubię także rzeczy komiczne w parlamencie, bo i tych nie brakuje... Na przykład: trwa debata senacka nad ustawą o samorządności terytorialnej. Jeden z PT senatorów wygłasza z trybuny piętnastominutową tyradę na temat samorządu w Polsce od czasów jagiellońskich do dnia dzisiejszego. Daty, fakty, nazwiska, oceny. Ja się krztuszę ze śmiechu a senatorowie słuchają uważnie. Pan Marszałek Andrzej Stelmachowski bez wątpienia postawił senatorowi „bardzo dobrze".

Inna, równie komiczna, choć poważniejsza strona obrad Centralnego Klubu Dyskusyjnego (moja prywatna nazwa Senatu) to osobliwe oświadczenie natury historycznej. Panowie Senatorowie (a za ich przykładem również Panowie Posłowie) wymyślili kuriozalne oświadczenie w sprawie interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Do treści dokumentu nic nie mam — zgadzam się z nim. Natomiast dostaję kolki ze śmiechu, że Dostojny Centralny Klub Dyskusyjny uważa za swój obowiązek przeprosić Czechów i Słowaków (sprawozdawcy sportowi mówią „Czechosłowaków"), za to, co zrobili Leonid Breżniew i Władysław Gomułka...

Wywabianie białych plam się zaczęło. Panowie Senatorowie, mam parę propozycji. Po pierwsze — należy niezwłocznie przeprosić naród ukraiński za bezwzględne tłumienie buntów kozackich w XVI i XVII wieku! W dalszej kolejności widzę potrzebę przeproszenia narodów Hiszpanii za Somosierrę. Sprawę wystosowania odnośnego pisma do parlamentu tureckiego w sprawie odsieczy wiedeńskiej uzależniłbym jednak od przeproszenia nas przez państwo tureckie za baty, które wcześniej od Turków odbieraliśmy.

Innej taktyki wymaga sprawa potopu szwedzkiego. Trzeba się zwrócić do króla Szwecji żeby wystosował do nas odnośne przeprosiny. A wtedy ewentualnie przeor Paulinów z Częstochowy może przeprosić spadkobierców generała Millera.

W skomplikowane sprawy polsko-niemieckie i polsko-rosyjskie na razie nie wchodziłbym. Pracuje wspólna komisja historyków, mamy porozumienie z RFN co do treści podręczników szkolnych, poczekajmy...

Pozostaje jeszcze spora sfera zadawnionych a nie uregulowanych spraw z innymi krajami. Dla przykładu: Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski mają pomniki w USA. Ale czy Wielka Brytania nie ma aby do nich pretensji za „brutalną ingerencję w wewnętrzne sprawy United Kingdom"?. A czy Francuzi przeprosili nas kiedykolwiek za przyprawienie rogów szambelanowi Walewskiemu przez ichniego cesarza Napoleona?

Folklor polityczny ma u nas jeszcze inne, pozaparlamentarne oblicza. Oto jeden z osobliwszych faktów, który uświetnił rocznicę wymarszu Pierwszej Kadrowej z Oleandrów. Brygadier (?) Leszek Moczulski przyjął pod Krakowem defiladę Związku Strzeleckiego KPN. Nie było orkiestry, nie było wiwatów ludności, nie było pięknych dziewcząt z kwiatami. Tu historia się powtarza: ci, co „rzucili na stos swój życia los" też nie byli w początkowym okresie entuzjastycznie witani... I też było ich niewielu. Strzelcy Komendanta Leszka Moczulskiego pobili zresztą ich rekord: przedefilowało ich ledwie trzydziestu!

Nic, wszystko przed nimi: marsz na Kielce, wjazd do Warszawy, kryzys przysięgowy. Tylko nie wiadomo, czy w Magdeburgu jest jakieś więzienie i czy władze NRD dadzą panu Moczulskiemu wizę? Bo do ZSRR teraz o wizę łatwiej i zapewne strzelcy z KPN zafundują sobie przez „Orbis" albo „Gromadę" wycieczkę do Kijowa.

A cud nad Wisłą? — zapyta ktoś. A i owszem! cuda nad Wisłą zdarzają się teraz niemal codziennie...

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Obyśmy tylko zdrowi byli!

Pewna moja znajoma pani pojechała w odwiedziny do syna do Stanów Zjednoczonych. Przebywała tam blisko rok, potem dopadły ją dolegliwości reumatyczne i mimo, że synowi powodzi się podobno dość dobrze, wróciła do kraju, bo kuracja w Stanach okazała się zbyt kosztowna.

Wysłuchałem niedawno audycji o sytuacji w służbie zdrowia w Ameryce. Audycję nadawała rozgłośnia „Głosu Ameryki" nie podejrzewana chyba o propagandę antyamerykańską. Otóż ta sytuacja przedstawia się mniej więcej tak. Lekarze są tam jedną z najzamożniejszych grup społecznych, jeszcze zamożniejszą grupą są adwokaci; obie te grupy żyją w swoistej symbiozie. Jest mianowicie tak, że pacjent skarży lekarza, jeśli jego kuracja nie daje pożądanych wyników i jeśli tylko znajdzie się cień pretekstu żeby taką skargę wnieść do sądu. Wystarczy najmniejsze zaniedbanie, jakiś łatwo dający się dowieść błąd w sztuce; już znajduje się gotowy na wszystko adwokat, który w imieniu pacjenta wnosi pozew. Pacjent nie ryzykuje przy tym niczego, bo obyczaj jest taki, że honorarium adwokata liczy się dopiero po wygraniu sprawy i wynosi część uzyskanego od lekarza odszkodowania, część ta stanowi czasem nawet 50 proc. — stąd bogactwo adwokatów. Stąd też niezmiernie asekuracyjna postawa lekarzy.

Przede wszystkim każdego zgłaszającego się pacjenta wysyłają na najrozmaitsze badania specjalistyczne przy użyciu najbardziej nowoczesnych przyrządów. Są to badania kosztowne i w dużej mierze podyktowane właśnie nadmierną ostrożnością, niekonieczne. Po skompletowaniu mnóstwa papierków stawia się bardzo ostrożną diagnozę, przy czym pacjent dowiaduje się nieraz, że ma przed sobą niewiele tylko życia i że leczenie będzie bardzo trudne. Często też przepisuje się leki „placebo" tzn. takie, które nie pomogą ale też na pewno nie mogą zaszkodzić. Są bardzo pięknie opakowane, nazywają się bardzo mądrze i coraz inaczej załączone do nich instrukcje wychwalają wszechstronną skuteczność leku. Są także bardzo drogie i prawdziwa choroba jest dla obywatela amerykańskiego ekonomiczną katastrofą.

Jeśli potrzebny jest szpital ma do wyboru szpitale różnych klas i naturalnie w różnych cenach. Może mieć nawet szpitalny apartament dla własnego użytku, a może leżeć w dużej zatłoczonej sali. Wszystko zależy od stanu konta. Oczywiście jest dużo instytucji charytatywnych, które pomagają obywatelom mniej zamożnym. Jest to pomoc charytatywna czyli działanie dobroczynne. Podobno można to uznać za normalne, co do mnie każda pigułka wręczona dobroczynnie byłaby poczwórnie gorzką.

Nie mówię tu o jakości usług świadczonych przez lekarzy amerykańskich. Tam są świetni lekarze, mają świetnie wyposażone gabinety, mają do dyspozycji najlepsze środki, potrafią niewątpliwie z nich korzystać. Mówię o społecznych uwarunkowaniach całej służby zdrowia i — powtarzam to jeszcze raz — mówię słowami wyłącznie zasłyszanymi w audycji „Głosu Ameryki". Relata refero czyli powtarzam, co usłyszałem. Niech ten felietonik będzie przyczynkiem do obrazu kraju, który jawi się w snach wielu naszych obywateli jako kraj absolutnej szczęśliwości.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Obym się mylił

Felietoniści skarżą się, że teraz bardzo trudno jest pisać felietony. Wszystko bowiem zmienia się tak prędko, że rzeczywiście tekst napisany z parodniowym wyprzedzeniem (a tak przecież trzeba pisać do tygodników) traci nierzadko zupełnie swoją aktualność. Postanowiłem więc dzisiaj napisać felieton, który na pewno tak szybko nie zestarzeje się.

Franciszek K. został naczelnikiem miasta i gminy Z. Na początku swojej pracy miał dużo szczęścia, ponieważ udało mu się zakończyć kilka rozpoczętych jeszcze za jego poprzednika inwestycji. Tak więc, doprowadził do miasta i kilku okolicznych wsi wodę, skończył budowę oczyszczalni ścieków, za jego kadencji rozpoczęto także stawianie nowej, wielce potrzebnej na rozbudowującym się osiedlu szkoły. Po kilkunastu miesiącach tej widocznej pracy naczelnika, Wojewódzka Rada Narodowa postanowiła uhonorować Franciszka K. wpisaniem do Księgi Ludzi Zasłużonych dla województwa. Następnie naczelnika odwiedziła reporterka z telewizji, a później dziennikarz z lokalnej gazety. Ale gdy przyjechał jeszcze reporter z Polskiego Radia, Franciszek K. zdenerowawał się bardzo i powiedział, że on nie widzi w tym wszystkim nic nadzwyczajnego, po prostu pracuje i stara się robić to jak najlepiej. Dziennikarz radiowy potraktował jednak tę wypowiedź jako zbyt daleko posuniętą skromność. Uznał bowiem słusznie, że u nas każdy kto dobrze pracuje jest ewenementem, jest wyjątkiem, o którym wszyscy muszą się dowiedzieć.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że w którymś z krajów Europy Zachodniej zaczęto pokazywać i opisywać tych dobrze pracujących. Toć przecież telewizja i prasa musiałaby się nie zajmować niczym więcej.

Ale zanim wyciągniemy wnioski z tej historii opowiem jeszcze jedną, zupełnie inną. Oto jednemu z moich znajomych zepsuła się uszczelka w kranie z gorącą wodą. Powiecie, że to drobnostka, że wystarczy rozkręcić kran i zmienić pękniętą uszczelkę. Sęk jednak w tym, że ów człowiek nie potrafi tego zrobić. I nie jest to, myślę, absolutnie żadną ujmą. Bo jeśli jest się, na przykład, specjalistą od historii dwudziestolecia międzywojennego albo doktorem filozofii czy lekarzem, to wcale nie trzeba umieć zmieniać uszczelek. Są przecież ludzie, którzy zajmują się między innymi reperowaniem kranów i biorą za to pieniądze. W normalnych krajach dzwoni się więc po odpowiednich fachowców, oni przychodzą i w ciągu pięciu minut sprawa jest załatwiona. U nas natomiast wyglądało to tak: wreszcie udało się złapać hydraulików (co nie jest wcale takie proste), przyszli, popatrzyli, stwierdzili, że to tylko uszczelka i poszli. — Przyjdziemy jutro o tej samej porze — powiedzieli na odchodne. I rzeczywiście, nazajutrz pojawili się z półgodzinnym opóźnieniem, oczywiście lekko wstawieni, bo jakże mogłoby być inaczej. Czy wyobraża ktoś sobie w Polsce „fachowca", który nie byłby na lekkiej „bani"? A cała operacja wymiany uszczelki zgodnie z przewidywaniem trwała pięć minut.

— Ile się należy? — zapytał właściciel mieszkania.

— No, da pan po piątaku dla mnie i kolegi i sprawa załatwiona — odpowiedział jeden z hydraulików.

— Ile? — zapytał znajomy, myśląc, że się przesłyszał.

— No, mówię przecież, pięć tysięcy dla mnie i pięć dla kolegi, robota zajęła nam przecież dwa dni. Nieprawdaż?

Dla mnie ta opowieść była szalenie zabawna, natomiast dla kolegi, który mi ją opowiadał, jakby trochę mniej. Mnie zresztą też mina zrzedła, kiedy spojrzałem nagle na opadające z mojego sufitu płaty farby i stwierdziłem, że przydałoby się malowanie, a malować to ja niestety nie umiem.

Nie jest prawdą, że Polacy są leniwi i nie chce im się pracować. Problem leży zupełnie w czymś innym, sądzę mianowicie, że te kilkadziesiąt ostatnich lat zrobiło swoje. Tutaj nikomu po prostu nie opłaca się pracować. Panuje jakaś totalna odmowa pracy. Nastąpiły zmiany w naszej mentalności. I dużo będzie musiało upłynąć wody w Wiśle zanim to wszystko się zmieni. Nie pomogą również wysokie płace, a także gdyby w sklepach jakimś dziwnym zrządzeniem losu pojawiły się towary, ponieważ i tak większość będzie zastanawiała się nad tym, co by tu robić, żeby nic nie robić? Tu potrzeba głębokich zmian systemowych. Bez tego ani rusz. Na ładne słowa o patriotyźmie nikt złapać się już nie da.

A na razie, jak to w okresie przejściowym, tych nielicznych, którzy dobrze pracują będzie się pokazywało dalej w telewizji i pisało o nich sążniste artykuły. Natomiast owych bezczelnych facetów, jak ci dwaj od uszczelek, będzie niestety coraz więcej. Obym się mylił!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

Superagent Tambor

(6)

Rys. Dariusz Komanowicz

JERZY JESIONOWSKI

— Dlaczego?

— Skoro ta stodoła pali się, to widać przyszła na nią pora. Nie trzeba przeszkadzać. Gospodarz wie, co robi.

— Sądzi pan, że właściciel ją podpalił?

— A kto? Obcy nie miałby interesu.

— Właściciel ma?

— Jasne. Dostanie odszkodowanie z zakładu ubezpieczeń. Pora jest najlepsza, przed żniwami. Stodoła pusta, a można podać, że coś było. Niektórzy wstawiają szmelcowe maszyny albo coś takiego. U nas chłop starowny.

Do rozmowy wtrąciła się Jola.

— Pan Marek ma rację, Stachu. Jedźmy dalej, bo napatoczy się milicja i zapisze nas na świadków. Po co nam to.

Polska specyfika — skapitulował w duchu Tambor i polecił Markowi ruszać. Ale niebawem nowe zdarzenie obudziło jego ciekawość i skłoniło do zarządzenia następnego postoju. W miasteczku, przez które przejeżdżali, gromadka ludzi urągała jakiemuś młodzieńcowi; niektórzy mężczyźni poszturchiwali go nawet. Dopiero po wyjściu z samochodu Tambor dostrzegł pijaka, leżącego opodal w stanie głębokiego zamroczenia. Lecz nie skojarzył go z maltretowaniem młodzieńca. Świadom swej siły fizycznej zdecydował się ukrócić samosąd.

— Czego chcecie od tego chłopaka? — spytał napastliwą gromadkę.

— Próbował okraść pijanego — odpowiedział jeden z mężczyzn obszturchujących chłopaka. — Już sięgał po jego portfel.

Łobuz — stwierdził z oburzeniem inny mężczyzna. — Mało mu trzeźwych.

— Trzeźwych to się boi, gagatek. Woli poczciwca, co golnął sobie i zasłabł krzynę.

— Nic świętego — westchnął boleściwie bezzębny staruszek o wyglądzie wódczanego weterana.

— Nie mieszaj się — powiedziała Jola do Tambora. — Wracajmy do samochodu.

Przez prawie godzinę dalszej jazdy Tambor nie natknął się na nowy przejaw polskiej specyfiki. Potem zainteresował go nieczynny zakład przemysłowy, którego naziemne urządzenia były podobne do górniczych.

— Co to, panie Marku? — spytał.

— Kopalnia złota. Przyszło zamknąć.

— Dlaczego?

— Nie opłacało się. Deficyt był za duży.

— Deficyt? — zdumiał się znowu Tambor.

— Tak. Żżerała wszystko administracja i kontrola, czy urobek nie jest rozkradany.

— A ktoś kradł?

— Podobno kontrolerzy.

Do Wrocławia przyjechali wczesnym popołudniem. Byli głodni, więc przed udaniem się do wynalazcy zjedli w hotelu obiad. Tambor zapytał o pierogi z kapustą, ale został potraktowany tak samo, jak pierwszego dnia w Warszawie. Pod względem gastronomicznym polskie hotele nie siliły się na rozmaitość; tylko standard mieszkalny był w nich — jak twierdziła doświadczona cyrkówka Jola — morzem niespodzianek.

Wynalazca nazywał się Konrad Cyran. Mieszkał w nowoczesnym bloku nad przepływającą przez miasto rzeką. Drzwi otworzyła kilkunastoletnia dziewczynka

— Ja do pana Konrada — oznajmił Tambor. Dziewczynka odwróciła się ku wnętrzu mieszkania.

— Babciu, ktoś do taty — zawołała.

Do przedpokoju wyszła sześćdziesięcioletnia mniej więcej kobieta, wyglądająca na inteligentkę.

— Zięcia nie ma — oświadczyła. — I dziś już nie będzie.

— Wyjechał gdzieś czy pracuje na drugiej zmianie? — dociekał Tambor.

Gospodyni popatrzyła na niego z uważną podejrzliwością.

— Zgaduję po akcencie, że jest pan cudzoziemcem — stwierdziła. — Dość już was tutaj. Zięcia nie ma.

Do rozmowy włączyła się nie budzącą złych domysłów polszczyzną Jola.

— Jesteśmy Polakami z Ameryki — wyjaśniła. — Mąż chce założyć firmę polonijną.

— To niech zakłada — trwała w nieprzyjaznej postawie gospodyni. — Mój zięć do tego niepotrzebny.

— Potrzebny. On zgłosił w urzędzie patentowym wynalazek, z którym mąż chciałby się zapoznać.

To wyjaśnienie nadtopiło niechęć gospodyni. Ustąpiło widać jej podejrzenie co do zamiarów Tambora. Po krótkim wahaniu wpuściła gości do pokoju i poprosiła, by siedli.

— O jaki wynalazek chodzi? O perpetuum mobile? To przecież bzdura, rzecz niemożliwa. Odesłali mu to zresztą.

— Chciałbym się jednak zapoznać — oświadczył Tambor.

— To musi się pan pofatygować jutro w południe, jak zięć przyjdzie na obiad.

— Jest więc w mieście? — odgadł Tambor.

— Jest w kościele na protestacyjnej głodówce.

— To może bym tam poszedł i wywołał go?

— Nie wywoła pan. On dziś po południu leży krzyżem.

— Ksiądz mu kazał? — zwęszył kolejną polską specyfikę Tambor.

— Proboszcz to by ich najchętniej stamtąd przepędził. Przeszkadzają. Ale nie może przecież wyrzucać nikogo z kościoła. Nie wolno mu. A zięcia do leżenia krzyżem wyznaczyli kompani.

Tambor coraz mniej rozumiał z tego, co słyszał. Spojrzał proszaco na asystentkę. Jola podjęła rozmowę wyjaśniającą.

Gospodyni nie portafiła powiedzieć, z jakiego powodu i przeciwko czemu odbywa się głodowy protest w kościele. Tego — oznajmiła — można dowiedzieć się tylko z zagranicznych radiostacji, których ona nie słucha. Zięć był dawniej reżimowym propagandystą, ale potem przełamał się i teraz kontestuje; pisze tylko do gazetek nielegalnych. No i głoduje w kościele, kiedy mu każą. Do leżenia krzyżem, bez czego głodówka nie ma powagi, kompani zmuszają go dlatego, że przedtem zwalczał Pana Boga, teraz więc powinien to odkupić. Wygodny jest dla nich taki neofita.

— Zięć nawrócił się naprawdę? — spytał Tambor.

— A skądże! Tylko udaje. To męczące, bo kiedy nie leży krzyżem, to musi chodzić z pielgrzymkami i pisać reportaże. Ale bez tego nie byłby wiarygodny jako niezależny intelektualista.

— No dobrze, a co z tym przychodzeniem na obiady, skoro głoduje?

— Każdy z nich ma codziennie trzy godziny przerwy na potrzeby higieniczne. Przy tej okazji najadają się na całą dobę. Inaczej długo by tego postu nie wytrzymali, bo to przeważnie obżartuchy.

Tambor wyczuwał, że gospodyni — chociaż unika powiedzenia tego wprost — jest z zięcia niezadowolona. Prawdopodobnie, jako niezależny intelektualista-kontestator, nie miał głowy na zabiegi o przyziemne potrzeby rodziny. To znalazło wnet potwierdzenie w informacji, że córka gospodyni — lekarka — musi pracować także popołudniami, aby zarobić na dom.

Stanęło na tym, że Tambor przyjdzie powtórnie nazajutrz o drugiej. Zięć gospodyni, nawet gdyby z powodu zgłodnienia zjawił się w domu wcześniej, zaczeka.

Zwłoka była stratą czasu, jednakże Jola nie wyglądała na zmartwioną tym. W hotelu wyszło na jaw, że przedłużenie pobytu Tambora we Wrocławiu zgoła jej dogadza.

— Ja myślę, że tę jutrzejszą rozmowę o wynalazku możesz odbyć sam — powiedziała.

— Mogę — zgodził się Tambor.

— To może ja bym wyskoczyła do rodziców? Oni mieszkają niedaleko stąd.

— Dobrze. Niech cię Marek jutro zawiezie.

Do propozycji podróży z kierowcą Jola odniosła się niechętnie.

— Dziękuję, pojadę jeszcze dziś pociągiem. A czy mógłbyś wracać do Warszawy dopiero pojutrze? To będzie niedziela, nie masz się po co spieszyć.

— Dobrze, mogę jechać w niedzielę.

— To ja wrócę od rodziców jutro wieczorem albo pojutrze rano.

— Możesz wrócić pojutrze rano.

Po odjeździe Joli Tambor wybrał się na pieszy spacer po Wrocławiu. Było bardzo ciepło, toteż po powrocie wstąpił do hotelowego baru, by napić się zimnego piwa.

Niemal od razu poczuł na sobie zainteresowanie apetycznej dziewczyny, która sączyła obok przez słomkę kolorowy napój z lodem. Była sama, zatem uprawiała tu zapewne najstarszy zawód świata. To się szybko potwierdziło. Tambor usłyszał jej propozycję:

— Pójdziemy do ciebie?

Dziewczyna podobała się Tamborowi. Po wyczerpujących harcach miłosnych z Jolą miał ochotę na relaksujące przespanie się z profesjonalistką, która nie będzie trudziła klienta ani trochę więcej, niż on sam chce.

— Chodźmy — odpowiedział.

W pokoju panienka najpierw się przedstawiła:

— Nazywam się Małgosia. Biorę tylko dolary. Od ciebie dwadzieścia.

— Dlaczego ode mnie tylko dwadzieścia?

— Bo mi się podobasz. Lubię przystojnych. A ty nie pożałujesz. Dostaniesz za dwadzieścia więcej niż brzydale za pięćdziesiąt.

— Ano zobaczymy. Ja lubię nago.

— Bardzo proszę. Z zasady nie rozbieram się do naga, ale tobie służę.

Kiedy Tambor zrzucił ubranie, Małgosia jęknęła z wrażenia i przestrachu zarazem.

— O Jezu, boję się. Jestem drobna, ty mnie uszkodzisz.

— Bądź spokojna. Niejedna już tak mówiła, a potem się napraszały.

Chociaż sfatygowany po maratonach z Jolą, Tambor zdołał jeszcze pokazać Małgosi, co potrafi amerykański superagent dla skompensowania ulgi w taryfie. Kiedy dokończył swego dzieła wśród jej pisków i pojękiwań, dłużo leżała na prześcieradle bezwładna. Potem oświadczyła:

— Nic od ciebie nie wezmę.

— Musisz wziąć. Amerykanin nie używa z panienką za darmo.

— To ja użyłam. Jak ci na imię?

— Stacho.

— Nie wiem, Stachu, z czego żyjesz, ale na pewno się marnujesz. Ty powinieneś chędożyć zamożne panie. Nawet w Polsce mógłbyś z tego żyć jak krezus. Tyle bogatych kobiet męczy się z partaczami. Mogłabym ci polecić naganiaczkę klientek z prywatnej inicjatywy. Przyjmowałbyś zapisy na parę tygodni z góry.

— Dziękuję, zostanę przy swoim zajęciu.

— W każdym razie, gdybyś tu jeszcze był i miał ochotę na mnie, zapytaj którąkolwiek z moich koleżanek o Małgosię. Zawiadomią mnie, a ty nie pożałujesz, tak samo jak dziś.

— Pojutrze stąd wyjeżdżam i pewnie już nie przyjadę.

— Szkoda, że jutro mnie tu nie będzie. Muszę jechać na wesele brata. Bardzo żałuję. Życzę ci powodzenia w interesach.

— Dziękuję, nawzajem.

IX.

Kiedy nazajutrz o drugiej Tambor przyjechał powtórnie do domu nad rzeką, niezależny intelektualista czekał nań. Był w pogodnym nastroju, bo widocznie podjadł już sobie. Wiedział od teściowej, o co gościowi chodzi. Zaczął od chłuśnięcia na Tambora zimną wodą.

— Pan chce założyć firmę w Polsce? — spytał.

— Tak.

— To odradzam. Szybko pan zbankrutuje.

— Dlatego, że w Polsce?

— To także. Ale przede wszystkim dlatego, że pan.

— Skąd taka dyskwalifikacja? Nie zna pan mnie przecież.

— Nie muszę. Wystarczy, że pan uwierzył w perpetuum mobile. Każdy pana wykołuje. Takie urządzenie jest niemożliwością, a pan traktuje je poważnie. Jak dzieciak.

— Pan też uwierzył.

— Ani na chwilę. Wyciąga pan za daleko idący wniosek z tego, że zgłosiłem w urzędzie patentowym taki wynalazek.

Zaskoczony Tambor aż zamrugał powiekami. W powietrzu wisiało coś mglistego ze sfery polskiej specyfiki. Przejrzenie tego przekraczało prostoduszne, amerykańskie możliwości Tambora.

— Ja nie jestem niezależnym intelektualistą polskim, mam więc kłopoty z niektórymi subtelnościami — oznajmił. — Czy mógłby pan wytłumaczyć mi w sposób przystępny, w czym rzecz?

— Pan jest cudzoziemcem, więc mogę, bo nie złoży pan donosu na mnie. Ja, proszę pana, nie pracuję na żadnej posadzie, toteż miejski wydział zatrudnienia nękał mnie jako pasożyta. Musiałem więc pójść do głowy po rozum i zostać wynalazcą, co teraz jest w cenie. Zgłosiłem w urzędzie patentowym to perpetuum mobile, żeby dostać pisemne potwierdzenie wpływu.

— Dlaczego akurat perpetuum mobile, skoro nie wierzy pan w nie?

— A co miałem zgłosić? Młotek albo śrubokręt? Z takim potwierdzeniem wyśmieliby mnie w wydziale zatrudnienia jako głupka.

— Perpetuum mobile znalazło uznanie?

— Oczywiście. Nazwa łacińska, brzmi uczenie, potraktowano ją więc z powagą. Któryż urzędnik wie, że to rzecz niemożliwa? Odkąd pokazałem to potwierdzenie, mam spokój.

— Przepraszam za nadmierne może wścibstwo, ale ciekawi mnie, jak opisał pan w zgłoszeniu ten swój nie istniejący wynalazek. Musiał pan przecież dołączyć jakiś opis albo rysunek.

— Proszę pana, oni zgłoszeń perpetuum mobile w ogóle nie czytają. Po co więc miałem się wysilać? Przepisałem jedną stronę powieści „Ogniem i mieczem", dopiąłem i wystarczyło. Po tygodniu odesłali mi to, ale potwierdzenie wpływu mam.

Dalsza rozmowa nie interesowała już Tambora. Było jasne, że przyjechał do Wrocławia na darmo. Gdyby nie obiecał Joli, że na nią zaczeka, mógłby zaraz wracać do Warszawy. Skoro jednak obiecał, musiał dotrzymać słowa.

Po południu Marek zawiózł go do kąpieliska, gdzie popływali sobie i poleżeli w słońcu. Tambor wzbudził podziw swoim mistrzowskim crawlem. Paru miejscowych pływaków próbowało za nim nadążyć ale zostawali na połowie dystansu.

W bufecie kąpieliska napojów zabrakło podobno już w południe, toteż Tambor wrócił do hotelu spragniony jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia. Poszedł od razu do baru na piwo.

Przy ladzie było ciasno, zabrał przeto swe piwo do stolika, by wypić je tam bez pośpiechu. Natychmiast przysiadły się do niego dwie polujące tu panienki.

— Dzień dobry — powiedziała starsza z nich. — Ty jesteś Stacho, tak?

— Tak — potwierdził zdziwiony Tambor. — Ty skąd znasz moje imię?

— Małgosia opisała nam ciebie, więc łatwo poznałyśmy. Mamy propozycję nie do odrzucenia. Pójdziemy do ciebie.

— Obydwie?

— Obydwie. Zabawisz się jak nigdy i nic cię to nie będzie kosztować. Balecik na trzy pary nóg, figury według życzenia.

Rzecz była jasna: Małgosia zwierzyła się koleżankom i sława Tambora popłynęła do panieńskiego ludu. To mogło być bardziej wyczerpujące niż nienasycenie Joli, która nie miała się komu zwierzać. Obie panienki prezentowały się zachęcająco, mimo to Tambor postanowił nie skorzystać z ich gratisowej gotowości.

— Dziękuję, ale jestem zmęczony — odpowiedział.

— Nie szkodzi, rozruszamy cię. Potrafimy niemało.

— Jednak dziękuję.

Panienki spojrzały na siebie porozumiewawczo, a potem starsza podbiła ofertę.

— Zapłacimy ci. Sto wystarczy?

Tego było już za wiele: amerykański superagent miałby chędożyć za pieniądze polskie prostytutki. Wstyd i niesława. Tambor — nie odzywając się — dopił swe piwo, a potem wstał od stolika i ruszył ku wyjściu z hotelu. Miał nadzieję, że panienki nie wybiegną za nim na ulicę.

One jednak podjęły próbę niewypuszczenia go. Pobiegły żwawo i zagrodziły mu drogę do drzwi.

— Nie uciekaj. Dogadajmy się. Sto pięćdziesiąt.

Od drzwi podszedł portier i zawstydził Tambora.

— O, jest pan coś winien dziewczynkom i chce dać nogę. Brzydko. Bardzo brzydko.

Pertraktująca z Tamborem panienka uznała, że wobec takiego obrotu rzeczy wypada się wycofać.

— Ten pan nie jest nam nic winien — powiedziała do portiera. — To były żarty.

— Żartować to proszę nie na widoku — odrzekł portier karcącym tonem. — Pryskajcie stąd, ślicznotki.

Tambor skorzystał z okazji i umknął do windy. Dotarłszy do swego pokoju pocieszył się w myśli tym, że następny wieczór we Wrocławiu już mu nie grozi. Rano wróci Jola, pojadą do Warszawy, a tam obecność asystentki będzie go osłaniać przed profesjonalistkami.

Ten dzień nie dobiegł jednak jeszcze końca. Mniej więcej po godzinie Tambor usłyszał pukanie do drzwi. Było to wszakże stukanie raczej męskie, twarde. Wstał podszedł do drzwi i uchylił je. Na korytarzu rzeczywiście stał mężczyzna, na oko czterdziestolatek. Nieomylnym węchem superagenta Tambor wyczuł w nim alfonsa, opiekuna panienek.

— Czy można na krótką dżentelmeńską rozmowę? — spytał nieznajomy.

Czyżby poskarżyły się? — pomyślał Tambor. To wydawało się nieprawdopodobne. Ponieważ gość nie mógł być dla niego fizycznie groźny — dałby sobie łatwo radę z dwoma takimi — Tambor wpuścił go do pokoju z czystej ciekawości.

— Słucham.

— Czy pozwoli pan siąść?

— Proszę bardzo.

Gość siadł i zagaił zapowiedzianą rozmowę dżentelmenów.

— Zmuszony byłem przeprowadzić maleńkie śledztwo. Z prawdziwą przykrością stwierdzam, że deprawuje mi pan dziewczęta.

— W jakim sensie?

— W takim, że konsumuje je pan za darmo. To nieetyczne i rujnujące dla dziewcząt. Nie mówiąc już o złym przykładzie.

— Nie czuję się winny. Chciałem zapłacić, nalegałem nawet na to. Powiem więcej: byłem dziś pod presją, żebym to ja przyjął pieniądze.

— Za ciupcianie?

— Tak.

— O Boże! — jęknął gość. Taki upadek... Gdzież dumny etos starego zawodu. Przy tak postępującym zepsuciu świat naprawdę nie potrwa już długo. Łza się po prostu w oku kręci, a serce kwili z bólu.

C.D.N.